

# RES HUMANA

Humanizm  
Racjonalizm  
Kultura świecka

**1/200**  
2026 r.

DWUMIESIĘCZNIK • ISSN 0867-847X Indeks 33426X • Numer 1 (200) 2026 Rok wyd. XXXV • Cena 18,00 zł



## Adam SCHAFF

Skomplikowana  
biografia

s. 62–68

### BEZPIECZEŃSTWO POLSKI W NIESTABILNYM ŚWIECIE

Raczyński, Janik, Klementewicz,  
Grudziński

### TRADYCJE PPS

Socjalista i adwokat Ludwik  
Cohn  
Igor Newerly i lewicowa tradycja  
literacka

### FILOZOFIA

O Ludwiku Flecku, Karolu  
Marksie i Ladislau Dowborze

### LITERATURA

Fragment nowej powieści  
Andrzeja Żora, która nie będzie  
dostępna w szerokim obiegu  
O H.H. Kirście oraz *future-war  
fiction*

Forum myśli nieobojętnych  
Prace przypomniane Chaczyka  
i Stępnia, nowe – Hołuja  
Recenzje

W końcu ubiegłego roku w warszawskiej Galerii Sztuki Wystawa przy ul. Widok 22 swoje najnowsze prace zaprezentował zaprzyjaźniony z „Res Humana” artysta na stałe mieszkający w Szwecji, były muzyk grupy Osjan – Tomasz Hołuj.

Kurator wystawy zwracał uwagę na bardzo osobisty charakter tych dzieł. Nam wydały się przede wszystkim reakcją na zagubienie i samotność dotykające społeczeństw początku XXI wieku. Tworzywem są głównie kartonowe pudełka, którym twórca symbolicznie nadał drugie życie.

Fot. Andrzej Markiewicz

„KSIĘGA DESZCZU -  
TOM DRUGI”

TOMASZ  
HOŁUJ



KURATOR WYSTAWY:  
MATEUSZ BAL

WYDZIAŁ

GALERIA SZTUKI WYSTAW  
UL. WIDOK 22, 00-674, WARSZAWA





Mirosław Chałubiński  
Zastępca redaktora naczelnego

## Od redaktora

Prezentujemy Czytelnikom jubileuszowy, bo dwusetny numer „Res Humana”. Wychodzi ona nieprzerwanie od 1991 r., a więc już ponad 30 lat. „Res Humana” jest pismem społecznym, o orientacji lewicowo-demokratycznej.

Przez ten okres było ono do niedawna (2023 r.) kierowane przez redaktora Zdzisława Słowika (zmarł on w listopadzie 2025 r.).

Gdyby szukać zwięzłej charakterystyki „Res Humana”, to stwierdzić należy, iż do ważnych jej wątków należy problematyka światopoglądowa, przekształceń cywilizacyjnych i politycznych współczesnego świata, w tym transformacji zachodzących w Polsce w okresie postkomunistycznym w szerokim międzynarodowym kontekście.

Nie inaczej jest także w tym jubileuszowym numerze pisma, gdzie analizujemy wydarzenia i procesy z przełomu 2025 i 2026 roku oraz prognozujemy to, co później zdarzyć się może.

Należą do nich:

- wysoki, rosnący poziom konfliktów politycznych w Polsce, w tym zwłaszcza złej kohabitacji między urzędem prezydenckim i rządzącą koalicją, co działa wręcz destrukcyjnie na możliwości pracy rządu, pozycję międzynarodową Polski i jej bezpieczeństwo;
- politykę USA w okresie rządów Donalda Trumpa i jej wpływ na przekształcenia międzynarodowe oraz status poszczególnych państw. Powyższe sprawy podejmują dość szeroko różne działy tego numeru, m.in. *Polityka*, *Niebezpieczny świat* i stała rubryka redagowana przez prof. J.J. Wiatra, Obecność aktualnych i prognozowanych spraw międzynarodowych i wewnętrznych Polski nie wyczerpuje całości problematyki tego numeru, ponieważ obecna jest tam historia lewicowej ideologii (dział *Tradycje PPS* i *Filozofii* (P. Bytniewski przypomina niedocenianą twórczość Ludwika Flecka – wybitnego filozofa nauki i zarazem lekarza).

Do dziedziny kultury zaliczymy zaś teksty zamieszczone w działach *Świadectwa*, *Literatura i język* oraz *Forum myśli nieobojętnych*.

Słowem, treści tego numeru wychodzą poza szeroko rozumianą problematykę polityki i pozwalają zasadnie przypuszczać, że choć prawie wszyscy pragniemy stabilizacji, to w 2026 roku pełni wrażeń nudzić się nie będziemy, a „Res Humana” może nam w tym wszystkim towarzyszyć.

Mirosław Chałubiński

## RADA REDAKCYJNA

Dionizy TANALSKI  
Danuta WANIEK  
Jerzy J. WIATR –  
przewodniczący Rady  
Andrzej ŻOR

## REDAKCJA

Mirosław  
CHAŁUBIŃSKI  
– z-ca redaktora  
naczelnego  
J. Paweł GIEORGICA  
Renata MIEŃKOWSKA-  
-NORKIENE  
Jerzy PAPUGA  
Zdzisław  
A. RACZYŃSKI  
Anna SIKORSKA-  
-MICHALAK  
Robert SMOLEŃ –  
redaktor naczelny  
Piotr STEFANIUK  
Janusz TERMER

## ADRES REDAKCJI

00-102 Warszawa,  
ul. Marszałkowska 115  
lok. 369A,  
tel. 570 398 363,  
e-mail: redakcja@  
reshumana.pl  
www.reshumana.pl

## WYDAWCA

Fundacja Naukowa  
im. Andrzeja Frycza  
Modrzewskiego –  
Centrum Analiz  
Strategicznych.

## Zdjęcia autorów:

Paweł Wójcik lub  
archiwum Redakcji.  
Zdjęcie Adama Schaffa  
na okładce (1945 r.)  
ze zbiorów GetArchive  
(udostępnione  
za pośrednictwem  
serwisu Picryl.com),  
po cyfrowej koloryzacji  
z zastosowaniem AI.

Druk w Drukarni ACAD  
w Józefowie.

# Spis treści

## POLITYKA

Robert SMOLEŃ – W połowie kadencji/4  
Zbigniew WRÓBEL – Nowy marszałek w rozchwianej sytuacji politycznej.  
Perspektywy lewicy/8

## NIEBEZPIECZNY ŚWIAT

Zdzisław Aleksander RACZYŃSKI – Polska w nowym układzie  
współrzędnych/12  
Krzysztof JANIK – Przyczynkarsko o bezpieczeństwie  
Rzeczypospolitej/17  
Tadeusz KLEMENTEWICZ – Militarizm i zbrojenia: jak zmieniać  
architekturę Systemu, by zachować dotychczasową hierarchię/22  
Przemysław GRUDZIŃSKI – Doktryna Trumpa/28  
Bohdan ZADURA – Hotel Ukraina/31

## TRADYCJE PPS

Jerzy PAPUGA – Socjalista i adwokat Ludwik Cohn/34  
Janusz TERMER – Igor Newerły i lewicowa tradycja literacka/38

## FILOZOFIA

Paweł BYTNIEWSKI – Ludwik Fleck – filozof z ducha medycyny/44  
Mirosław CHAŁUBIŃSKI – Wypromowany prorok czy guru światowej  
rewolucji proletariackiej? Uwagi o książce Krzysztofa Işzkowskiego *Idol.  
Życie doczesne i pośmiertne Karola Marksa*/51  
Paweł KOZŁOWSKI – Społeczeństwo zaprzepaszczonej możliwości/54

## RYSUNEK

Marek CHACZYK – Rysunki przypomniane/60

## ŚWIADECTWA

Stefan KONSTAŃCZAK – Legenda Adama Schaffa/62  
Jerzy PAPUGA – Magda Umer odeszła/68  
Tomasz DZIEDZIC – Akademicki Klub Turystyczny. Uwarunkowania  
i efekty fenomenu/70

## RYSUNEK

Jan STĘPIEŃ – Rysunki przypomniane/76

## LITERATURA I JĘZYK

Zdzisław Aleksander RACZYŃSKI – Od katastrofizmu do *future-war  
fiction*/78  
Karol CZEJAREK – O Hansie Hellmucie Kirście/84  
Małgorzata B. JAKUBIAK – *Ministra, premiera i sekretara*, czyli jeszcze  
parę refleksji o feminizacji języka polskiego/88

## FORUM MYŚLI NIEOBOJĘTNYCH

Andrzej ŻOR – Tak myślę/95  
Adam KOMOROWSKI – Na odchodne/102  
Jerzy PAPUGA – Wiejska 4/6/8/103

## PROZA

Andrzej ŻOR – Trzy upadki na cztery łapy. Biografia pół-literacka/105

## RECENZJE

Piotr STEFANIUK – Refleksje z lektury *Listów z Ziemi Marka Twaina*/115  
Andrzej ŻOR – Warmiacy/118

# Polaryzacja polityczna: czy nieuchronna?



Jerzy J. WIATR

Istotą polityki jest konflikt. Gdybyśmy mieli identyczne poglądy i interesy, polityka nie byłaby potrzebna. Jej miejsce zajęłoby administrowanie sprawami publicznymi. Konflikty powstają na gruncie rozbieżnych interesów, systemów wartości i rozbieżnych percepcji dobra wspólnego. Istotą demokracji, jak pisali Seymour Martin Lipset i Giovanni Sartori, jest regulowanie konfliktów w taki sposób, który zapewnia maksymalnie możliwy kompromis. Dlatego tak ważne są dwie fundamentalne zasady demokracji: poszanowanie praw mniejszości i realna możliwość dokonania zmiany politycznej przy urnie wyborczej, a nie na barykadach.

W demokracji musi być miejsce na spór polityczny, ale nie na zapiekłą wrogość. Przeciwnik polityczny jest partnerem, a nie wrogiem. Różnimy się w niejednej sprawie, ale zachowujemy poczucie wspólnoty. Tak postrzegany konflikt nie jest zagrożeniem dla ładu demokratycznego. Przeciwnie: nadaje on sens konfliktom politycznym, w których stronom przyświeca dobro wspólne – także wtedy, gdy jest ono różnie rozumiane.

W świecie dzisiejszym coraz silniejsza jest jednak polaryzacja. W warunkach ostrej polaryzacji kompromis nie jest pożądanym rozwiązaniem, lecz oznaką słabości. Ezra Klein na pytanie „dlaczego jesteśmy spolaryzowani?” (*Why We're Polarized?*, New York 2020) wskazuje na to, że zjawisko to jest konsekwencją rosnącej przewagi konfliktu podstawowych wartości nad konfliktem interesów. W sferze wartości trudno jest o kompromis, czego polskim przykładem jest zaciekleść sporu o dopuszczalność przerwania ciąży, traktowanego przez Kościół katolicki jako „zabijanie dziecka nienarodzonego”.

Konflikt podstawowych wartości nie jest jednak jedyną przyczyną polaryzacji. W Polsce między dwiema najsilniejszymi partiami politycznymi nie występuje fundamentalny konflikt wartości, a mimo to poziom wzajemnej wrogości budzi uzasadnioną obawę o przyszłość ładu demokratycznego. W obecnej polaryzacji idzie o to, kto ma mieć pełnię władzy w państwie. To jest przyczyną tak głębokiej polaryzacji, jakiej nie było w Polsce przed 2005 rokiem. Gdy w latach dziewięćdziesiątych byłem ministrem edukacji, jednym z moich zastępców został Mirosław Sawicki, wielce zasłużony działacz dawnej opozycji demokratycznej, politycznie bliski ówczesnej opozycji. Nie było to wtedy czymś wyjątkowym. Dziś taka współpraca ponad podziałami politycznymi wydaje się nie do pomyślenia. Zamiast niej mamy do czynienia z otwartą wrogością. Czy będziemy w stanie tę patologię przezwyciężyć?

## ZAPRASZAMY

do czytania i prenumeraty „Res Humana” w 2026 roku

W nowym roku koszt prenumeraty pozostaje niezmienny, tj. 90,00 zł plus opłaty pocztowe – w dwóch wariantach do Państwa wyboru: 33,60 zł lub listem poleconym 49,80 zł.

Zamówienie najprościej złożyć poprzez wpłatę należności na NOWE KONTO Wydawcy: Fundacja Naukowa A. Frycza Modrzewskiego – Centrum Analiz Strategicznych, nr 52 1020 5561 0000 3202 3066 0553.

Mamy nadzieję, że dołączą Państwo do grona naszych stałych Czytelników.

Redakcja

# POLITYKA

## W połowie kadencji



Robert SMOLEŃ

### 1

Trochę ponad dwa lata po powołaniu rządu zwycięskiej koalicji i trochę mniej niż dwa lata przed kolejnymi wyborami to dobry czas, by zastanowić się nad tym, w jakim punkcie się znaleźliśmy i co z tego wynika przynajmniej dla bliższej przyszłości. Jesteśmy bowiem świadkami bardzo dynamicznych zmian w zewnętrznym otoczeniu – mocno wpływających na sprawy krajowe – oraz reorientacji postaw polskiego społeczeństwa przekładającej się, co oczywiste, na kształt sceny wewnętrznej.

Wiemy już (my i wszystkie społeczeństwa naszego kontynentu wyznające podobne wartości, państwa zbudowane na podobnych zasadach – czyli Unia Europejska), że trzeba się zabezpieczyć przed wojną, jakiej jeszcze cztery lata temu nie byliśmy w stanie sobie wyobrazić, dopuścić do świadomości. Stany Zjednoczone – jeszcze rok temu opoka współczesnej demokracji – stały się światowym rozsądkiem chaosu, niepokoju i destabilizacji. Za nic mają prawo międzynarodowe (ostatnio: Wenezuela, groźby wobec Grenlandii), na którym zbudowany był dotychczasowy porządek i które chroni słabszych przed silniejszymi. Przywódca supermocarstwa stanął na czele globalnej ideologicznej, ultrakonserwatywnej kontrrewolucji, prowadzi politykę ładnie nazywaną *transakcyjną* (w gruncie rzeczy chodzi w niej o partykularne korzyści, w dużej mierze jego własne) i faktycznie unieważnił dotychczasowe sojusze. W reakcji na to UE się skonsolidowała, pokazując swą siłę także polityczną: już trzykrotnie (w lutym/marcu, sierpniu i obecnie) zapobiegła porozumieniu Trump-Putin ponad głowami Ukrainy i Europy, o katastrofalnych skutkach dla naszej części świata. Jednak w licznych krajach Wspólnoty rośnie poparcie dla ruchów radykalnie prawicowych i antyintegracyjnych.

W Polsce także wahadło przesunęło się – i przesuwa się nadal – w stronę skrajnej prawicy, nacjonalizmu, autorytaryzmu twardszego niż pisowski, jakiejś odmiany faszyzmu. Według aktualnych sondaży opinii publicznej, najbardziej prawdopodobny powyborczy układ rządzący składałby się z Prawa i Sprawiedliwości oraz dwóch Konfederacji (Sławomira Mentzena i Krzysztofa Bosaka oraz tej Grzegorza Brauna) i byłby stworzony pod kuratelą Karola Nawrockiego. Proszę przeczytać uważnie jeszcze raz te nazwiska, naturalnie dodając do tej listy Jarosława Kaczyńskiego, żeby uświadomić sobie, przed jaką perspektywą wkrótce

może stanąć Polska. Nie jest to jeszcze scenariusz nieuchronny, ale realny i prawdopodobny.

Długo nie wierzyłem w podział Polaków na dwa równe *plemiona*. Uważałem, że liczba rodaków gotowych do finalnego opowiedzenia się za postępowaniem – *versus* tradycjonalizmowi – jest z grubsza równa liczbie osób pozytywnie oceniających członkostwo w UE. Proporcje te wyglądałyby więc mniej więcej jak 85:15, albo i jeszcze lepiej. Ta relacja nie znajdowała odzwierciedlenia w wynikach kolejnych wyborów przez skuteczną narrację Prawa i Sprawiedliwości, zamazując istotę tej dychotomii. Sięgnąłem jednak do wyników głosowań z minionego dziesięciolecia, analizując je przez pryzmat dwóch wielkich, choć niesformalizowanych, bloków: demokratycznego i proeuropejskiego oraz neokonserwatywnego – przez który rozumiem zarówno siły populistyczne (PiS), jak i radykalnie prawicowe. Okazało się, że w 2019 roku nastąpiło ich względne zrównoważenie: w czerwcowych wyborach do Parlamentu Europejskiego różnica wynosiła jeszcze ponad milion głosów na korzyść prawicy, ale już w jesiennej elekcji Sejmu było to zaledwie 400 tysięcy, 2,6 procent. Ten stan balansu utrzymuje się do dziś – z wyjątkiem 15 października 2023 r. (ponad 2 miliony głosów przewagi obozu demokratycznego).

Najważniejsze w zwycięstwie Nawrockiego 1 czerwca 2025 r. jest moim zdaniem przesunięcie się znacznej części wyborców umiarkowanej prawicy do grupy *radykałów* (bo różnica między reprezentantami dwóch wielkich bloków wyniosła znowu 370 tys.). Ułatwił to Kaczyński, wskazując jako kandydata PiS osobę o poglądach bliższych ekstremum. W ten sposób został uruchomiony proces, którego Prawo i Sprawiedliwości nie udaje się zatrzymać. Poglądy do tej pory nietolerowane zostały dopuszczone do głównego obiegu.

## 2

Trudno wskazać bardziej jaskrawy przykład różnic politycznych między obozem Nawrockiego a Koalicją 15 Października (K15P) niż wizje zakończenia wojny w Ukrainie. Ten pierwszy zapisał się do tworzącej się (nieformalnej) międzynarodówki MAGA, postawił wszystkie żetony na parasol bezpieczeństwa Trumpa, J.D. Vance'a i Pete'a Hegsetha, dąży do dezintegracji UE. Rząd stawia na Unię i nie za bardzo wierzy w gwarancje obecnej waszyngtońskiej administracji. Poprzez swoją brukselską aktywność w lutym i pierwszej połowie marca ubiegłego roku Tusk stał się jednym z demiurgów rodzącego się nowego wcielenia Wspólnoty, z silnym komponentem w dziedzinie bezpieczeństwa i obrony. Nie mam wątpliwości, że to K15P wybrała trafną drogę.

Paradoksalnie jednak europejską politykę rządu generalnie uważam za niezbyt udaną. Rok przed wyborami 2023 roku wydałem esej w formie książkowej<sup>1</sup> poświęcony decyzjom, które musiałyby zostać podjęte, żeby po zwycięstwie obozu demokratycznego odbudować demokrację i przy okazji usprawnić państwo. *Wracaniu do Unii* poświęciłem cały rozdział – z sześcioma postulatami: opowiedzenia się Polski za stworzeniem pokaźnych własnych źródeł budżetowych UE; zaproponowania ostrzejszego i skuteczniejszego brzmienia art. 7 traktatu o Unii Europejskiej (w 2023 roku mieliśmy

<sup>1</sup> *Jak naprawić Polskę? Przewodnik po podróży od miękkiego autorytaryzmu do demokracji*, Biblioteka „Res Humana”, Warszawa 2022.

do tego mocny tytuł); rozpoczęcia dyskusji i przygotowań do przyjęcia euro; *przejścia na zieloną stronę mocy*; poparcia uwspólnotowienia polityki zagranicznej UE i tworzenia jej zdolności obronnych; wnioskowania o uzupełnienie Karty Praw Podstawowych o doświadczenia ostatniego ćwierćwiecza. Z wyjątkiem zabiegów na rzecz budowy tożsamości obronnej i bezpieczeństwa, rząd tych spraw nie podjął. W Brukseli entuzjazm sprzed dwóch lat na kanwie polskiego zwycięstwa demokracji nad umacniającym się autorytaryzmem szybko wyparował. Stanowiska w takich kwestiach jak Zielony Ład, umowa z Mercosur, *koalicja chętnych*, wypisywały Polskę z klubu najbardziej zaufanych i przekonanych Europejczyków. Może dlatego tak łatwo było nas wypchnąć z wąskiego grona decydującego o kluczowej materii, jaką jest sposób zakończenia wojny w Ukrainie? Może to, że demokratyczna władza gładko weszła w buty jej poprzedników w wielu aspektach europejskiej polityki, przyczyniło się do utraty przez polskie społeczeństwo miana najbardziej euroentuzjastycznego? Nagle stało się ono jednym z dwóch najbardziej eurosceptycznych.

Przy ocenie dotychczasowych rządów K15P zazwyczaj zwraca się uwagę na jej niezdolność do liberalizacji przepisów antyaborcyjnych i wprowadzenia związków partnerskich – czyli realizacji dwóch obietnic wyborczych, które były tak istotne dla półtora miliona osób, że przyciągnęły je do lokali wyborczych. Jednak całościowy bilans dokonań, jeśli się dobrze nad nimi zastanowić, wcale nie wypada źle. Parlament stał się miejscem poważnych debat i stanowienia dobrego prawa, odradza się etos posła i senatora. Z rąk PiS szybko odebrano prokuraturę, służby specjalne i media publiczne; choć te ostatnie bez ustawy gwarantującej niepowtórzenie manewru z grudnia 2023 roku – w razie wyborczej wygranej populistów, narodowców i faszystów moim zdaniem mielibyśmy to pewne jak w banku. Wicepremier Sikorski zdołał odtworzyć profesjonalny korpus służby zagranicznej, niespecjalnie przejmując się blokadą z Pałacu Prezydenckiego (za granicą generalnie mamy *chargés d'affaires* zamiast ambasadatorów). Nieźle działa administracja wyborcza i nawet PKW, mimo jej chwiejnego zachowania w sprawie protestów wyborczych po ostatniej elekcji prezydenta. Nieudolnych „menedżerów” PiS w spółkach Skarbu Państwa zastąpiono osobami bardziej fachowymi, nawet jeśli nie każdy w tym gronie jest Cezarym Stypułkowskim. Policja zdaje się odbudowywać autorytet, po latach 2015–2023 bardzo mocno nadszarpnięty.

Za to działania Straży Granicznej nie uległy zmianie, w najlepsze trwają *pushbacki* i przemoc wobec uchodźców. CBA nie uległo likwidacji. Dowódców wojskowych nie dało się wymienić ze względu na udział prezydentów Dudy i Nawrockiego w stosownych procedurach. Z tego samego powodu nie ma możliwości szybkiej i eleganckiej (*de lege artis*) restauracji praworządności – w sensie strukturalnym i formalnym. Dobrze choć, że rozpędu nabiera proces rozliczeń za przestępstwa poprzedniej ekipy; to ważne dla wyeliminowania podobnych praktyk w przyszłości. Z oporami idzie reformowanie oświaty – po części przez naciski polityczne i ideologiczne. Temat usprawnienia systemu opieki zdrowotnej dopiero teraz trafia na agendę.

Te zmiany trzeba było wdrażać równolegle. Priorytetowe było przywrócenie praworządności, ale zaminowane przez poprzednią ekipę prawo oraz blokada z Pałacu Prezydenckiego okazały się nie do przeskoczenia, jeśli nie chciało się restytuować demokracji łamiąc przy tym jej podstawy.

Dobrze było spojrzeć, co o tym wszystkim pisałem we wspomnianej książce. Wiele rzeczy zostało ruszonych, nawet jeśli mało która jest doprowadzona do końca. Ważne jest jednak także to, o czym w debacie publicznej w ogóle się nie mówi (i nic się nie robi), np. konieczność odrodzenia fachowego i apolitycznego korpusu urzędniczego, bez którego dobrze zorganizowane państwo nie może sprawnie funkcjonować.

### 3

Na plus obecnej koalicji na pewno trzeba zapisać potwierdzenie sojuszy (przede wszystkim UE, ale także NATO, zacieśnienie powiązań z Europą nordycką), jak też inwestycje w krajowy przemysł obronny, przez dekady niedoceniany i niedofinansowany. Gorzej sprawa wygląda z zakupami *prosto z półki*, chaotycznie dokonywanymi przez poprzednią ekipę. Są zastrzeżenia wobec części asortymentu, zamówionych ilości, braku offsetu, czy dostępu do technologii i kodów źródłowych oprogramowania.

Na dziś K15P czerpie z tych działań polityczne korzyści. Obywatele mają prawo czuć się bezpieczniej (biorąc oczywiście poprawkę na okoliczności). Z pewnością przyczynia się to do wzrostu poparcia dla Koalicji Obywatelskiej.

Co dziwne, nie widać na razie poprawy notowań Nowej Lewicy. Spodziewałem się, że taki efekt spowoduje mocne wejście Włodzimierza Czarzastego jako marszałka Sejmu i ustawienie się przez niego w roli głównego oponenta Karola Nawrockiego. Prowadzona bowiem przez tego ostatniego polityka antyeuropejska, bogoojczyźniana, trumpowsko-ultrakonserwatywna, nietolerancyjna, deprecjonująca dorobek drugiej połowy XX wieku, musi być dla wyborców progresywnych nie do zniesienia. Tymczasem niektóre badania wskazują nawet na spadek poniżej pięcioprocentowego progu. Być może efekt twardego przeciwstawienia się obecnemu prezydentowi uwidoczni się w kolejnych sondażach. Intuicyjnie spodziewałbym się wyborczego wyniku w granicach dobrych kilkunastu procent (tym bardziej, że akurat lewica zrealizowała sporą część swych zapowiedzi). Jeśli KO uzyskałaby wynik na poziomie ok. 35 procent, a ktoś – np. Nowa Polska Wadima Tyszkiewicza i Zygmunta Frankiewicza – zagospodarowałby elektorat liberalny, przedsiębiorców, i także dostał się do Sejmu, mogłoby to wystarczyć do utrzymania władzy przez ugrupowania demokratyczne i proeuropejskie. Taki wynik sam jednak nie przyjdzie. Nie ma co liczyć na frakcyjne walki w PiS – na nich mogą zyskać skrajne odłamy polskiej prawicy. Nie można pokładać całej nadziei w realnym czy wymyślnym *efekcie flagi*.

Nie wolno zlekceważyć 1,5 miliona głosów raz już oddanych w 2023 roku (wspominam o nich już po raz trzeci, bo wydaje mi się, że to jest klucz do ewentualnej wygranej). To ważniejsi wyborcy niż część rolników protestująca a to przeciw umowie z Mercosur, a to przeciw Zielonemu Ładowi, a to – uwolnieniu psów z łańcuchów, a to przeciw Ukrainie. Im bardziej mruga się okiem do elektoratu przeciwnika, tym bardziej traci się własny. Przekonał się już o tym Rafał Trzaskowski, gdy próbował się przedzierzgnąć w kogoś innego niż postać, jaką jawił się stronnikom nowoczesnej Polski. ■

# Nowy marszałek w rozchwianej sytuacji politycznej. Perspektywy lewicy



Zbigniew WRÓBEL

Jesteśmy w Polsce w sytuacji analogicznej do całej Europy. Szarpanina, rozbieżność interesów, krótkowzroczność elit partyjnych zagrażają bezpieczeństwu regionalnemu i krajowemu w kontekście pełnoskalowej wojny na terenie Ukrainy, która może się rozlać na cały region.

Na szczęście co bardziej przytomni i aspiracyjni politycy – jak Macron, Tusk, Merz, von der Leyen – podejmują działania scalające Unię wokół idei pomocy i wsparcia Ukrainy, rozumiejąc konieczność przeciwstawienia się Putinowi. Ten proces niejako w naturalny sposób przechodzić musi w jednoczenie Unii, jako takiej.

Znaleźliśmy się w klasycznym pacie politycznym. Warto tu przypomnieć, co odróżnia *efekt Hamiltona*<sup>1</sup> od dialektyki Hegla. Filozofia Hegla opisuje proces, w którym konflikt między tezą a antytezą nie zostaje rozstrzygnięty siłą, lecz przekształca się w syntetycznie w nową jakość, która zachowuje istotne elementy stron, ale eliminuje ich sprzeczności. Taki proces nie jest chwilowym kompromisem, lecz prawdziwą transformacją strukturalną.

W polityce często jednak obserwujemy nie rozwiązywanie tylko *zamrażanie* sprzeczności, kreujące tymczasowe chwiejne koalicje funkcjonalne. To właśnie nazwałbym umownie *efektem Hamiltona* – zgodą wynikającą nie ze wspólnej wizji, lecz z istnienia wspólnego zagrożenia.

## **Polska scena polityczna 2025 – główne siły i ich sprzeczności**

Karol Nawrocki, wspierany ciągle jeszcze przez Prawo i Sprawiedliwość, reprezentuje stanowisko nacjonalistyczne, sceptyczne wobec integracji UE i czasami ambiwalentne wobec polityki wojennej wobec Rosji. Jest to swoistym *curiosum*, jeśli weźmie się pod uwagę fotel, który zajmuje. Formalnie podtrzymuje wsparcie dla Ukrainy, ale jego retoryka często koncentruje się na obawach społecznych związanych z uchodźcami. To z kolei osłabia jednoznacznie proukraińską narrację, którą Polska prowadziła wcześniej, także za rządów jego akolitów.

Rząd Donalda Tuska jest w większości centrowy i proeuropejski, opowiadając się za silną rolą UE i NATO w obronie Ukrainy oraz za liberalnym porządkiem prawa. To stanowisko jednak napotyka w kraju rosnące

<sup>1</sup> Alexander Hamilton, 1757–1804, jeden z ojców-założycieli USA.

zmęczenie społeczeństwa kosztami wojny i wewnętrznymi napięciami, co ogranicza zdolność do jednoznacznej mobilizacji na rzecz Ukrainy.

Konfederacja, jako ruch skrajnie prawicowy i wolnorynkowy, jest znana z krytyki UE i z silnych akcentów na suwerenność. Część jej postulatów może być postrzegana jako prorosyjskie; jest ona albo sceptyczna, albo otwarcie sprzeciwia się polityce wspierania Ukrainy na zasadach kształtowanych przez Zachód. Meandrowanie Mentzena w trzech kierunkach swobody faktograficznej, emocjonalnej i narracyjnej świadomie zamazuje obraz, tworząc przestrzeń dla kreatywnych sojuszników z obrzeży tez i dowodów.

Czy zatem w tej sytuacji porozumienie i odrzucenie sprzeczności są do osiągnięcia?

Wydaje się, że aktualnie łatwiejsze będzie zamrożenie sprzeczności niż ich duchowe przewyciężenie. Do tego ostatnio coraz głośniejszy nawołuje premier Tusk, ale i nowy marszałek Włodzimierz Czarzasty:

- PiS/Nawrocki i Koalicja Obywatelska różnią się fundamentalnie co do roli UE i priorytetów bezpieczeństwa.
- Konfederacja świadomie tworzy dodatkowy poziom napięcia, który jeszcze bardziej komplikuje budowanie konsensu.
- Polskę 2050 można pominąć w tym rozważaniu ze względu na marginalne oddziaływanie.
- Jedynie Lewica (właśnie dzięki Czarzastemu) kreatywnie rezygnuje z agresywnych żądań i napięć w imię wspólnego dobra.

To zdecydowanie nie jest proces heglowski – tutaj strony nie znajdują wspólnej jakości, lecz trzeba by je zachęcić do odłożenia rozwiązania konfliktów na później, właśnie w oparciu o uzgodnienie wspólnego wroga, może nawet na razie bez trwałego projektu politycznego, który miałby to połączyć.

Europa i Polska, jak wspomniałem, stoją w obliczu pełnoskalowej agresji Rosji na Ukrainę. Konflikt, który skupia uwagę całego świata, wymaga strategicznej współpracy instytucji i państw. Unia uzgodniła właśnie znaczące wsparcie finansowe dla Ukrainy (90 mld euro), co pokazuje, że solidarność europejska na szczęście wciąż działa, pomimo napięć wewnętrznych.

Trzeba też zauważyć, że działania ważnego, choć oddalonego w każdym wymiarze Donalda Trumpa wprowadzają nieprzewidywalność w polityce USA wobec Europy i Ukrainy. Trump sygnalizował chęć zmniejszenia amerykańskiej obecności wojskowej w Europie i krytykę dotychczasowej strategii wobec rosyjskiej agresji, co może podważać transatlantycki konsens, jeśli nie zostanie zaadresowane politycznie. Trump chce szybko zakończyć wojnę (pod sprytnym humanitarnym hasłem: „skończmy z tym zabijaniem”), bo chce przywrócić współpracę handlową z Rosją. Na horyzoncie są wielkie pieniądze, a w ich obliczu rośnie uległość prezydenta USA wobec Rosji. Staje się on skłonny oddawać, co się da; zwłaszcza, że to jednak nie swoje by oddawał... Ciągłe nie udaje mu się osiągnąć taniego dolara mimo szalonych z pozoru ruchów, więc szuka sposobu, aby swój sklep jakoś zatowarować po konkurencyjnych cenach. Ten schemat myślenia jest mu akurat bliski, bo zna się na handlowaniu...

Aby Polska i Europa mogły skutecznie stawić czoła nie tylko Rosji, ale i presji geopolitycznej USA Trumpa, konieczna jest nowa jakość polityki narodowej i europejskiej, która łączy różne wrażliwości w realny projekt bezpieczeństwa, integracji i stabilności.

## Jak osiągnąć efekt Hamiltona względem zagrożeń?

Skoro sprzeczności nie są przewyciężane automatycznie, potrzebna jest polityczna i społeczna praca nad *wspólną narracją bezpieczeństwa*. Zamiast sporu o UE czy imigrantów, należałoby skoncentrować debatę na tym, co realnie może łączyć:

- bezpieczeństwo granic Polski i UE,
- obrona przed agresją ze strony Rosji,
- respektowanie suwerenności Ukrainy jako bufora dla Polski.

Takie przesunięcie tematyki zmniejszyłoby napięcia i nawigowało główny konflikt ku uświadamianiu zagrożenia zewnętrznego. Wydaje się, że konieczne są instytucjonalne mechanizmy:

- wypracowanie minimalnego konsensu wobec polityki zagranicznej,
- powstrzymanie politycznego wetowania ustaw przez prezydenta,
- dopuszczenie do choćby ograniczonego, ale współdziałania dla bezpieczeństwa narodowego ponad partyjnymi sporami.

To nawiązuje do przywoływanej tu heglowskiej *syntezy* – nie likwiduje różnic, ale tworzy nową wspólną przestrzeń działania. Aby ruszyć z miejsca, potrzebna jest mobilizacja społeczna. Dzisiejsze podziały w Polsce odzwierciedlają różnorakie lęki społeczne: ekonomiczne, kulturowe, bezpieczeństwa. Społeczeństwo jest znudzone brakiem efektów w realizacji obietnic wyborczych, pomimo iż ostatnio bardzo się ten proces rozkręca. Budowanie poczucia wspólnoty poprzez politykę społeczną, zdrowotną i edukacyjną może zmniejszyć skrajne sprzeczności i sprawić, że żądanie jedności nie będzie tylko elitarne.

## Marszałek – nowa wizja urzędu czy nowy człowiek

Bardzo aktywna jest ostatnio postawa marszałka Czarzastego, który silnie zmienia wizerunek swój i Lewicy. To polityk zdroworozsądkowy, koncyliacyjny, ceniący lojalność i dane słowo, rozumiejący prostego człowieka, bez aury machiawelizmu tak mocno ostatnio manieryzującej politykę. Idzie nową drogą i buduje silną pozycję drugiej osoby w państwie, co bardzo jest oczekiwane po wprowadzie wygadanych (nawet ciętym, ale jednak zwykle pustostłowiem) poprzedniku na tej funkcji. To otrząskany w politycznym boju wojownik, ale i doświadczony przywódca, którego stabilizująca rola w koalicji jest nie do przecenienia. Wzajemny szacunek Tusk-Czarzasty także robi swoje. Oby wrócił czas, gdy słowo było warte pieniędzy, a podpis zastępował uścisk dłoni. Znakomity ruch z nominacją Marka Siwca i Jerzego Woźniaka do Kancelarii Sejmu wzmocni skuteczność tego urzędu i drożność decyzyjną całego aparatu, co wobec rozchwianej sytuacji politycznej może się okazać jednym z kluczowych elementów usprawnienia parlamentu i wskazówką dla innych, że można.

Nadchodzi czas lewicy. Aleksander Kwaśniewski odchodząc z urzędu w 2005 roku powiedział, podsumowując ówczesną sytuację: „Lewica 25 lat nie dojdzie do władzy, ale jeśli chce wrócić, to już od dziś musi walczyć o zachowanie struktur i materii”. Właśnie prorocstwo się spełnia. Dziś potrzebna jest nowa interpretacja lewicy, jej misji i definicji celów. Z zadowoleniem zauważam, że aktualni politycy lewicy trafiają do społecznego przekonania. Są rozumiani i słuchani.

W swoim czasie Czarzasty był krytykowany za autokratyzm w partii, porządkowanie priorytetów według własnych kryteriów, czasem nawet drastyczne windowanie zbyt młodych, zasysanie zewnętrznych intelektualistów czy sprawnych w osiąganiu celów lokalnych i środowiskowych liderów. Gdy spojrzymy na te wydarzenia z lotu ptaka, dostrzegamy wykonanie ogromnej pracy u Augiasza.

Znam Włodka 40 lat. Tak, byłem przy tym, jak czepiała się go *bezpieka* w latach 80., gdy go nakryto z tzw. bibułą – bo duchem był niepokornym. Pamiętam jego pełne emocji wystąpienia i debaty w środowisku kultury akademickiej, z teatrami, kabaretami i dysydenckimi twórcami, gdy przejmował pałeczkę w ZSP po Aleksandrze Kwaśniewskim i Marianie Redwanie. Szczerze walczył o wolność i niezależność ruchu studenckiego. Jeździł po kraju i pracował na podstawowych szczeblach. Pamiętam jego fryzurę *afro* i ukuty przez kolegów z Politechniki Warszawskiej przydomek „Czapieżasty” oddający także jego charakter i to, jak był postrzegany w środowisku. Był urodzonym liderem drugiego szeregu. Był tam, gdzie trzeba było pracować, rozmawiać, przekonywać, negocjować, zawierać sojusze i szukać kompromisów – nawet tam, gdzie ich nie było widać na horyzoncie. W pewnym momencie, po oczyszczeniu pola, okazało się, że sam musi sięgnąć po prymat i laur. Idę o zakład, że nie to było wtedy jego celem.

Najpierw porządkując partię wewnątrz i skupiając zwolenników wokół głównych celów, a potem syntezyzując idee, instrumenty i zasoby ludzkie, zwiększył dobrostan. Podjął niepopularne decyzje, przyjmując odium krytyki. Choćby oczyszczając pole z wiszących kandelabrow z dawno wypalonymi świecami. Odeszła wówczas z władz, a nawet całkiem z partii, samodzielnie lub pod presją, spora grupa weteranów. Trudno – koszty. Pojawiają się w mediach lub na platformach społecznościowych spełniając raczej rolę wentyla lub satyryka politycznego. Inni, jak premier Cimoszewicz, profesorowie Rosati, Kołodko, usadowili się w niszy *sumienia narodu* i od czasu do czasu nadają ważny komunikat. Są czymś na kształt klejnotów w koronie, które stanowią o prestiżu i bogactwie intelektualnym. W tym kontekście trudno mi zrozumieć Joasię Senyszyn, której wypowiedzi (tchnące nieco zazdrością chyba), że Czarzasty nie będzie dobrym marszałkiem, wydają się trochę małostkowe. (Za korale dziękujemy!)

Dziś mamy do czynienia z odradzającym się stronnictwem politycznym, ale i ruchem społecznym. Nowa Lewica ze swymi 25 tysiącami zarejestrowanych członków to poważna gwardia.

Każda formacja wyczerpuje swój model. Na naszych oczach tak stało się z silną AWS, którą rozsadziły siły odśrodkowe, z ZSL, SD, to samo – jak dobrze wszak pamiętamy – spotkało SLD. Teraz ten proces dotyka PiS, ale i smuży się także mgielny dym po partyjnych zaułkach KO... Pęka stary ład i ludzie poszukują nowych autorytetów. Duopol kiśnie i eroduje. Nadchodzi poważne przegrupowanie polityczne. Sondaże straszą przywódców i zachęcają do zmian. Idzie *nowe!*

Lewico, stawaj do boju o dusze potrzebne do odbudowy silnej koalicji dla poobijanej Polski, bądź spoiwem tej tak potrzebnej syntezy mocy i dobra! Mamy siłę, zasoby i wolę. ■

**Zbigniew Wróbel jest mentorem, menedżerem i felietonistą „Forbes”. Był m.in. prezesem Zarządu PKN Orlen, wiceprezesem PepsiCo na Europę, członkiem kierownictwa PLL LOT i wieloletnim dyrektorem Biura Podróży i Turystyki ZSP Almatu.**

# NIEBEZPIECZNY ŚWIAT

## Polska w nowym układzie współrzędnych



Zdzisław Aleksander RACZYŃSKI

Dwie ostatnie dekady są świadkiem przejścia od optymizmu globalizacji do pesymizmu brutalnej rywalizacji. Postzimnowojenny ład światowy zmienia się z jednobiegunowego, zdominowanego przez hegemonia USA, przez dobiegającą właśnie końca fazę świata wielobiegunowego, w kierunku systemu bipolarnego, który wszakże zachowuje wiele z cech wielobiegunowości, gdzie główna oś rywalizacji USA-Chiny współistnieje z innymi ośrodkami siły (UE, Rosja, Indie...) oraz podmiotami państwowymi, jak, przykładowo, wielkie korporacje cyfrowe.

Stałym leitmotywem wszystkich debat ostatnich lat były konstatacje o erozji dotychczasowego ładu międzynarodowego i o nieprzewidywalnym charakterze jego następującej transmutacji. Polskie ośrodki badawcze dość nieśmiało uczestniczyły w tej debacie, nie generując żadnej oryginalnej syntezy, a klasa polityczna funkcjonowała w ramach skostniałych wyobrażeń o porządku światowym i miejscu, jakie zajmuje w nim Polska. Trudno było oprzeć się wrażeniu, że punktem odniesienia dla praktyków polityki (a za nimi i dla opinii publicznej) pozostawał stan rzeczy z końca XX wieku: stabilny, wręcz zastygły, zachodniocentryczny *pax americana*.

Podobnie jak w opowieści o strategii rozwoju wewnętrznego Polski dominował przekaz minimalistyczny, dostosowawczy (pamiętne słowa szefa polskiego rządu, który raz odsyłał do lekarzy ludzi posiadających wizję, innym razem nakazywał satysfakcję z posiadania ciepłej wody w kranie), reaktywność i minimalizm cechowały zachowanie Polski na scenie międzynarodowej. Elity polityczne kraju nie wykreowały porywającej społeczeństwo narracji o wielkich wyzwaniach, które posiadałyby moc mobilizującą i innowacyjną. Nie wskazały także ambitnego, a jednocześnie realistycznego miejsca i funkcji, jakie Polska mogłaby zająć w systemie stosunków międzynarodowych. Chociaż takie koncepcje (Polska jako *inteligentny dialogotwórca*, Polska jako *siła napędowa ścisłej integracji europejskiej*, Polska jako *złącze między Wschodem a Zachodem...*) się pojawiały. Polskę początkowo XXI stulecia nie tylko nie stać było na oryginalną inicjatywę na miarę *planu Rapackiego*, lecz dodatkowo zredukowaliśmy naszą obecność i nasze zdolności rozpoznawcze w świecie, przykładowo w świecie arabskim. Tymczasem Polski, usytuowanej na

skrzyżowaniu europejskich osi północ-południe i wschód-zachód, między dwoma najpotężniejszymi państwami Europy, w czasie, gdy rozpada się ład światowy, nie stać na luksus dostosowawczego minimalizmu, inercję i wtórność. Właściwie jedyną polską inicjatywą był pomysł *Partnerstwa Wschodniego*, lecz jego pierwotne założenia zostały zwulgaryzowane i wypaczone do przeciwnie skutecznego w ówczesnych realiach wymiaru geopolitycznego.

Siła tradycjonalizmu, zanik poważnej debaty publicznej na tematy międzynarodowe i tłumienie alternatywnych (wobec głównego nurtu) interpretacji i ośrodków myśli, skutkowało postrzeganiem złożonej rzeczywistości międzynarodowej przez, co najwyżej, pryzmat regionalny<sup>1</sup>.

Agresja Rosji na Ukrainę dodatkowo zawężyła ogląd rzeczywistości międzynarodowej: dla polityków, mediów, opinii publicznej jest ona nie tylko egzystencjalnym zagrożeniem, lecz też źródłem i wyjaśnieniem wszystkiego, co dzieje się na świecie. Z polskiego punktu widzenia niezrozumiałe jest stanowisko większości państw pozaeuropejskich, które postrzegają konflikt w Ukrainie jako regionalną wojnę *by proxy* i widzą w niej nie praprzyczynę wzrostu napięcia międzynarodowego, lecz następstwo, rezultat wcześniejszych działań wielkich państw, nie tylko Rosji, lecz przede wszystkim USA i, generalnie, zbiorowego Zachodu.

## Polityczne megatrendy

Regionalne myślenie utrudnia nakreślenie nowej siatki współrzędnych, w których osadzony jest nasz kraj.

Przesunięcie gospodarczego i strategicznego centrum do Azji z kluczową rolą Chin, opisywane już w latach 80., zostało przyjęte do wiadomości przez polskich polityków w XXI wieku, wraz z próbami praktycznej realizacji (poparcie dla Inicjatywy Pasa i Szlaku, przystąpienie do AIIB). Jednak głębsze konsekwencje tej zmiany oraz inne fundamentalne przemiany globalne wciąż z trudem docierają do świadomości polskiej klasy politycznej.

Od 2008 roku następuje stagnacja i jakościowa zmiana globalizacji. Słabną przepływy globalne, rośnie protekcyjizm i nacjonalizm ekonomiczny, tworzą się regionalne bloki. Część procesów przenosi się do sfery cyfrowej, co oznacza nową, bardziej złożoną fazę globalizmu, o niezbadanych jeszcze konsekwencjach dla Polski.

Wraz z tworzeniem się nowych ośrodków siły i wzrostem znaczenia Globalnego Południa postępuje proces określany przez K. Mahbubaniego jako Wielka Konwergencja.

Nową rzeczywistością stało się netwersum – cyfrowy wszechświat będący równocześnie areną współpracy i ostrej rywalizacji o cyberprzestrzeń, dominację w AI i kontrolę nad danymi. Konkurują w nim nie tylko państwa, ale także korporacje technologiczne, funkcjonujące jako podmioty geopolityczne.

Oslabł system organizacji międzynarodowych (ONZ, OBWE, RE), porozumień (Helsiński Akt Końcowy, Karta Paryska, Rada NATO-Rosja) oraz zasad (nienaruszalność granic, nieużywanie siły, poszanowanie suwerenności, idea wspólnej przestrzeni bezpieczeństwa).

<sup>1</sup> Koncepcje pozaeuropejskich myślicieli i teoretyków stosunków międzynarodowych, jak, przykładowo, Paraga Khanny (vide: *Connectography: Mapping the Future of Global Civilization*) czy Kishore'a Mahbubuniego (vide: *Has the West Lost It? A Provocation*), są praktycznie nieznanymi polskim politykom

Świat stał się mniej odporny na wyzwania globalne, takie jak zmiana klimatu i jego skutki (ocieplenie, susze, migracje, katastrofy naturalne, pandemie).

Rozpadły się lub zostały nadwyrężone kluczowe mechanizmy bezpieczeństwa.

Nastąpiła erozja liberalnego ładu światowego, a wojna i dyktat siły powracają jako metody rozwiązywania sporów i uprawiania polityki.

## Wymuszona zmiana doktryny USA

Gwałtowna redystrybucja globalnego potencjału gospodarczego, technologicznego i militarnego wymusza adaptację nawet na największych mocarstwach. Nowa Strategia Bezpieczeństwa Narodowego USA nie jest wyłącznie ideologicznym zwrotem za prezydentury D. Trumpa, który nadał jej antyeuropejski wydźwięk. Stanowi ona odpowiedź na względne osłabienie Stanów Zjednoczonych w ciągu ostatnich kilkunastu lat.

Wskaźniki są wymowne: udział USA w globalnym PKB spadł z 21 proc. w 2000 r. do 14,7 proc. w 2024 r. W tym samym czasie Chiny zwiększyły swój udział w PKB z 8 proc. do 19,6 proc.<sup>2</sup> i stały się groźnym konkurentem w najnowszych technologiach oraz potencjale przemysłu zbrojeniowego.

W efekcie USA porzuciły koncepcję globalnej hegemonii, uznając ją za niemożliwą do utrzymania. Nie dopuszczają jednak, by jakiegokolwiek państwo zdominowało ich kluczowe interesy, zwłaszcza na półkuli zachodniej i kluczowych szlakach morskich. Oznacza to powrót do doktryny Monroe w nowym wydaniu: koncentrację na obronie terytorium narodowego, elastyczne i transakcyjne traktowanie sojuszników oraz wycofanie wojsk z niektórych regionów.

Dla Europy przekłada się to na fundamentalną zmianę. USA zamierzają przesunąć ciężar relacji transatlantyckich ze współpracy wojskowej na gospodarczą i technologiczną, przerzucając na Europę koszty jej bezpieczeństwa, przy jednoczesnym dążeniu do utrzymania kontroli. Instrumentami tej kontroli mają być: technologie cyfrowe i korporacje je wytwarzające, polityka handlowa, eksport uzbrojenia oraz ideologia „realizmu suwerenistycznego”, promująca interesy narodowe ponad wartościami i instytucjami ponadnarodowymi. Scenariusz ten zakłada delegitymizację UE i wspieranie suwerenności poszczególnych państw europejskich.

Ta nieuchronna redefinicja sojuszu stanowi nowe, zasadnicze wyzwanie dla Unii Europejskiej i dla Polski, której bezpieczeństwo opiera na dwóch filarach: członkostwie w UE i w NATO<sup>3</sup>.

<sup>2</sup> Liczone według parytetu siły nabywczej. Zgodnie z danymi opartymi na nominalnym PKB, gospodarka USA wciąż jest największa (25,8 proc.), zaś chińska – trzecia (16,7). PKB Unii Europejskiej według tej metody wynosi 18,2 proc. Zob. raport MFW *World Economic Outlook* opublikowany w październiku 2025 roku. Alternatywne szacunki uwzględniające jakość danych i gospodarkę nieformalną podaje World Economics Ltd., np. <https://www.worldeconomics.com/Share-of-Global-GDP/United%20States.aspx>

<sup>3</sup> Ze strony polskiej wygłasza się niekiedy tezy o trzecim filarze, jakim ma być specjalne partnerstwo strategiczne z USA. Polskie pretensje do partnerstwa z supermocarstwem należy uznać za pseudopatriotyczną fanfaronadę; natomiast rozmieszczenie pododdziałów amerykańskich (ok. 10 tys. żołnierzy) na terytorium Polski stanowi ważny element umocnienia bezpieczeństwa kraju, nie tyle nawet z uwagi na militarny, ile polityczny i psychologiczny wymiar tej obecności.

## Polska przed wyborem

Mimo dokonanego w ostatnim półwieczu skoku rozwojowego, który przyniósł przede wszystkim wzrost jakości życia (awans o dziesięć miejsc w rankingu HDI) oraz większą otwartość (podwojenie udziału w eksporcie światowym w latach 1975–2025), zasadniczo miejsce Polski w świecie nie zmieniło się, jeśli chodzi o jej udział w gospodarce światowej, siłę militarną i – w następstwie – jej autonomiczną wagę polityczną. Z takim samym jak pół wieku temu udziałem ok. 0,8 proc. w globalnym PKB Polska sytuuje się dzisiaj, podobnie jak w 1975 r., na 21.–23. miejscu w świecie<sup>4</sup>. Pod względem siły militarnej zajmuje obecnie 21. miejsce w świecie przy 15.–18. miejscu w 1975 roku<sup>5</sup>. Zmieniło się natomiast fundamentalnie usytuowanie polityczne Polski – jednostronna wasalna zależność od ZSRR została zastąpiona ścisłą integracją z blokiem transatlantyckim, w którym żaden z jego komponentów europejskich nie ma pozycji hegemunistycznych.

Polska jest dzisiaj dość wysoko rozwiniętym krajem, z dynamicznie rozwijającą się gospodarką, niemniej pozostaje państwem o średnim potencjale, z dużymi problemami utrzymania stabilności finansowej i alarmująco rosnącą presją luki demograficznej, zależnym gospodarczo i pod względem dostaw energii, napływu kapitału oraz technologii od sprawnego funkcjonowania wspólnoty europejskiej. W obszarach kluczowych dla rozwoju – zdolność do długofalowej konkurencji, innowacyjna gospodarka, modernizacja kapitału ludzkiego i społecznego – wykazuje niskie zdolności adaptacyjne. Ograniczony potencjał i niewielka zdolność do podjęcia wyzwań związanych z megatrendami przy rosnącej presji ze strony Rosji stawia Polskę przed wyborem jednej z opcji: 1. Fort Trumpa, 2. Samotna twierdza Polska. 3. Federacja Europejska.

### Fort Trumpa

Wrogość D. Trumpa wobec UE znajduje oddźwięk w eurosceptycyzmie suwerenistycznych populistów w Europie. Nieprzypadkowo wezwał on nacjonalistów z Węgier, Austrii, Polski i Włoch do „obrony suwerenności”, co w praktyce oznacza dążenie do rozbicia Unii. Polska radykalna prawica upatruje w Trumpie sojusznika w uwolnieniu się od liberalnych norm UE. Redukcja amerykańskiego zaangażowania w NATO osłabia Sojusz. Zwolennicy opcji *America First* dostrzegający zagrożenie ze strony Rosji, uważają, że lukę tę wypełnić może szczególnie sojusz z USA, a Polska stałaby się ich przyczółkiem w Europie – nawet za cenę osłabienia więzi z UE. Przekształcenie Polski w centrum amerykańskiej projekcji siły, pełniące jednocześnie rolę „konja trojańskiego” Trumpa w UE, wiązałoby się z akceptacją statusu wasala w zamian za potencjalnie iluzoryczne bezpieczeństwo. Połączenie tego z napiętymi relacjami (lub wręcz wrogością) zarówno z UE, jak i z Rosją stanowi strategię o skrajnie wysokim ryzyku i katastrofalnych potencjalnych skutkach dla Polski.

### Samotna twierdza Polska

Siły polityczne wrogie projektowi europejskiemu, nieufne zarówno wobec zachodnich sąsiadów, jak i USA, kwestionują wiarygodność gwarancji

<sup>4</sup> Dane za: <https://countryeconomy.com/gdp/poland?>

<sup>5</sup> Wyliczenia na podstawie zintegrowanych porównań rekonstrukcyjnych CINC/GFP.

NATO i solidarność sojuszników w razie agresji. Głosząc tezę o strategicznej samotności Polski, postulują szybkie zbudowanie zdolności odstraszania na wzór Izraela poprzez przyspieszoną militaryzację: rozbudowę rezerw, przywrócenie powszechnej służby wojskowej, powszechną obronę terytorialną oraz dobrojenie, łącznie z raketami dalekiego zasięgu czy nawet bronią jądrową.

W tej wizji Polska stałaby się regionalną potęgą militarną, zdolną samodzielnie odstraszać Rosję i chronić sojuszników. Realizacja takiego scenariusza wymagałaby jednak nakładów na obronność rządu 8–10 proc. PKB, co oznaczałoby militaryzację gospodarki i załamanie systemów socjalnych. Co więcej, nawet po takiej mobilizacji Polska wciąż nie zyskałaby zdolności do samodzielnego i skutecznego odparcia agresji ze strony Rosji.

## Federacja Europejska

Istotne ograniczenie lub wycofanie stałej amerykańskiej obecności wojskowej w Europie wymusza na Polsce przyjęcie roli kluczowego filaru bezpieczeństwa UE. Unia, budując autonomiczną unię obronną z własnym dowództwem, finansowaniem i zdolnościami logistycznymi, musiałaby stać się głównym gwarantem naszego bezpieczeństwa. Ściśle związana sojuszem wojskowym z Niemcami i Francją, Polska stałaby się motorem napędowym federacyjnej transformacji UE. Jednocześnie budowałaby uzupełniającą sieć sojuszy regionalnych, niealternatywną wobec unijnej struktury obronnej. W tej roli Polska wyrastałaby na regionalnego lidera militarnego, stając się także pierwszą linią obrony Europy – państwem frontowym.

Maksymalna federalizacja i scentralizowana obrona UE to już nie opcja, lecz konieczność. Rozdrobniona Europa, z 27 odrębnymi armiami i politykami przemysłowymi, jest strategicznie nieistotna i niezdolna do samodzielnej obrony. Jediną drogą do stworzenia podmiotu zdolnego odstraszyc Rosję bez pomocy USA jest suwerenna federacja europejska – z gospodarką 18 bilionów euro, jednolitą armią (nawet 2-milionową) i scentralizowanym dowództwem.

Federalizacja wiąże się jednak z kosztami i ryzykiem dla Polski. W zamian za głębię strategiczną i zwiększone bezpieczeństwo, Polska utraciłaby formalną suwerenność w obszarach obrony, polityki zagranicznej, migracji i finansów, prawdopodobnie uznając przy tym hegemonię francusko-niemiecką.

Praktyczna polityka będzie stanowić kombinację wszystkich trzech opcji, przy czym żadna z nich nie zaistnieje w czystej postaci. Nieprzewidywalne wydarzenia mogą zachwiać dotychczasową logiką. Wycofanie USA z Europy nie będzie całkowite – przynajmniej obecność wywiadowcza i logistyczna zostanie zachowana. W największych państwach Europy władzę mogą przejąć siły nacjonalistyczne. Nie jest też przesądzone utrzymanie stabilności politycznej w Rosji ani kontynuacja jej dotychczasowej polityki.

W konsekwencji to, który komponent zyska przewagę, zależeć będzie zarówno od zmian na arenie międzynarodowej, jak i od politycznych wyborów samych Polaków, gdyż różne wiodące siły polityczne w kraju opowiadają się za odmiennymi rozwiązaniami. ■

# Przyczynkarsko o bezpieczeństwie Rzeczypospolitej



Krzysztof JANIK

## 1.

Zacznijmy od oczywistości. Bezpieczeństwo to ważna rzecz w życiu jednostki i społeczeństw. Abraham Maslow umieścił je na drugim miejscu w swej piramidzie potrzeb, zaraz po fizjologii. Arystoteles uważał, że państwo powstało jako konieczność zaspokojenia potrzeby bezpieczeństwa. Jego zdaniem, najpierw była ta właśnie potrzeba, w celu jej zaspokojenia tworzyła się wspólnota, która ustalała reguły postępowania, powoływała instytucje (w tym przywództwo) i określała prawa i obowiązki członków wspólnoty. Tak właśnie tworzyło się państwo.

Przypominam tę – nieco banalną – klasykę, aby uzmysłowić Czytelnikowi, że bezpieczeństwo jest nierozdzielnie związane z państwem, ergo z polityką. To ono ma wymiar bardzo użyteczny w politycznym działaniu. Może być narzędziem dyscyplinowania i mobilizowania obywateli. Ale też przeciwnie – może być narzędziem demobilizacji, poprzez nasycanie atmosfery społecznej poczuciem niepewności, obaw, lęków i frustracji. Leży u podstaw wielkich nurtów politycznych i religijnych – rodzi nacjonalizm, ksenofobię z jednej strony, fideizm z drugiej. Historia polityki to dzieje manipulowania nastrojami społecznymi na tle bezpieczeństwa, dzieje wydumanych i rzeczywistych zagrożeń, które pozwalały na realizację celów i ambicji władców.

Ale i też bezpieczeństwo ma wymiar subiektywny, indywidualny. „To pewność jutra” – pisał Sokrates. To brak lęku przed pogorszeniem swojej sytuacji życiowej, statusu społecznego itd. Machiavelli pouczał Księcia, żeby nie obiecywał ludowi, że będzie mu lepiej. Jego władza ma gwarantować człowiekowi i wspólnotom, do których należy, to, że nie będzie im gorzej. Zarówno w wymiarze materialnym, jak i statusowym, społecznym.

„Byt społeczny kształtuje świadomość społeczną” – to już Karol Marks. Nie chodzi, wbrew pozorom, o czysty determinizm ekonomiczny – jak twierdzą prymitywni badacze marksizmu. Powołują się oni przy tym na Engelsa („Ludzie muszą przede wszystkim jeść, pić, mieszkać, zanim mają możliwość zajmować się polityką, nauką, sztuką, religią”). Dedykować tym badaczom trzeba słowa z Manifestu Komunistycznego, w którym autorzy wprost piszą: „Czyż trzeba głębokiej wnikliwości, by zrozumieć, że wraz z warunkami życia ludzi, ich stosunkami społecznymi, bytem społecznym zmieniają się także ich wyobrażenia, poglądy i pojęcia – słowem, także ich świadomość?”. W moim przekonaniu bezpieczeństwo jest elementem stosunków społecznych czy bytu społecznego, a jego odczuwanie przez jednostki i grupy społeczne ma wpływ na jakość tegoż bytu społecznego, na świadomość społeczną, a w konsekwencji na postawy obywateli.

## 2.

Przypominam tę uproszczoną historię doktryn bezpieczeństwa, aby uprzedzić zdziwienie tych wszystkich, którzy uważają, że problematyka bezpieczeństwa zjawiała się tak nagle, znienacka w języku polskiej (i nie tylko) polityki. Ona wszak była w nim stale obecna. Socjaliści wiązali ją z bezpieczeństwem socjalnym, z warunkami dla realizacji celów i aspiracji życiowych. Polska Ludowa wiązała bezpieczeństwo zewnętrzne z wymiarem geopolitycznym. Silny *obóz krajów demokracji ludowej* miał je gwarantować w konfrontacji z *obozem kapitalizmu*, a doktryna socjalizmu – z pewnością jutra: powszechną edukacją, pełnym zatrudnieniem, bezpłatną opieką zdrowotną.

Kapitalizm nie do końca odwrócił te wektory. Rezygnując z idei interwencjonizmu państwowego, z polityki państwa opiekuńczego, w sposób naturalny musiał społeczną potrzebę bezpieczeństwa skierować na nieco inne tory. Stąd, jak mi się wydaje, popularność polityki zimnowojennej, światowe misje przywracania siłą demokracji, eksponowanie praw człowieka i obywatela kosztem potrzeby stabilizacji i pewności jutra. Nie potępiam tej polityki, uważam ją za część wysiłków, czasem usprawiedliwionych, na rzecz budowania poczucia bezpieczeństwa obywateli. Socjalizm, zwłaszcza w wydaniu radzieckim, odpowiadał podobnie. Kapitaliści mieli się nas bać, a materialne podstawy tej bojaźni usprawiedliwiała niski poziom życia szerokich warstw społecznych. Tak to się toczyło aż do 1989 roku, opoką stabilizacji była mniej więcej równowaga sił i strachu.

## 3.

Rok 1989, z tego punktu widzenia, to kres tej stabilizacji, zarówno w wymiarze międzynarodowym, jak i wewnątrz krajowym. W tym drugim, można z lekką przesadą powiedzieć, że koszt budowy kapitalizmu był większy, niż się spodziewano. Płacono za to destabilizacją stosunków społecznych, zrywaniem dotychczasowych więzi, przebudową hierarchii potrzeb i aspiracji życiowych obywateli. Na tych procesach wyrosły liczne zagrożenia dla bezpieczeństwa wewnętrznego: przestępczość zorganizowana, korupcja, lekceważenie praw pracowniczych. Tym większe znaczenie przywiązywano do bezpieczeństwa zewnętrznego: wstąpienie do NATO czy Unii Europejskiej miały rekompensować straty ponoszone na froncie stabilizacji wewnątrz krajowej. Tak miało pozostać na wieki wieków. Nawet w polityce militarnej postawiliśmy – śladem starszych braci w polityce – na wojska ekspedycyjne. Obszarem działania polskich Sił Zbrojnych miał być Irak czy Afganistan, no, co najwyżej, Bałkany jako miękkie podbrzusze Europy.

To wszystko miało nas trwale relokować na owym mitycznym Zachodzie. Uciekaliśmy na Zachód, marząc o jego stabilności, dominacji w światowej polityce, sukcesie ekonomicznym tegoż Zachodu, o jego poziomie życia i zewnętrznych atrybutach bogactwa. Tych, którzy nie uciekli, nie poszli drogą, którą wybraliśmy, traktowaliśmy nieco z góry, może bez pogardy, ale i bez należnego innym narodom szacunku.

Aby zmniejszenie tego szacunku uzasadnić, wzięliśmy się za tzw. politykę historyczną. Jej treścią była wielkość i chwała narodu i państwa

polskiego, a także poczucie krzywdy dziejowej, która stała się naszym udziałem. Jak te dwie emocje da się pogodzić, to tajemnica polskich serc i umysłów. A także sekret umiejętności polskich polityków, bo to wszak oni tę politykę uprawiają. Bez świadomości, że często jest to pułapka, kurs sprzeczny z aktualnymi racjami państwa.

Dobry przykład to Ukraina. Podobnie jak wielcy polscy myśliciele i politycy (Giedroyc, Kwaśniewski), nie mam wątpliwości, że z punktu widzenia naszych interesów strategicznych jest nam niezbędne samodzielne, zaprzyjaźnione państwo ukraińskie. Taki też był odruch społeczny po agresji Federacji Rosyjskiej na Ukrainę w 2022 roku, taki też jest oficjalnie oznajmiany kurs Rzeczypospolitej. Ale równocześnie to instytucje naszego państwa i legalnie działające w kraju siły polityczne domagają się rozliczeń za zbrodnię wołyńską. „Będziemy Wam pomagać, jak się rozliczycie za tę zbrodnię”. Jak by mogło to rozliczenie wyglądać, nie wie nikt i nikt nic nie proponuje, a ekshumacje są tylko doraźnym celem. Tak naprawdę idzie o upokorzenie Ukraińców i zalenie własnych kompleksów, w tym wymazanie polityki II RP wobec tego narodu. Zdrada Petlury przez Piłsudskiego, rajdy wojska na Chełmszczyźnie, polityka wobec mniejszości ukraińskiej w latach 30. – to zdaniem sporej części Polaków drobne incydenty, niewarte pamiętania. Co ciekawe, opinie te głoszą ci, którzy sami, ani ich najbliżsi, nie ucierpieli z rąk Ukraińców. Moja teściowa – mieszkanka przedwojennego Sokala (miasteczko na Ukrainie, w zachodniej Galicji) – wielokrotnie powtarzała, że nie wszyscy Ukraińcy byli w UPA, a jej sąsiedzi okazali w tych trudnych latach wielokrotnie swą pomoc i wsparcie. Ale my zbrodnie UPA przenosimy na cały naród ukraiński i równo nie lubimy tych z Wołynia, jak i tych z Odessy. Nie lekceważę tej zbrodni, ale jakoś dogadaliśmy się z Niemcami (mieli poczucie winy i odpowiedzialności), może też warto z Ukraińcami. Nikt jednak historyków o to nie poprosił. I nadal nie prosi.

To samo mógłbym powiedzieć o Rosjanach. Za zbrodnie Stalina (Gruzin, jakby ktoś nie pamiętał) i aparatu NKWD winę ponoszą wszyscy Rosjanie i każdy z nich powinien być przedmiotem naszej pogardy i zemsty. Wysłałiśmy więc do Moskwy drugorzędnych dyplomatów, a celem ich oddziaływania byli lokatorzy Kremla, a nie środowiska opiniotwórcze, że nie wspomnę o szerokich masach społecznych. Podobnie myśleli (myślą?) o Rosjanach Ukraińcy, przy czym lista doznanych krzywd była tam znacznie dłuższa. Owocowało to represyjną polityką wobec mniejszości rosyjskiej (likwidacja nauczania języka rosyjskiego we wschodniej Ukrainie, język ukraiński jako jedyny urzędowy, ograniczanie dostępu do kultury rosyjskiej). Tak wrogość do elit Kremla przenosiła się na wszystkich rosyjskojęzycznych. Putinowi było to wybitnie na rękę. Wszystkie niedostatki polityki wewnętrznej mógł rekompensować tęsknotą za imperium, obroną rosyjskości i zmateriałizował ją agresją na Ukrainę.

#### 4.

Tak więc wojna! Europa była na nią kompletnie nieprzygotowana, reszta świata też zresztą nie. Zlekceważono zajęcie Krymu w 2014 roku, *zielonych ludzików* w Donbasie, rutynowo potraktowano manewry Zapad na Białorusi. Wreszcie doktrynę Dugina, że Federacja Rosyjska musi odzyskać ziemie, które przez lata przynależały do Rosji. Z Rosją robiło się interesy, a walczyło

się z Kaddafim, Sadamem Hussainem czy innymi trzeciorzędnymi reżimami. Wiara w dobre intencje Putina, w *reset*, była silniejsza niż analiza rzeczywistych interesów i – od pewnego czasu – nieskrywanych zamiarów przywódców Kremla.

U nas było podobnie. Mało kto czytał opracowania Ośrodka Studiów Wschodnich, ale i nie były one szczególnie popularyzowane. Nie istniały ośrodki analityczne, które zajmowałyby się militarno-politycznymi aspektami polityki rosyjskiej. Nawiasem mówiąc, polscy politycy nie mają nawyku pracy z ekspertami, a w ogóle praca analityczno-ekspertka nie jest w poważaniu. Nie mnie oceniać, czy to podejście zmieniło się wraz z wybuchem wojny na wschód od naszego kraju, ale obserwując dotychczasową produkcję naszych think-tanków, widzę, że ich dorobek jest spory i mało znany. Nadal zresztą – mam takie wrażenie – w rzeczywistości więcej znaczą telewizyjne wypowiedzi mundurowych celebrytów (na szczęście są wyjątki) niż rzeczowe informacje i analizy wydarzeń w Ukrainie.

A sytuacja nie jest jednoznaczna. Jedyne zysk, jaki widzę z tej wojny, to stworzenie narodu ukraińskiego, tożsamości narodowej. Putinowi udało się to, czego nie umieli zrobić Krawczuk, Kuczma, Juszczenko czy Poroszenko. Cała reszta to jednak straty: w majątku publicznym i prywatnym, w infrastrukturze, a przede wszystkim w ludziach. Według różnych źródeł straty rosyjskie to od 900 tysięcy do 1 mln rannych i zabitych, po stronie ukraińskiej – od 360 do 400 tysięcy. Nie mamy tu żadnych twardych danych, podobnie jak i nie mamy danych dotyczących uciekinierów z kraju dotkniętego wojną. W grudniu 2024 roku szef ukraińskiego MSZ informował o 7,5 mln uchodźców. Wydaje się jednak, że liczba ta jest faktycznie wyższa, zwłaszcza po ostatnich decyzjach władz Ukrainy, które otwarły granice dla młodzieży. Co prawda prezydent Zełenski mówi, że to inwestycja w przyszłość, że młodzi poza granicami kraju zdobędą wykształcenie i doświadczenie, które będzie niezbędne dla odbudowy kraju, ale śmiem wątpić, czy ten zamysł się uda. Doświadczenie mówi, że emigranci niechętnie wracają. Zwłaszcza do kraju z dość wątpliwym poczuciem stabilizacji.

Wszystko bowiem wskazuje, że jedyne co się może udać w tym konflikcie, to zamrożenie go według aktualnej linii frontu. Nie będzie żadnego trwałego układu pokojowego. Obniżony zostanie próg konfliktu. Granica po obu stronach będzie obłożona wojskiem, drobne incydenty graniczne, jakieś „przypadkowe” zabójstwo, jakiś drobny przemyt wykorzystany jako pretekst, nieustanna wojna propagandowa. Chodzi o utrzymanie atmosfery tymczasowości, destabilizacji, w konsekwencji o pogodzenie się Ukraińców ze stratą terytorialną. A równocześnie o trzymanie Zachodu jak najdalej od Ukrainy. Kto będzie inwestował w kraju skazanym na niestabilność? Niestabilność wzmaganą wojną kognitywną, zgrabnie robioną propagandą, *soft powerem* traktowanym jako narzędzie uspakajania/pobudzania lęków Zachodu przed kolejną fazą „gorącego” konfliktu.

To najbardziej prawdopodobny scenariusz. Potwierdził go Donald Trump, ogłaszając 20 listopada 2025 roku swój plan pokojowy. Wzbudził on oburzenie polityków z różnych stron ideowej i geopolitycznej bary-

kady. Czy ono jest do końca szczerze – śmiem wątpić. Wbrew pozorom, plan Trumpa odpowiada sporej części polityków Zachodu. Zdejmuje z porządku dnia kwestię wstąpienia Ukrainy do Unii Europejskiej i NATO. Oddali konkurencję ukraińskiego rolnictwa i taniej siły roboczej, pozwoli na *usual business*, a Rosja w tych negocjacjach będzie na pewno znacznie przychylniejsza wobec partnerów.

## 5.

Co na to my – sąsiedzi Ukrainy? Cichych putinofilów to ucieszy, nacjonalistów antyukraińskich z oczywistych powodów też. Ale co na to klasa polityczna? Zwłaszcza ta część, która jak najlepiej mówiła o Trumpie, a pomysłność Polski chciała oprzeć na „nierozzerwalnym” sojuszu ze Stanami Zjednoczonymi, upatrując w obecnym prezydencie USA gwaranta naszej suwerenności. Mają panie i panowie kłopot. Pewnie zastanawiają się, co jest *pod spodem*, jakie cele i interesy kryją się za tą propozycją. I co ona oznacza dla Polski, jej przyszłości i bezpieczeństwa.

Mój pogląd jest dość prosty. Oznacza to postępującą niestabilność za naszymi wschodnimi granicami. Wszak sukces Putina na Ukrainie (a plan Trumpa jest takim sukcesem) otwiera przed Kremlem nowe, interesujące perspektywy. W Moskwie zakładają, że przyjęcie tego planu oznacza potężną zmianę społeczną w Ukrainie. Ci, których ten plan będzie uwierał, wymigrują, a Europa im w tym pomoże. Potrzebuje ona już dziś milionów rąk do pracy, a bliższy jest nam Ukraińiec niż Azjata. Ci, którzy zostaną, przyjmą – jak już wiele razy w ich dziejach – strategię przetrwania. Może ona mieć charakter konfrontacyjny, zakładając, że polityk w stylu Zełenskigo będzie przywódcą kraju. Ale tak być nie musi. Na czele państwa może stanąć wyraziciel strategii przetrwania, który uzna, że minimum spokoju i stabilizacji (także materialnej) się Ukraińcom należy. Nawet zgodzi się na pewną stopniową rusyfikację (to jest też element planu Trumpa, co nie wszyscy komentatorzy widzą). I o to Kremlowi chodzi. Uległe Białoruś i Ukraina, potem Mołdawia i na razie starczy. Jak na jednego Putina.

Jego następcy nie skupią się na obronie stanu posiadania. Będą chcieli pójść dalej. Jeśli chcą zostać prezydentami Federacji i mieć poparcie społeczne, co najmniej takie jak obecny jej prezydent, muszą mu i rodakom to obiecać. I z tej obietnicy będą rozliczani.

Czy mamy szansę na dezaktualizację planu Trumpa i zarysowanej wyżej perspektywy? Wydaje się, że rzecz nie jest rozstrzygnięta do końca i ktoś w Ameryce uświadomi prezydentowi USA, że oto buduje imperium euro-azjatyckie, które nie musi być przyjacielem Stanów. Że w tej grze wezmą udział Chińczycy, a może nowe potęgi jak Indie (których – nawiasem mówiąc – i my nie dostrzegamy) czy Turcja. Że plan Trumpa to wezwanie do samodzielności politycznej i militarnej Europy. Inna rzecz, czy Europa, a ściślej Unia Europejska, je podejmie. I czy nie oznacza to perspektywy dezintegracji Unii, bo Orbán może znaleźć cichych sojuszników. Wszak w Unii (i w NATO) są liczne kraje, których wojna na Ukrainie kompletnie nie obchodzi. Martwią się o ceny gazu i ropy naftowej, a nie o tysiące ludzi ginących na froncie. Zwłaszcza, że często sami mają w swojej nieodległej przeszłości porachunki z sąsiadami.

## 6.

A co z Polską? Wbrew pozorom uważam, że w dającej się przewidzieć perspektywie Federacja Rosyjska nie zdecyduje się na otwartą konfrontację. Uzbrojenie, które kupujemy, będzie służyło do ćwiczeń i defilad, aż się technologicznie zestarzeje. Pojawią się nowe środki i sposoby walki, czego zresztą uczy nas wojna w Ukrainie. To oznacza jednak, że w obliczu stałego zagrożenia wydatki na obronność nie będą maleć, wręcz przeciwnie. Nowe rodzaje broni będą coraz droższe i coraz wyraźniej będą ciążyć na naszym budżecie. Także w wymiarze indywidualnym. Ale – jak się wydaje – nie mamy innego wyjścia, bo zagrożenie wojną przez nowy Sojusz Moskiewski będzie stałym już narzędziem polityki Kremla.

Z drugiej strony, jeśli dojdzie do zakończenia jawnego konfliktu zbrojnego w Ukrainie na warunkach moskiewskich, to Rosja potrzebuje lat, aby odrobić straty poniesione w tym konflikcie i *strawić* uzyskane zdobycze. Ale to wcale nie oznacza pokoju i spokoju. Bo to, w czym służby rosyjskie są dobre, a nawet bardzo dobre, to wojna kognitywna, podprogowa. A więc zakłócanie normalnego funkcjonowania państwa, podważanie poczucia stabilizacji, przebudowa polskiej świadomości. Tu czy tam jakiś mały akt sabotażu, jakaś awaria, której celem nie jest wywołanie wielkich strat ludzkich czy materialnych, tylko sączenie przekonania, że państwo polskie jest niesprawne, źle funkcjonuje. Że dotychczasowe elity *nie dają rady*, a ich orientacja geopolityczna jest błędna. Temu służyć będzie podgrzewanie wojny polsko-polskiej, w którą chętnie wejdzie spore grono polskich polityków.

Potrzebne będą więc *nowe elity*. Czy przyjmą one kurs na umacnianie niechęci wobec Ukrainy (Wołyń, korupcja – to silna baza dla takiej polityki), czy też strategię na przystosowanie się – to jednak nie oddali zagrożenia. Celem strategicznym Rosji jest wszak odbudowa imperium. Będą to robić, trochę strasząc (wojna kognitywna), trochę przekupując – zasoby surowców po preferencyjnej cenie, odczuwalnej w każdym gospodarstwie domowym. Czy tej polityce ulegniemy? Nie wiem. ■

# Militaryzm i zbrojenia: jak zmieniać architekturę Systemu, by zachować dotychczasową hierarchię



Tadeusz KLEMENTEWICZ

Jesteśmy świadkami tragicznego *quid pro quo*: zamiast powrotu po prawie ośmiu dekadach do roosveltowskiej idei jednego świata, świata ludzi żyjących w dostatku materialnym i korzystających z pełni praw człowieka – mamy geopolitykę strachu. Mamy wściekły wyścig zbrojeń. Mamy budowę murów. Mamy wśród wrogów biedotę z byłych kolonii bogatego Zachodu. Dlaczego?

## 1. Paradoks bezpieczeństwa: więcej zbrojeń, większy lęk

Co nam mówi zwykła ludzka, naturalna inteligencja? Najsprawniej się nią posługują krytyczni badacze stosunków międzynarodowych. Ale ich refleksje, jak np. Stanisława Bielenia, Piotra Kimli, Grzegorza Kołodki, Edwarda Karolczuka giną w słowotoku setek tysięcy analityków, strategów, geopolityków, pracowników wywiadów i think tanków. Najczęściej to byli wojskowi, którzy działają teraz na ideologicznym froncie w różnych fundacjach i ośrodkach, gdzie rodzą się lęki i zagrożenia. Tworzy się tzw. głębokie państwo. Główną wygraną jest hegemonia<sup>1</sup>. Rdzeniem ich refleksji jest państwo jako aparat przemocy i zapewniania bezpieczeństwa przed zagrożeniami militarnymi. Pomijają zaś służebne funkcje państwa wobec biznesu, wobec jego potrzeb zaopatrzenia w surowce, rynki zbytu, tanią pracę. Boją się wojen, ale nie chcą czy nie potrafią dostrzec ich społeczno-ekonomicznych źródeł.

Ale to nie wojna, strategia czy konflikt określają zbiorowy los mieszkańców planety. Jest coś bardziej podstawowego. To jest skutek wcześniejszej strukturalnej słabości życia pośród innych. Powstaje ona w sytuacji, kiedy ludzkość jest podzielona na cywilizacje, narody, sojusze, wspólnoty regionalne jak UE. Tym, co powoduje niepewność egzystencji członków takich wspólnot jest brak kontroli nad cudzymi arsenałami. Mamy kontrolę tylko nad własnym. A co z tym arsenałem, którym rozporządzają inni żyjący obok nas? W tej sytuacji decydenci, stratedzy, analitycy nigdy nie mogą mieć stuprocentowej pewności, co do intencji pozostałych uczestników żyjących bliżej lub dalej od granic państwa. Jak piszą brytyjscy badacze bezpieczeństwa Ken Booth i Nicholas Wheeler, ten stan *nieprzewidywalnej niepewności* tworzy istotę dylematu bezpieczeństwa<sup>2</sup>. Np. jakie jest ostateczne przeznaczenie tarcz antyrakietowych, jak tej w Radzikowie? Słowem, polityk odpowiadający za bezpieczeństwo ludności musi najpierw odczytać właściwe intencje kontrpartnera, przeciwnika, wroga. Tak powstaje dylemat interpretacji. Potem musi zdecydować, jak zareagować na tak czy inaczej postrzegane działania drugiej strony. To dylemat reakcji, wyzwanie strategiczne. Na każdym z tych poziomów analizy i decyzji może popełnić błędy. W tej sytuacji rozsądny polityk powinien przygotować armię na najgorszy scenariusz. Pozostali postępują podobnie. Ostatecznie nakręca się spirala wrogości, w następstwie zbrojeń – odległych od początkowych zamiarów. Na tym polega paradoks bezpieczeństwa. Dlatego w polityce między narodami to *niepewność jest pewna*. Tu rządzi lęk. A jak wiadomo ból, lęk, strach to wartości elementarne, warunkujące egzystencję jednostki<sup>3</sup>.

Użyteczność takiej perspektywy oglądu stosunków między państwami staje się zrozumiała w sytuacji, kiedy destrukcji planety może w każdej chwili dokonać broń jądrowa. Według analiz symulacyjnych amerykańskiej

<sup>1</sup> Zob. John J. Mearsheimer, *Tragizm polityki mocarstw*. Universitas, Kraków 2019, tłum. P. Nowakowski, J. Satkiewicz, rozdz. II. Anarchia i walka o potęgę.

<sup>2</sup> Zob. Ken Booth, Nicholas J. Wheeler, *Wprowadzenie. Niepewność [w:] Studia bezpieczeństwa*, red. Paul D. Williams, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2012, tłum. P. Nowicki, s. 131–147. Oraz tychże, *The Security Dilema: Fear, Cooperation and Trust in World Policy*. Palgrave, Basingstoke 2008.

<sup>3</sup> Zob. np. Zdzisław Cackowski, *Filozoficzne problemy człowieka i społeczeństwa*, PWN, Warszawa 1990, rozdz. V. W tej perspektywie interpretuje relacje między państwami realizm jako kierunek badawczy. Zob. np. John J. Mearsheimer, *op. cit.*

uczelnia technicznej Michigan Tech wystarczyłaby eksplozja zaledwie 100 głowic jądrowych, żeby planetę zamienić w kosmiczny pył. Może znów tylko sinice zaczęłyby odtwarzać życie na Ziemi. Tymczasem według aktualnego raportu FAS (Federacji Amerykańskich Naukowców) arsenał w pięciu państwach wzrósł o ponad 700 głowic. Dwaj giganci posiadają ponad 10 tys. głowic: Rosja 5580, Stany Zjednoczone zaś 5044. Kolejne kraje robią co mogą, by siłą zniszczenia móc wzmóc: od 1986 roku Chiny zwiększyły swój arsenał z 224 do około 500, Wielka Brytania i Francja po około 200. Dalej idą: Pakistan – 170, Indie – 172, Izrael z 44 do 90, Korea Północna około 50. Ogółem mieszkańcy planety żyją między 12 121 tysiącami głowic jądrowych i środkami ich przenoszenia. Przy czym 2100 głowic amerykańskich, rosyjskich, brytyjskich i francuskich znajduje się w stanie wysokiej gotowości bojowej. Co gorsza, poszczególne kraje wznawiają testy jądrowe w tajnych podziemnych ośrodkach<sup>4</sup>.

Początkowe działania, by podnieść poziom własnego bezpieczeństwa kończą się budową *fortu Polanda*. W sumie, kurczy się bezpieczeństwo wszystkich uczestników zbiorowości – społeczeństw rządzonych przez biurokrację swoich państw. Mają one dużą swobodę decyzji i działania, nawet wtedy, kiedy kierownictwo ma mandat od wyborców. To jedno z ograniczeń demokracji wyborczej. By wpływ społeczeństwa o zróżnicowanych interesach klasowych był większy, konieczne jest jej uzupełnienie o inne formy. Np. demokrację deliberatywną, która umożliwiałaby bezpośrednią wymianę argumentów między decydentami a adresatami ich decyzji, albo może umożliwiać koprodukcję administracji i obywateli<sup>5</sup>.

Paradoks bezpieczeństwa pozwala nam zrozumieć gorączkę zbrojeń europejskich marionetek biznesu – sektora zbrojeniowego, finansowego, samochodowego. Do kogo bowiem popłynęły bezpośrednio te 800 mld euro planowanych wydatków na zbrojenia? Których korporacji zasiliły wydatki na konwencjonalną i nowoczesną broń? I kto ma akcje czy udziały w tych korporacjach?

Skoro wyścig zbrojeń nie daje ostatecznego bezpieczeństwa, może warto szukać lepszej strategii niż zbrojenia. Te mogą co prawda, jak w USA, zwiększać innowacyjność gospodarki. Zwłaszcza jeśli się rozporządza pieniądzem światowym. Ale nie tylko w realiach europejskich – także całej ekumeny trzeba wyjść poza wojskowy aspekt polityki bezpieczeństwa. Bo zawsze pojawiają się kolejne wyzwania: rywalizacja przemieszczająca się w kosmos, a na polu walki przeciwko sobie autonomiczne czołgi. „Sztuka polega na tym, aby równoważyć siły militarne – albo, jak kto woli, obrotowe – przy możliwie najniższym poziomie nakładów, a nie coraz wyższym”<sup>6</sup>.

<sup>4</sup> Zob. Artur Ciechanowicz, *Raport: pięć państw po cichu zwiększa zapasy broni jądrowej. Są obawy przed III wojną światową*. BIZNESALERT, 07.03.2025. <https://biznesalert.pl/raport-piec-panstw-po-cichu-zwieksza-zapasy-broni-jadrowej-sa-obawy-przed-iii-wojna-swiatowa/#>

<sup>5</sup> Zob. w tej sprawie, Dawid Sześciło, *Samoobsługowe państwo dobrobytu. Czy obywatelska koprodukcja uratuje usługi publiczne?* Wydawnictwo Naukowe Scholar, Warszawa 2015 oraz Mikołaj Ratajczak, *Forma życia i dobro wspólne. Geneza i aktualność współczesnej włoskiej filozofii politycznej*. Instytut Badań Literackich PAN, Warszawa 2020.

<sup>6</sup> Grzegorz Kołodko, *Wojna i pokój*. PWN, Warszawa 2022, s. 183/184.

Państwa chroniące i wspierające największe gospodarki rywalizują w systemie globalnego kapitalizmu. To kapitalizm wzrostu gospodarczego, bo innego być nie może. Wyzwania, które stanowią pochodne panującego Systemu, mają charakter globalny, zarazem wspólnotowy: chaos ziemskiego klimatu, eschatologia mineralna prowadząca do rywalizacji o zasoby ropy i minerałów.

Ale gospodarka podporządkowana zyskom wielkich korporacji i sektorowi finansowemu rodzi jeszcze inne pozamilitarne zagrożenia. To dysproporcje rozwojowe między bogatą Północą a globalnym Południem. W następstwie podnoszą się fale masowych migracji. Przybywa konfliktów na tle etnicznych i rasowym w bogatych społeczeństwach. To zaś reanimuje skrajną prawicę, dodatkowo rozbijając ideologicznie tych, którzy żyją z pracy własnych rąk i umysłów.

**W obronie status quo.** Każdy naród ma własną mitologię, tym bardziej, że pustosłowie nic nie kosztuje. Amerykanie otaczają kultem ideały wolności i równości (liberalnej), którą uosabiają ojcowie założyciele: Thomas Jefferson i George Washington. Lecz 20 procent ówczesnej populacji, ponad 600 tys., to zniewoleni Afrykanie. To dzięki ich pracy powstawało główne źródło dochodu – eksport bawełny i tytoniu. Podobnie zresztą jak źródło utrzymania dwóch wyżej wymienionych patronów niepodległości. Washington był drugim w kolejności krezusem swego pokolenia. I to podbój amerykańskiego kontynentu posłużył za wzór innym Europejczykom (później Japończykom) w opanowywaniu *terra nullius* dla osadnictwa białych ludzi: od Syberii na północy do Australii na południu. Tradycja zobowiązuje.

Obecnie Stany Zjednoczone starają się utrzymać *pax americana*, a więc światowy system kapitalizmu, w którym dominuje Triada: USA z Kanadą, UE, Japonia z Australią. Reprezentuje ona około 18 procent populacji. Utrzymanie tego ładu wymaga przeciwdziałania tendencjom, które go podważają. Hegemonia USA korzysta bowiem ze słabości UE, która nie jest państwem, nie ma wspólnej polityki fiskalnej, przemysłowej, obronnej itd. Nie ma też surowców energetycznych i minerałów. W ten sposób Unia dokonuje samookaleczenia za sprawą swoich domniemyanych przywódców. Atlantyzm, połączony z wojskową kuratelą nad europejskim sojusznikiem ulokowanym w NATO, nie pozwala realizować europejskiego projektu. Jego istota polega na łączeniu efektywnej gospodarki z bezpieczeństwem socjalnym klas pracowniczych, na dodatek we wspólnym państwie poddanym demokratycznej kontroli.

Groźny dla amerykańskiej hegemonii gospodarczej jest też rysujący się sojusz państw tworzących grono kontestujące obecny ład. Nie przypadkiem to Rosja i Chiny opłatane są łańcuchem 750 baz, pływających fortec, nowych nawróconych na demokrację sojuszników leżących blisko ich granic. To państwa BRICS, głównie Chiny, Rosja, Indie, Brazylia. Nawet Turcja i Arabia Saudyjska, nie wspominając o Iranie. Kraje te zmierzają do stworzenia wielocywilizacyjnej wspólnoty narodów i państw. Ponadto, stopniowo odchodzą od dolara jako waluty rozliczeniowej w handlu ropą. Chcą stworzenia koszyka walut. Kto wtedy sfinansuje deficyt handlowy i płatniczy słabnącego gospodarczo olbrzyma? Dodatkowo kraje te, zaopatrywane w tanie surowce energetyczne, mogą złamać zachodnią hegemonię gospodarczą; stają

się konkurencyjne wobec przemysłu europejskiego. Tym samym mają szansę pełnić rolę kredytodawcy, zaopatrzeniowca, rzecznika interesów globalnego Południa. Tworzą więc efektywny, alternatywny biegun koncentracji gospodarczej i politycznej. W ten sposób powstaje faktycznie świat co najmniej dwubiegunowy.

## 2. Ekologiczne koszty wyścigu zbrojeń

Ale jest aspekt, o którym milczą wszyscy politycy płynący na fali zbrojeń. Koszty finansowe można oszacować. A co z kosztami ekologicznymi? Ponieważ zużycie energii i minerałów nie jest tu priorytetem, rozpocznie się orgia ich marnotrawstwa. Na dodatek kosztem „masła”, kosztem obniżenia poziomu usług publicznych, kosztem inwestycji w rozbudowę energetyki wiatrowej, solarnej, choćby tylko na potrzeby gospodarstw domowych. Wszystkie imperia rozbudowujące siły zbrojne były zależne od minerałów. Po kolei: złota i srebra, drewna potrzebnego na maszty, ale i działa. Potem był węgiel (drednoty), ropa i uran. Oba nuklearne mocarstwa wyprodukowały po 5 tys. strategicznych głowic jądrowych oraz 15 tys. w pociskach krótszego zasięgu. Według obliczeń Vaclava Smila, groźba wzajemnego zniszczenia obu mocarstw nuklearnych pochłonęła co najmniej 5 proc. komercyjnej energii, jaką skonsumowano w obu krajach w latach 1950–1990. Także obecnie konstrukcje nowoczesnej broni, wyposażanej w podstawowe napędy w postaci silników odrzutowych i raketowych, wymagają paliw kopalnych i elektryczności; ogromna energia jest też potrzebna do uzyskania rozszczepialnego izotopu uranu. Potrzebne są też stopy wysokogatunkowej stali, aluminium i tytanu. 60-tonowy czołg Abrams, nowy nabytek ministra wojny, jest napędzany turbiną gazową. Spala od 400 do 800 litrów paliwa na 100 km. Podobnie paliwożerne są samoloty F-16. W czasie operacji Pustynna Burza nad Irakiem w latach 1990–91 1300 amerykańskich samolotów odbyło ponad 116 tys. lotów<sup>7</sup>.

Obecnie to produkcja broni robotycznej, cyberbroni, wymaga kosztownych energetycznie metali ziem rzadkich. Bez nich nie byłoby półprzewodników, a w konsekwencji dronów. By je wydobyć, planeta jest penetrowana maszyną napędzaną wielkimi silnikami dieslowskimi. Drogę do złoża torują im materiały wybuchowe. To wojna wydana planecie. Według szacunku Grzegorza Kołodki, ograniczenie zbrojeń o 1 proc. rocznie (z 2,35 proc. do 1,35 proc. światowego produktu brutto) pozwoli zaoszczędzić bilion dolarów rocznie. Lista najpilniejszych wydatków nie ma praktycznie końca<sup>8</sup>.

Realny postulat to dążenie do ograniczenia wielkości armii do zadań o defensywnym charakterze, nielicznej i niedrogiej. To byłaby druga, po rooseveltofskim *New Dealu*, światowa wojna z korporacjami, ich udziałowcami, managementem, posiadaczami miliardowych pakietów akcji. Wówczas wygrana państwa polegała m.in. na rozdzieleniu bankowości komercyjnej i inwestycyjnej, na 90-procentowym podatku dochodowym

<sup>7</sup> Vaclav Smil, *Energia i cywilizacja*. Editio, Gliwice 2022, s. 284–294.

<sup>8</sup> Grzegorz Kołodko, *Wojna i pokój*. Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2022, ss. 181–186.

czy regulacji stosunków pracy, łącznie z zasiłkiem dla bezrobotnych. Teraz soldateska wysyła nas na księżyc po minerały, próbuje otworzyć kosmos dla rywalizacji koncernów. To nowe pole rywalizacji *żeglarzy naszych czasów*: Muska, Bezosa, Bransona. Podobnie ich poprzednicy ścigali się przed wiekami z wiatrem o panowanie nad oceanem światowym.

Przed niewyrobionym widzem/słuchaczem/czytelnikiem ukryty jest ścisły związek między neoliberalną globalizacją a militaryzacją polityki międzynarodowej. Najbardziej widzimy słabość dziennikarskiego ujęcia w postrzeganiu globalizacji jako *międzynarodowej współpracy*, która ma przynosić *wzrost gospodarczy, dobrobyt i świetlaną przyszłość*. Tymczasem to była kłamliwa od początku narracja neoliberalnych ekonomistów. Bo chodziło o tanią pracę i tanie surowce najpierw globalnego Południa, a później byłych krajów demokracji ludowej. W tym samym czasie trwa inna wojna – *haniebny atak na biednych ludzi* z Globalnego Południa i klasy pracownicze Północy. Rośnie przepaść dochodów i warunków życia między 1 a 99 procentami ludzkości. Rosną szare szeregi funkcjonalnie wykluczonych, w następstwie fale migracyjne i tzw. populizm. Dlatego nawet geopolityka to o wiele za mało, by ukazać główne źródło obecnego kryzysu.

**Mineralne imperia.** Penetrowanie planety w poszukiwaniu potrzebnych surowców to stały punkt w dziejach świata. Dla społeczeństw rolniczych to była ziemia i tania siła robocza – efekt podbojów. Potem złoto i srebro, bez którego państwa nie mogły finansować wojen: srebro z Laurium w Grecji, Asturia i Leon dla Cesarstwa Rzymskiego. Dla imperiów handlowych (Wenecji, Genui, Portugalii, Hiszpanii, Holandii, Anglii) to było najpierw drewno. Mówiono wtedy „nie ma drewna, nie ma królestwa”. A także żelazo i brąz do wytwarzania dział. To bowiem w alfabecie dział galeonów głosząco wyższość wartości europejskich nad wartościami ludów nieznaną Pana.

Żyjemy w dalszym ciągu w epoce imperiów kopalnych. To bowiem węglodory nadal konieczne są do tego, by utrzymać produkcję i konsumpcję; by chronić drogi transportu towarów i surowców, teraz kontenerowców czy gazowców. Dlatego do funkcjonowania Systemu konieczne są różne wersje drednotów – napędzanych najpierw węglem, potem ropą w dieslowskich silnikach, a także samolotów zbudowanych ze stali, ze stopów różnych metali, z tworzyw sztucznych. Obecnie wydobywanie metali ma szerokie zastosowanie militarne i cywilne, głównie w energetyce i w elektronice. Są one niezbędne do wywarzania elektroniki napędzającej roboty, jak i do cyberbroni. Mowa o metalach *krytycznych*, będących albo produktem ubocznym przy wytwarzaniu metali (gal, selen, tellur, german), albo występujących rzadko w litosferze. Dlatego są drogie (np. kg galu kosztuje 9 tys. razy więcej niż kg żelaza, a german 10 razy więcej niż gal). To m.in. kobalt, lit, tantal, cyrkon, wolfram, platynowce. Bez tych i wielu innych nie byłoby półprzewodników, a bez półprzewodników kapitalizmu platform, sieci, obróbki i przesyłania informacji – nowego źródła akumulacji kapitału i wylęgarni nowej oligarchii.

**Trumpizm.** Dlatego kalifornijskie *big techy* stanęły przed kolejnym wyzwaniem: jak zapewnić sobie zaopatrzenie w niezbędne metale i w niezbędną energię dla swoich platformianych biznesów? Nowe dziedziny produkcji i konsumpcji są konieczne, by kręciła się maszyna akumulacji kapitału: będą inwestycje, będą zyski. Ich brak oznaczałby kres systemu podporząd-

kowanego logice zysku. Od początku kapitalizm został zbudowany na taniej pracy ludów kolonialnych, później byłych chłopów zmuszonych, by przeżyć do pracy w fabrykach. Następnie taniej energii z węglowodórów, która napędzała nowe maszyny, a te ubogaczyły życie w coraz nową sprzęty i gadżety – jedne ułatwiały życie (pralka, lodówka, samochód), drugie – czyniły je przyjemniejszym (radio, telewizja, smartfon). Trumizm prownadzi, jak trafnie wskazuje historyk idei Andrzej Szahaj, do „połączenia totalnego kapitalizmu z zamordystycznymi rządami”<sup>9</sup>. Widzimy tego początku za Atlantykiem, a pilnym uczniem stała się polska prawica, antyszambująca w Białym Domu.

Zbrojenia są gigantycznym marnotrawstwem zasobów. Nie dajmy się zwodzić soldatesce lokalnej i światowej. Wspierają ją telewizyjni samozwańczy *eksperti*. To podżegacze wojenni z think tanków, z akcentem na tanki. Żaden wyścig zbrojeń nie rozwiązał dylematu bezpieczeństwa, który wywołuje nieprzewidywalną niepewność co do cudzych motywów, intencji i możliwości działań ofensywnych. I właśnie ta niepewność jest pewna. Ale można ją zredukować, budując środki zaufania i redukując arsenały. I wybrać nie armaty, tylko masło, zdrowie i życie. ■

Tadeusz Klementewicz, prof. nauk społecznych, UW.

<sup>9</sup> Tegoż, esej *Antydemokratyczny kapitalizm totalny*, „Przegląd” 17–23.2025, a także *Darwinizm społeczny*, „Przegląd”, 12–18.05.2025.

# Doktryna Trumpa



Przemysław GRUDZIŃSKI

*Strategia Narodowego Bezpieczeństwa 2025* prezydenta Trumpa nie jest rewolucyjna, chociaż tak ją widzą elity rządzące w Europie. Jest przede wszystkim odwrotem od ideologicznej koncepcji amerykańskich i europejskich liberałów. A te zmiany były widoczne od początku rządów obecnej ekipy.

Jej istotą jest nacisk na strategiczną stabilność, która jest wypadkową rywalizacji i porozumień głównych aktorów na scenie światowej. Wracając z całą mocą fundamentalna zasada realistów: równowaga sił (*balance of power*). W międzynarodowej grze żaden z aktorów nie jest klasyfikowany jako stałe zagrożenie ani jako wieczny sojusznik. Wersja trumowska równowagi sił jest bezwzględna, surowa, ponieważ lekceważy multilateralizm oraz inne narzędzia cywilizujące i mitygujące nagą siłę państw. W takim układzie każde państwo, zwłaszcza najsilniejsi gracze, maksymalizuje swoje korzyści kosztem pozostałych. Triumfują państwa, które nie oglądając się na innych, pomagają sobie samym. W terminologii stosunków międzynarodowych nazywa się to *self-help*.

Nowa *Strategia Bezpieczeństwa* jest dobrym odzwierciedleniem światopoglądu prezydenta Trumpa i jego najbliższego otoczenia. Jest to od-

powieź na wyzwania ze strony „świata, jaki jest”, cechująca się pragmatyzmem. Autorzy dokumentu inspirowali się w znacznym stopniu myśleniem szkoły realistycznej w stosunkach międzynarodowych. W świetle tego podejścia nieprzydatne są takie kategorie analityczne, jak odwieczna oscylacja strategii amerykańskiej między izolacjonizmem a interwencjonizmem.

Zasadnicza innowacja *Strategii*, szokująca wiernych aliantów Stanów Zjednoczonych w Europie, polega na reformie zarządzania obecnością Ameryki w świecie. Stanów Zjednoczonych nie stać już na utrzymywanie stabilnego świata na barkach amerykańskiego Atlasa. Zreformowana strategia odzwierciedlająca zmianę układu sił na świecie na niekorzyść Ameryki zakłada utrzymywanie stabilności w regionach w myśl koncepcji „*off-shore balancing*” amerykańskich realistów (John Mearsheimer). Stany Zjednoczone stawiają na wzmocnienie swojej potęgi wewnętrznej (bezwzględna dominacja na półkuli zachodniej), a bezpośrednie powstrzymywanie rywali w regionach i pilnowanie regionalnej stabilności przekazują aliantom: Japonii, Korei, Australii w Azji i europejskim członkom NATO w naszym regionie. Amerykanie są dyrygentem tego systemu, ale schodzą z pierwszej linii i wycofują się z roli mocarstwa utrzymującego swoją dominującą obecność militarną w odległych regionach.

Dostrzegam cztery główne zalety doktryny Trumpa:

- pogodzenie się Stanów Zjednoczonych, do niedawna hegemonu w polityce światowej, z rzeczywistością, co oznacza rezygnację ze strategii światowej dominacji, selektywne respektowanie interesów innych aktorów i gotowość do podzielenia się wpływami;

- odejście od czarno-białego obrazu świata podzielonego na oś dobra/demokracje i oś zła/autokracje. Odrzucenie tego schematu, mistyfikującego skomplikowaną rzeczywistość stosunków międzynarodowych, zwiększa szansę na uniknięcie kolejnej zimnej wojny w rezultacie podziału świata na sztywne bloki;

- powiew świeżości w związku z wyzbyciem się pozorów i zdjęcie grubej warstwy hipokryzji z uzasadnienia dla amerykańskiej polityki, która była w rzeczywistości nakierowana na uzyskanie partykularnych korzyści;

- najważniejszy aspekt nowej doktryny dotyczy wiszącej obecnie w powietrzu groźby wybuchu trzeciej wojny światowej. Z zapisów dokumentu wynika dążenie do uniknięcia totalnego starcia gigantów na wszystkich potencjalnych frontach (także z Chinami). To bardzo ważna rewizja poglądów w stosunku do *Strategii* Trumpa pierwszej kadencji.

Inne zasadnicze elementy, wynikające z doktryny Trumpa (wykraczam poza dosłowne stwierdzenia zawarte w samym dokumencie i sięgam do praktyki administracji), to:

- porzucenie dorobku organizacji międzynarodowych (zwłaszcza ONZ), osłabienie stabilizującej funkcji prawa międzynarodowego, traktatów;

- zwiększenie ryzyka militarnych rozwiązań konfliktów regionalnych i wojen lokalnych wskutek zwiększonej skłonności do interwencji zbrojnej (przy wykorzystaniu najnowszych technologii);

- powrót do nieograniczonego wyścigu zbrojeń konwencjonalnych i nuklearnych;

- brutalizacja języka i deprecjacja dyplomacji;

– militaryzacja polityki zagranicznej, czyli nieograniczone użycie siły w każdym wymiarze, nie tylko militarnym, w celu forsowania amerykańskich interesów.

Zatem doktrynę Trumpa, wyrażoną w *Strategii*, cechuje ambiwalencja, sprzeczności i brak spójności. Znamienny jest nacisk położony na unikanie wiążących zobowiązań, odrzucenie odpowiedzialności za dobro wspólne. Odejście od polityki interwencji w wewnętrzne sprawy innych państw, od *nation-building*, od narzucania norm i reguł, nie jest konsekwentne. Na miejsce ideologii demokracji wciska się bowiem katalog postulatów o charakterze wyraźnie tradycjonalistycznym i prawicowym, a nawet skrajnie prawicowym. W odniesieniu do migracji przewijają się wątki rasistowskie.

Na odrębną analizę zasługuje nadzwyczaj krytyczne, a właściwie pogardliwe potraktowanie Europy, a zwłaszcza europejskiego federalistycznego eksperymentu. Stany Zjednoczone nie widzą zalet powtórzenia amerykańskiej drogi na Starym Kontynencie. Przyszłość widzą wyłącznie w kategoriach ścierających się ze sobą państw narodowych.

*Strategia* poddaje krytyce elity europejskie za ich nastawienie na kontynuację wojny w Ukrainie i brak refleksji o tym, jak ułożyć w przyszłości stosunki z Rosją. Ironią losu jest rzecz jasna to, że wojna rosyjsko-ukraińska była pierwotnie wojną amerykańską *by proxy*. Stany Zjednoczone od dłuższego czasu widziały w Rosji bezpośrednie zagrożenie i starały się ją osłabić. Jednak prezydent Trump nie czuje się odpowiedzialny za destrukcyjną w wielu obszarach politykę poprzedników i wyklucza kajanie się za błędy przeszłości.

*Strategia* całkowicie pomija kwestię nierówności na świecie, biedy, wszelkie kwestie humanitarne, pomoc rozwojową, nie mówiąc już o międzynarodowych dobrach publicznych.

Wydawało się znawcom, że reanimacja takiego porządku światowego w epoce globalizacji byłaby zgoła niemożliwa. Trump, mimo znanych ograniczeń, dokonuje niemożliwego. Jednak nawet zasada równowagi sił powraca nie w wersji oświecanej, znanej z Kongresu Wiedeńskiego, ale w radykalnej, drapieżnej postaci.

Nie ulega kwestii, że dla prezydenta Trumpa, oprócz zaanonsowania świata nowych zmienionych reguł gry, najistotniejszy jest *pivot* amerykański czyli odnowienie doktryny Monroe, jako punkt wyjścia do zmiany polityki interwencjonizmu i generalnie przesunięcia punktu ciężkości polityki Stanów Zjednoczonych na sprawy „domowe” (w kraju i w obu Amerykach).

W tej analizie na gorąco pomijam aspekty regionalne doktryny Trumpa, w tym fragment omawiający politykę na Bliskim Wschodzie, który pomija związki Stanów Zjednoczonych z Izraelem i ludobójstwo w Gazie, czy wizję przyszłości narodu palestyńskiego. ■

**Przemysław Grudziński** – polski dyplomata, naukowiec, dr hab. nauk historycznych, były wiceminister obrony i spraw zagranicznych, ambasador Polski w USA i Finlandii, stały przedstawiciel przy Biurze ONZ w Wiedniu, autor wielu książek, w tym m.in. *Teologia bomby. Narodziny systemu nuklearnego odstraszania 1939–1945* (1988), *Rozpadające się światy* (2024), *Twarde państwo* (2025).

# Hotel Ukraina



Bohdan ZADURA

\*\*\*

czy wpuściłbyś pod swój dach  
uchodźcę z Ukrainy? –  
pyta internetowy portal

Andrija Bondara i Sofijkę  
nawet z dzieckiem  
i z teściami  
tak

ale czy także  
z dwoma psami  
tego nie wiem

Bojczenków  
całą trójkę

Hałynę Kruk  
nawet z nowym facetem

Katię Babkinę  
nawet starszą o dwadzieścia lat

Dmytra Pawłyczkę  
nawet osiemdziesięcioletniego

Lubow Jakymczuk  
nawet w ciąży

Dzwinkę Matijasza nawet z siostrą Bohdaną  
i Bohdanę Matijasza nawet z siostrą Dzwinką

Saszkę Irwanciana z Oksaną

Natałkę Biłocerkiweć z Mykołą

Mykołę Riabczuka z Natałką

Pawła Szczyrycię nawet z wrzodami  
na żołądku

Wierę Meniok i małą Wierkę  
z Drohobycza

i Lonię Goldberga również stamtąd  
choć niech nie liczy że mu potwierdzą  
na LinkedInie że jestem  
jego znajomym

Serhija Żadana  
choć jest z Charkowa

Saszkę Kabanowa  
choć pisze rymowane wiersze  
i robi to po rosyjsku

Andrija Lubkę  
bez zastanowienia

i Neboraka Kijanowską Beleja  
Strongowskiego i Sływyskiego  
Semenczuka i Wynnyczuka  
Łyszehę i Danę Pinczewską  
i kobietę która się ukrywa pod  
nickiem verandabalkonova  
i w księgarni E  
w 2010 dostałem od niej  
liścik

Maryjkę Martysiewicz Igora Bielowa Wasyla Machnę  
no nie Maryjka to Białorusinka Igor to Rosjanin  
a Machno od czternastu lat  
mieszka nie w Tarnopolu a w Nowym Jorku  
więc najpierw niech Amerykanie  
zniosą dla Polaków wizy

\*\*\*

z lewej strony ekranu napis:  
na żywo: krwawe starcia w Kijowie

wchodzę na espreso.tv  
a właściwie jego retransmisję  
strzały  
barykady  
płonące opony  
morze głów  
z hotelem Ukraina w tle  
przemówienia  
od czasu do czasu  
zagłuszane  
przez reklamy pasty do zębów

w hotelu Ukraina  
późną ciepłą jesienią  
2012 przez dwa dni  
mieszkałem na piątym piętrze  
z widokiem na Majdan  
późnym wieczorem  
wracałem z Arsenалу  
ulicą Instytucką  
w barku przy recepcji  
piłem z kimś koniak zakarpacki  
kto to był może Leś Belej  
nie pamiętam  
ale z lotniska odbierała mnie  
i odwoziła do Boryspola  
Ola Bratczuk  
i ją też bym wpuścił  
pod swój dach  
oglądałem zdjęcia w internecie  
ten hol na dole

gdzie wtedy prócz recepcjonistki  
nas dwóch i jakiejś kobiety  
gotowej zająć się  
czyjąś samotnością  
nie było nikogo  
zamieniony  
na połowy szpital  
i kostnicę

\*\*\*

w puławskim mieszkaniu  
dobiegają mnie głosy z podwórka  
harmider krzyki jakieś śpiewy trzaski

podchodzę do okna  
wychodzę na balkon  
na trawniku pod oknami dwóch  
sąsiednich klatek  
schodowych  
tłum

kilkadziesiąt osób  
to uchodźcy z Ukrainy  
domagają się by ich wpuszczono  
do mieszkań  
są agresywni  
krzyczą

sława Ukraini herojam sława  
nikt do nich nie wychodzi  
nikt im nie otwiera

dziwi mnie  
że wybrali tylko  
dwie pierwsze klatki  
zupełnie nie zainteresowani  
tą w której mieszkam

budzę się w warszawskim mieszkaniu  
słyszę te same głosy co we śnie  
na ekranie telewizora  
prjama translacja z Majdanu

\*\*\*

wstyd mi kochani  
że tym bardziej  
jestem z wami  
im bardziej nie słyszę  
waszych przywódców  
i wszystkich  
którzy mówią  
do was ze sceny  
również po polsku

23.02.2014

Wiersz z tomu *Kropka nad i*, Biuro Literackie 2014

# TRADYCJE PPS

## Socjalista i adwokat Ludwik Cohn



Jerzy PAPUGA

Adwokat Ludwik Cohn to postać już niewiele niestety mówiąca współczesnym pokoleniom, zapamiętana właściwie tylko w dość wąskich kręgach historyków, publicystów i adwokatów, a szkoda, bo mogłaby stać się ponadczasową legendą i inspiracją dla postępowego aktywizmu oraz pięknym przykładem obowiązywania zasad etyki niezależnej. Odszedł z tego świata dzień po ogłoszeniu w grudniową noc 1981 roku stanu wojennego, a przeszedł przez swoje niezwykle życie z podniesionym czołem i zawsze po właściwej stronie – jako żołnierz, działacz socjalistyczny, adwokat i działacz samorządu adwokackiego, więzień i opozycjonista.

Mimo to jest postacią niezwykle dzisiaj frapującą, klasycznie podręcznikową dla pewnego typu inteligenta polskiego, choć swym niezwykłym życiem mógł spokojnie wystawiać Ojczyźnie obfite rachunki do wyrównania – zarówno przed-, jak i powojennych krzywd i cierpień. To, że nigdy, również pośmiertnie, nie było nawet o tym mowy, ustawia go na nieistniejącym piedestale cichych bohaterów narodowych, którym spiżu i brązu nadal się w Polsce skąpi, choć niesprawiedliwe wyroki po latach anuluje, a postać przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego pośmiertnie odznacza. Był osobą spajającą w sobie najlepsze cechy przedwojennej socjalistycznej inteligencji, w której etosie dziś już niewiele odnajduje wzorce do naśladowania, wraz z odchodzeniem do przeszłości znaczenia inteligencji jako warstwy społecznej nadającej niegdyś dynamikę życiu społecznemu; w czasach PRL-u – postępowego etosu inteligenckiego jednak najsilniej obowiązującego po opozycyjnej stronie tamtego świata, która siły napędowe i życiodajne soki czerpała m.in. z niepodległościowego, demokratycznego socjalizmu. Poświęcenia bez reszty sprawom innym, bez zbędnych słów i gestów, w codziennej pracy, np. adwokata broniącego ludzi pokrzywdzonych przez system. A mimo to mieniącego się w pełni mianem socjalisty, z czym nijak nie mogła sobie poradzić głupia peerelowska propaganda ani tym bardziej z gruntu moczarowska policja polityczna.

Warto tę postać ze wszech miar teraz upamiętnić, mimo przecież istotnych wysiłków, aby nie pozostała po niej zupełna pustka, szczególnie dojrzałego już biografą i publicystą Przemysława Prekiela; z pozycji zaangażowanego socjalisty zapamiętałe walczył on wszędzie, gdzie tylko

może o tę pamięć, co należy tu podkreślić. Jej najpełniejszym wyrazem jest biografia *Ludwik Cohn – od PPS po KOR*, jeszcze z 2019 roku, ale nadal do kupienia np. w warszawskiej księgarni im. Bolesława Prusa przy Krakowskim Przedmieściu. I choć czyta się ją czasami z trudem – pewna, miejmy nadzieję miniona już nieporadność autora jako biografą daje tu o sobie trochę znać – to Prekielowi należą się podziękowania, że swego bohatera umieszcza w szerokim kontekście historycznym, ukazując jego pracę i rzetelnie opisując życiorys. Począwszy od charakterystycznej w wielu polskich rodzinach przełomu XIX i XX wieku genealogii żydowsko-polskiej, poprzez wychowanie w dość zamożnym domu maklera i sędziego, młodość harcerską w drużynie im. płk. Berka Joselewicza, gdzie jako Polak żydowskiego pochodzenia w pełni i na zawsze utożsamił się z polską kulturą, historią i obyczajem, po to, co zaprowadziło młodego Ludwika na barykady rodzącej się polskiej niepodległości. Już jako socjalista i żołnierz walczył z potopem bolszewickim w 1920 roku, zapisując piękną kartę walki z bronią w rękę w obronie niedawno powstałego niepodległego państwa. I to najmocniej ukształtowało kręgosłup polityczny i moralny przyszłego adwokata – zdecydowane opowiadanie się po stronie demokratycznego socjalizmu i zarazem niepodległości, czego po 1945 roku inni socjaliści, o bardziej elastycznych kręgosłupach ideowych i moralnych, wybaczyć i zapomnieć mu nie mogli. A także wejście w szeregi ruchu wolnomularskiego w latach 70. XX wieku i budowanie wokół tego zaangażowania pomostu pomiędzy starymi a nowymi czasami. Nawet wtedy, kiedy obiektywnie młoda lewica PPS zbliżała się swoimi radykalnymi postulatami i działaniami do przedwojennego ruchu komunistycznego, ten aksjomat nie pozwalał przekraczać niewidzialnej granicy wystąpienia pod jednym wspólnym czerwonym sztandarem. Jak też podstępne zabiegi komunistów, aby rozbić młody ruch socjalistyczny i wyłowić stamtąd postaci, które można byłoby urobić na komunistyczno-kremlofską modłę.

Kończąc studia prawnicze na UW, jednocześnie rozpoczął fascynującą karierę polityczną, najpierw w – jak byśmy dziś powiedzieli – młodzieżówkach polskiego socjalizmu, następnie na forum międzynarodowym i w dorosłej już PPS, która przed wojną, co warto zapamiętać, swoimi wpływami nie przekraczała liczby ledwie 20 tys. członków partii. Prekiel jest tego rzetelnym kronikarzem, powołując się m.in. na dokumenty partyjne, szczegółowo referując walki wyborcze w kraju czy ówczesne wysiłki młodego Cohna, aby możliwie szeroko awansować młodzieżowy ruch socjalistyczny do struktur międzynarodowych. Przyniosło to znakomite rezultaty, czyniąc z Cohna jeszcze przed wojną jednego z liderów całej PPS z jej TUR-owskiego skrzydła (Dubois, Garlicki). Już tylko to mogłoby stać się świetną pożywką dla dzisiejszych działaczy lewicy, jakże mocno zatroskanych pochodem nacjonalizmu i wszelkich innych pravicowych *izmów*, bo przecież ta fala równie mocno wzmagająca się i wychodziła z brzegów przed wojną, choć dziś ma niestety nieporównanie mocniejszych patronów i protektorów. Cohn przedwojenny stawał temu aktywnie czoła, organizując nie tylko manifestacje i w konsekwencji uliczne starcia, ale najważniejsze dla każdej młodości formy życia zbiorowego. Biblioteka, teatr, wycieczka, kurs, koncert, sport... Warto wziąć jego ówczesną działalność na dzisiejsze sztachety przeciwko obecnemu zalewowi przez stadionową czerń współczesnego polskiego ży-

cia. Świadomość potrzeby budowania tego typu alternatyw dla nędzy, wykluczenia, bezrobocia i braku perspektyw była wielką zasługą tamtego pokolenia polskich socjalistów.

Inną tego mocną stroną były wspomniane kontakty międzynarodowe, szczególnie wśród niemieckiej, szwedzkiej i austriackiej socjaldemokracji, które zaprocentowały (choć nie bez pewnych rozczarowań) bardziej po 1945 roku, a przed wojną miały silnie antytalitarne i antyfaszystowskie zabarwienie. Były to naprawdę żywe treści ówczesnego życia partyjnego i wypada żałować tylko braku współczesnej ich kontynuacji... Ale i w życiu zawodowym przedwojenny Cohn wielce awansował, przystępując do ówczesnej palestry, choć atmosfera rządów sanacyjnych czyniła Polskę krajem wyjątkowo źle traktującym demokrację i jej przedstawicieli, krajem pogłębiających się tylko konfliktów i nierówności.

Cohn staje się czołowym obrońcą w ówczesnych procesach politycznych, co w omawianej książce dość detalicznie się dokumentuje, odczarowując wyidealizowany obraz dwudziestolecia. Niestety, bardziej w tonie sprawozdawczym, aniżeli np. wspomnieniowym, co znakomicie przyczyniłoby się do ożywienia tej jakże potrzebnej współczesnym biografii. Być może wynikało to z przyczyn obiektywnych, np. braku dostępu do archiwaliów, a może z pewnej jeszcze wtedy występującej słabości warsztatu, jest to jednak ostatecznie defekt do nadrobienia. Podobnie jak niedoróbki redakcyjne czy zbyt szeroko rozbudowane tło opisywanych wydarzeń, gdzie losy głównego bohatera niepotrzebnie gubią się wśród przytaczanych *en masse* szczegółów, jak w opisie września 1939 roku.

Cohn do wojny poszedł, będąc oficerem rezerwy i walcząc na warszawskiej Pradze, za co został po trzykroć odznaczony Krzyżem Walecznych. A całą niemal wojnę spędził za drutami Oflagu IIC Woldenberg, w części przeznaczony dla oficerów pochodzenia żydowskiego, z którymi pozostali polscy oficerowie w niemieckiej niewoli na ogół się utożsamiali i w oflagowej codzienności wspomagali. Ale dało to możliwość z jako taką godnością przejścia przez zawieruchę wojenną, a nawet wzmocnienia się pod kątem socjalistycznej wiedzy i umiejętności (w istniejącym w oflagu kółku socjologicznym, czyli obozowej tajnej placówce PPS). Tym bardziej, że na horyzoncie zmiana politycznych w Europie światała coraz bardziej nowa Polska przesunięta granicami na zachód, ale oddana rządowi Moskwy, choć początkowo w formule przejściowej, ze spontanicznie odżywającym życiem politycznym, w nurt którego od razu włączył się uwolniony z oflagu Cohn.

O ile PPS przedwojenna miała dość ograniczone wpływy i członkostwo, to zasięg powojennej wzrósł o rząd wielkości – w 1946 roku notowano ponad 200 tys. członków i sympatyków partii, mimo przecież powojennego rozłamu i trudnych wyborów, jakie się przed ocalałymi z wojny działaczami otwierały. Cohn jest w te spory i działania zaangażowany po stronie PPS-WRN, nie wyrzeka się demokratycznego i niepodległościowego socjalizmu i nie ma zamiaru zgłaszać akcesu do kolejnych socjalistycznych pasów transmisyjnych, obmyślanych i konstruowanych naprędce w kraju, a często wręcz na Kremlu. Nawet jeśli nowa PPS, z ocalałym z Auschwitz Józefem Cyrankiewiczem na czele, była jakąś formą przetrwania, a dla wielu ludzi stała się ostatecznym życiowym

wyborem, to Cohn konsekwentnie spotyka się z takimi działaczami prawdziwej PPS, jak Pużak, Zaremba czy Żuławski, a nawet podejmuje działania w sprawie udziału resztówki partii w wyborach z list mikołajczykowskiego PSL-u... To oczywiście musi zaprowadzić go do stalinowskiego aresztu i skazania w stalinowskim procesie, nowa władza nie ma zamiaru tolerować partii, która zagraża ekipie osadzonej już przez Kreml; jak również aktywności działaczy socjalistycznych z krwi i kości. Aczkolwiek wtedy ludzkie wybory nie były zero-jedynkowe, biograf to w swej książce porządnie przedstawia, ale faktem jest, że przesłuchania stalinowskich prokuratorów doprowadzają Cohna torturowanego straszliwymi warunkami więzienia na skraj życia i śmierci, zmuszając w obliczu skazania na 5 lat więzienia do podjęcia czynów skrajnych.

Wybawieniem okazuje się amnestia, narastająca odwilż październikowa i to, co czyniło jakieś nadzieje na normalność. Znakomicie się w tym odnalazł Ludwik Cohn jako adwokat i słusznie krajowa palestra uważa go dziś za postać ważną dla swojej odnowy po październiku 1956 roku. Rozpoczyna się nowy rozdział, naprawdę piękna karta, w życiu bohatera tego eseju, jako opoki opozycji w PRL. Etapami są uczestnictwo mec. Cohna jako obrońcy w głośnych procesach politycznych epoki Gomułki i Gierka, w Klubie Krzywego Koła, a już w latach 70. animowanie KOR czy prace na rzecz robotników szykanowanych w Ursusie i Radomiu oraz dokumentowanie łamania praw człowieka w Polsce.

Jeśli dziś wymieniamy mec. Ludwika Cohna obok adwokatów Anieli Steinsbergowej, Jana Olszewskiego czy Władysława Siły-Nowickiego, to myślimy właśnie o korowsko-radomskim etapie ich działalności, która przecież toczyła się na salach sądowych poniekąd w ramach peerelowskiej „praworządności”. Adwokaci byli niezwykle trudnym jej sądowym przeciwnikiem, co usłużnych dyrektywom bezpieczeństwa sędziów doprowadzało do prawdziwej rozpacz. Ale i ta droga była wykorzystywana, sala sądowa stanowiła bowiem forum, na którym opozycja mogła się skutecznie i głośno wypowiedzieć, nieraz... broniąc konstytucji PRL i obywateli przed funkcjonariuszami komunistycznej władzy. To wykorzystywanie na sali sądowej przepisów ówczesnego prawa – w imię praworządności – dziś wydaje się zabiegiem karkołomnym, ale wtedy było często ostatnią redutą skutecznej obrony.

Przemysław Prekiel wskazuje także na inny ważny aspekt – powstrzymywania niektórych zapędów opozycji, aby nie wkroczyć w obszar, który ułatwi życie propagandzie i policji politycznej. Tu doświadczenie adwokackie i zbudowany przez lata autorytet były bezcenne; mec. Cohn od razu uznany został za opokę tego coraz bardziej podzielonego środowiska i pełnił rolę swoistej starszyny, która tonowała często zbyt daleko idące zapędy. Warto przypomnieć, że w tym środowisku odnaleźli się natychmiast ludzie dawnego PPS, jak Pajdak czy Lipiński, a z Londynu małżeństwo Ciołkoszów, którzy dla doświadczonych Marcem 1968 roku młodych lewicowych działaczy stali się od razu swoistym zbiorowym spolegliwym opiekunem. Co nie hamowało działań policji politycznej, aby śledzić, podsłuchiwać, szczerć, natchodzić i napuszczać jednych na drugich... To także jest w biografii przedstawione, nie rozstrzygając ówczesnych sporów i racji. Tu jednak działał nieustrudzony Jan Józef Lipski, spajający na ile to było możliwe to środowisko, no i obowiązywały wypracowane na bazie starych doświadczeń ścisłe reguły

zachowania, które szykanowani opozycjoniści konsekwentnie wobec organów stosowali. Wystarczy sięgnąć po grube wspomnienia Jacka Kuronia, który był mistrzem wyprawowania tego typu zabiegów bezpieki w pole i gier z nachodzącą go nieustannie policją polityczną.

Oczywiście podpisy Cohna widnieją pod ważnymi dokumentami epoki, mającymi wówczas formę listów ogłaszanych opinii publicznej, a dziś traktowanymi jako kamienie milowe polskiej drogi do niepodległości. I swoistym symbolem jest, że jego odejście nastąpiło dzień po wprowadzeniu 13 grudnia 1981 roku stanu wojennego, kiedy nadzieje na inne państwo i społeczeństwo zgasły, ale finał nowej epoki, którą stan wojenny przecież zapoczątkował, okazał się per saldo całkiem szczęśliwy, do czego walnie rękę przyłożyli ludzie dawnego KOR-u i całej opozycji demokratycznej. ■

Warto przeczytać: Przemysław Prekiel, *Ludwik Cohn – od PPS po KOR*, Wydawnictwo „Kto jest Kim”, Warszawa 2019, str. 280.

# Igor Newerly i lewicowa tradycja literacka



Janusz TERMER

W żadnym ze spisów wybitnych pisarzy polskich XX wieku, nie może zabraknąć osoby i dorobku literackiego urodzonego w 1903 i zmarłego w 1987 roku Igora Newerlego. Dziś taka opinia może, jak się wydaje, nieco dziwić mniej zorientowanego odbiorcę literatury, dla którego pisarz ten kojarzyć się może w najlepszym przypadku ze sztandarową dla lat 50. *Pamiętką z Celulozy* (1952), mniej zaś ze zbeletryzowanymi jego wspomnieniami z młodości spędzonej w objętej ruchami rewolucyjnymi i wojną domową Rosji dekady lat 1914–1924, opublikowanymi pt. *Zostało z uczyty bogów*, najpierw w niskonakładowym miesięczniku „Meritum” (redagowanym przez Andrzeja Mencwela) w 1981 roku, a wydawanymi osobno w 1988 już w oficjalnym obiegu (i parokrotnie wznowianymi w latach 90.) przez wydawnictwo Czytelnik w masowym, sześćdziesięcioletnim nakładzie, z posłowiem wspomnianego wyżej krytyka: „Wraz z tym utworem – zauważa on trafnie – odnalezione zostało bowiem nie tylko biograficzne «brakujące ogniwo» w rysopisie twórczym Igora Newerlego, jednego z najwybitniejszych pisarzy polskich i niewątpliwie pisarza socjalistycznego (jeśli w tym zestawieniu przymiotnik ów ma jeszcze intuicyjnie uchwytnie znaczenie). Dzięki integralnej edycji książkowej tego utworu «brakujące ogniwo» odzyskać może również nasza literatura współczesna i świadomość kulturalna. Jak powietrze potrzebna jest nam ta umiejętność wnikania w międzyludzką tkankę historii, przyswojenie jej doświadczeń, mężne z nią życie. Dzieło Igora Newerlego jest ucieleśnieniem tego typu pisarstwa, który zdobywać musi sobie miejsce w literaturze polskiej, gdyż nie umościły

mu drogi tradycja literacka i dominujące konwencje współczesne. Ale jest to pisarstwo konieczne – naszej samowiedzy historycznej, terażniejszości i przyszłości”.

Prawda to niewątpliwa, ale zauważyć zarazem trzeba, że te wspomnienia – ze względu na swój niecenzuralny przedtem dla ówczesnych decydentów temat – zdominowały perspektywę widzenia utworów wcześniejszych tego pisarza, a także i z lat 80., jak znakomite pod każdym względem *Wzgórze Błękitnego Snu*, które również jakby z rozpędu i ignorancji nowych decydentów trafiły do wydawniczej zamrażarki i poszły w *odstawkę*. Wspomnienia Newerlego odczytywano wówczas, jak i często teraz, przede wszystkim jako sztandarowy przykład rzekomo ukrytego dotąd głęboko antykomunizmu pisarza, który z konieczności tylko kolaborował z peerelowskim reżimem – podobnie jak wielu jego kolegów po piórze, pisarzy powojennego okresu – do tego, niejako przymuszany przez zaistniałe okoliczności historyczno-politycznej i życiowej sytuacji!

Wspomnienia *Zostało z uczyty bogów* pokazywały ponoć – jak się wtedy wielu prostodusznie prawicowym krytykom wydawało i nadal wydaje – zupełnie innego człowieka i pisarza, odmiennego od tego znanego z lat 50., a nawet lat późniejszych. A mianowicie zaklasyfikowanego pośpiesznie najpierw jako, no, może trochę nietypowego, ale jednak jako jednego z głównych przedstawicieli *socrealistów*, który potem wraz z wielu innymi pisarzami znalazł sobie, po październikowym przełomie, pisarski azyl w odległych czasowo i geograficznie opisach barwnych i wzruszających patriotycznych przygód młodych Polaków rzuconych przez wydarzenia rewolucyjne gdzieś na odludne tereny Dalekiego Wschodu (*Leśne morze*) lub też szukał ucieczki od bieżącej rzeczywistości w nie mniej barwnych opisach swych przedwojennych jeszcze i okupacyjnych kajakowych wycieczek po polskich rzekach (*Za Opiwardą, za siódmą rzeką*). Niewiele w tym z prawdy, a już nic zgoła z tzw. rzetelności historycznoliterackiej.

Pisarz ten, ukształtowany w kręgu szeroko rozumianej dwudziestowiecznej myśli lewicowej (głównie tej wywodzącej się z kręgów bliskich Polskiej Partii Socjalistycznej, ruchu spółdzielczego i samopomocowego – patrz wspomnienia Newerlego z tomu *Żywe wiązania*), nigdy w swym pisarstwie (także tym niby socrealistycznym) nie był literackim koniunkturalistą. Owszem, wraz z większością wywodzących się z międzywojennej tradycji myśli lewicowej pisarzy polskich, poparł rodzącą się nową rzeczywistość polityczną i społeczną, wierzył w sens i program wszechstronnej przebudowy kraju, łącznie z powszechną oświatą mas, ale nigdy nie był biernym i posłusznym wykonawcą literackiego propagandowego zamówienia, na które wtedy było faktycznie wielkie zapotrzebowanie.

Wystarczy dziś poczytać – bez wstępnych uprzedzeń – pierwsze jego powojenne utwory, by się o tym przekonać. Newerly pozostawał w nich zawsze sobą. Pisarzem wiernym przede wszystkim swym ideałom i ogromnym doświadczeniom życiowym. Widać w nich także i to, jak bywał nieufny i krytyczny wobec kolejnych wcieleń aktualnej polityki i etapów dominacji rządów przedstawicieli „jedynie słusznej” doktryny, nawet wówczas, gdy pisał te swoje quasi-sztandarowe socrealistyczne utwory: *Chłopca z salskich stepów*, *Archipeląg ludzi odzyskanych* czy *Pamiętkę z Celulozy*. Bo mimo daniny składanej tamtej epoce, zawsze – w istotnej tkance swoich dzieł

– pozostawał oddany i wierny, i to wcale nie pod presją okoliczności, swym przyjętym i wyznawanym, socjalistyczno-lewicowym ideałem wyniesionym z obserwacji świata własnej młodości, w obrębie których mieściło się także okrutne i gorzkie doświadczenie zarówno z okresu przeżyć opisanych w *Zostało z uczty bogów*, jak i z okresu międzywojnia (*Żywe wiązanie*). Czasu zamkniętego między rewolucją lutową w Rosji, wojną domową, NEP-em, a wystąpieniem przyszłego pisarza z organizacji komsomolskiej, związaniem się z młodzieżówką mieńszewicką, aresztowaniem przez Czeka i powrotem do polskość owego wówczas dwudziestoparolatka, który z trudem wówczas używał języka polskiego, w którym po trudnych latach życia w międzywojennej Polsce (bezrobocie, potem współpraca z doktorem Januszem Korczakiem) i okrutnych doświadczeniach drugiej wojny światowej powstaną wszystkie jego znakomite utwory! Ba, rzec można nawet, że to właśnie *mimo* wszystkich dostrzeżonych wówczas i przeżytych empirycznie tak mocno na własnej skórze rewolucyjnych konwulsji i rozlicznych wynaturzeń, powstałych i popełnianych rzekomo tylko w imię rewolucji, praktycznej realizacji przebudowy *starego świata* (którego wady też zdążył przecież poznać doskonale), pozostawał on całe życie – w najszerszym tego słowa znaczeniu – człowiekiem lewicy. Bowiem nigdy nie zatracił tego, co było najcenniejszym kapitałem całego jego życiorysu i twórczości literackiej, czyli wrażliwości na istotne problemy życia społecznego: krzywdę ludzką, biedę, niedolę plebejskich mas, niesprawiedliwość społeczną, nierówność szans życiowego startu, zwłaszcza młodzieży. Czym *zaraził się* także, i to na zawsze, od swego wielkiego mistrza i przyjaciela Janusza Korczaka. I czemu też zawsze dawał wyraz w swych książkach, niezależnie od tego, kiedy powstawały. Bo też i zawsze był w nich sobą: pisarzem polskim, który wyrósł w warunkach puszczańsko-białowieskiego pogranicza, w czesko-rosyjskiej rodzinie, w nieuchronnym spotkaniu i starciu wielu zachodzących na siebie epok historycznych, na styku wielu kultur, wielu narodów, wielu idei...

Rozróżnić tu trzeba dwie sprawy: próby odczytywania pozaliterackich poglądów autora, narzucania wręcz ich interpretacji w duchu doktryny socrealistycznej, od niezależnej od nich, tak wówczas, jak i teraz, obiektywnej wymowy jego dzieła. Poglądy społeczne pisarza (nie można ich rzecz jasna mylić z poglądami politycznymi), autora *Pamiętki z Celulozy* i autora *Zostało z uczty bogów* pozostały – mimo odmienności czasu ich powstawania i użytych środków pisarskich – właściwie tożsame. I z takim właśnie procederem dopisywanie *ex post* interpretacji do wymowy jego dzieł mamy właśnie do czynienia w przypadku twórczości prozatorskiej Igora Newerlego. Całej jego twórczości – dodajmy – a nie tylko w przypadku tego czy innego z utworów.

Bowiem tak naprawdę pisał przez całe życie jedną właściwie książkę. Wieloimienną formalnie, znaczeniowo wielotematyczną, zawsze jednak całkowicie własną, wiarygodną, opartą niemal w całości na osobistym doświadczeniu, przeżyciu i doznaniu...

Utwory Newerlego zawsze nasycone materiałem czerpanym z autentycznych wydarzeń historycznych, niemal wyłącznie związane są z empirią, bezpośrednio osobistym stosunkiem do rzeczywistości, z pełną

otwartością, ciekawością świata i złożoności ludzkich losów. Niejednokrotnie poświęcone są opisom egzotycznych środowisk i ludzi, a także świata przyrody i natury, na który był szczególnie mocno, jak mało który z polskich pisarzy współczesnych, uciążliwiony. Ale i wówczas, gdy odwoływał się do rzeczywistości bezpośrednio sobie nieznaney z autopsji, również nie tworzył całkiem czystej beletrystycznej fikcji, bo zawsze wówczas czerpał z wiarygodnych przekazów dokumentalnych, pamiętnikarskich i innych relacji świadków opisywanych historii, a częstokroć ludzi znanych mu osobiście. Bohaterami prozy Newerlego, której podstawowym fundamentem jest owo empiryczne przeżywanie i doświadczenia własne autora, są zawsze ludzie o powikłanych drogach życiowych, mający rozliczne skomplikowane kłopoty ze swą identyfikacją narodową i językiem ojczystym, a z bezdomnych włóczęgów czy awanturników mimo woli (bo tak pokierowały ich osobistym losem wydarzenia historyczne, jak rewolucja rosyjska czy obie wojny światowe), wyrastają w jego utworach, także tych niby z założenia „surrealistycznych” (jak *Chłopiec z Salskich stepów*, *Archipelag odzyskanego dzieciństwa* czy *Pamiętka z Celulozy*) – niczym w klasycznej powieści wychowawczo-edukacyjnej (niem. Bildungsroman) – na ludzi życiowo dzielnych, zaangażowanych społecznie i wartościowych.

*Chłopiec z Salskich stepów* to powieść dla młodzieży, której tytułowy bohater, biedny chłopak z głuchej stepowej wsi rosyjskiej, przeżywający wiele trudnych, smutnych i dramatycznych chwil, po długich staraniach i walce z przeciwnościami losu, zdobywa zawód lekarza, a w czasie wojny dokonuje bohaterskich czynów. Opowieść o jego dzieciństwie, młodości i wieku dojrzałym jest, jak w większości książek tego pisarza, inspirowana wyraźną i mocną intencją pedagogiczną, bliską myśli Starego Doktora – Janusza Korczaka (czemu bezpośredni wyraz dał w *Żywym więzaniu*, *Rozmowie w sadzie piątego sierpnia* i *O chłopcu z bardzo starej fotografii*). Wyraża się w niej autorski optymizm życiowy, pochwała aktywności i osobistej dzielności: wiara w naturalną dobroć człowieka, którego wypadki historyczne lub zdegenerowane środowisko społeczne mogą zepchnąć z obranej drogi, ale ma on zawsze możliwość powrotu, dzięki pomocy innych, ale i z wielkim udziałem własnej aktywności. Podobnie jak w *Pamiętce z Celulozy*, uznawanej za jedno z najlepszych, bo odległych od politycznego koniunkturalizmu, dzieł owego polskiego „surrealizmu” (patronują jej tradycje polskiej literatury społecznej od Bolesława Prusa do Stefana Żeromskiego). Pokazuje tu pisarz drogę życiową *bezprizornego* watażki wracającego znad Wołgi do Polski na początku międzywojnia, który przekształca się w świadomego klasowo robotnika (fabryka celulozy we Włocławku), ale który wcale przecież nie osiąga – w przeciwieństwie do propagandowych agitek „literackich” tamtego czasu – stanu bezkonfliktowej „ostatecznej szczęśliwości”. Utwór zekranizowany przez Jerzego Kawalerowicza (1953) w podobnym duchu.

*Leśne morze* to powieść o wątkach przygodowych i zarazem patriotycznych, integralnie wpisanych w ten utwór, którego akcja, inspirowana prozatorską twórczością Wacława Sieroszewskiego czy Stanisława Marii Salińskiego, toczy się w scenerii egzotycznej przyrody dalekowschodniej Mandżurii na początku XX wieku, a jej jednym z głównych bohaterów – obok rzuconego tu przez los osieroconego młodego polskiego patrioty Janusza Domanińskiego – jest także puszczański... tygrys. „Całe ciepło Newerlego i jego

sny o doskonałości i pięknie, odejście od codziennych przetargów czynią z tej książki coś zupełnie wyjątkowego” (Piotr Kuncewicz w: *Agonia i nadzieja. Proza polska po 1956*, t. 4, 1994). Wiele z tego „ciepła” odnaleźć można w jego pozornie tylko „turystycznych” opisach z tomu opowiadań, jakże nadal czytelniczo i poznawczo atrakcyjnych, pisanych już w latach osiemdziesiątych – *Za Opiwardą, za siódmą rzeką*. „Tym tomem opowieści – pisał autor – z czterdziestu lat moich wędrówek kajakowych chciałem godnie pożegnać czytelnika, bo tam dużo przygody i dużo przyrody, poza tym w tych wszystkich zasłyszanych, widzianych, przeżytych historiach przeglądają się jak w lustrze mijanej wody krajobrazy różnej Polski”. Bo istotnie, choć wiele tu nostalgii za bezpowrotnie minioną przeszłością z czasów międzywojennej Polski czy wspaniałych opisów kajakarskich „przygód” oraz zachwyty nad rodzimą przyrodą, to i tutaj naprawdę daleko od idylli i sielanki. W tych powstałych z wędrowniczkiej autopsji obrazkach, w większości mówiących o życiu ówczesnej polskiej prowincji, na wpół jeszcze feudalnej (np. podupadające poleskie dwory szlacheckie), biednej, zakompleksionej, cywilizacyjnie zapyziałej, podzielonej narodowościowo, społecznie rozwarstwionej wsi... jest bowiem przecież cały ten sam co zawsze Igor Newerly, pisarz humanista, człowiek czuły i po ludzku „ciepły”, ale i jakże przy tym, niby tylko tak jakby mimochodem, realistyczny i jak zawsze „przytomny” (nawet w znakomitym, już jako jeszcze okupacyjna próba rozmowy z *Niemcem*, w zamykającym ten zbiór nowelistyczny opowiadaniu *Auf Wiedersehen, Mensch!*).

Najbardziej znany utwór Newerlego z ostatniego okresu to powieść *Wzgórze Błękitnego Snu*. Powstała z inspiracji jego wizyty na warszawskim cmentarzu Powązkowskim jesienią 1981 i widoku kwater polskich zesłańców na Syberię, którzy doczekali się niepodległości w 1918 i po powrocie zostali pochowani już na rodzinnej ziemi. Losy jednego z nich są osnową fabularną tego utworu, gdzie elementy powagi, cierpienia i grozy przeplatają się z pełnymi humoru, często sensacyjnymi i przygodowymi wątkami. Bohater, Bronisław Najdarowski, członek organizacji bojowej PPS, schwytyany po nieudanym zamachu na premiera carskiego rządu Stołypina (pierwsze lata XX w.), zostaje skazany na cztery lata katorgi, a następnie na „wieczne osiedlenie” na Syberii (zesłaniec jest wtedy wolny, ale bez prawa opuszczania miejsca pobytu). Ważny dla jego losów jest moment niesłusznego oskarżenia go o zdradę przez współtowarzyszy-bojowców. Powieść napisana wbrew tradycji romantyczno-szlacheckiej literatury, wzorca martyrologicznego, cierpiętniczego schematu. Bohater to patriotyczny Warszawiak proletariackiego pochodzenia, który radzi sobie całkiem dobrze na Syberii, dorabia się nawet sporej fortuny, jako znakomity myśliwy i poszukiwacz złota, co wcale nie stoi, wbrew tradycji, w sprzeczności z jego patriotyzmem. Przeżywa też na Syberii wielką miłość: żeni się z Rosjanką (co uchodziło wtedy za czyn niepatriotyczny), buduje dom, zakłada rodzinę, zdobywa poważanie miejscowej ludności – Buriatów (tytuł powieści pochodzi od nazwy miejsca ich kultu religijnego), obalając przy okazji mit o niezaradności życiowej Polaków. Pisarz tworzy wielostronny obraz życia polskich zesłańców, którzy nie tylko cierpieli, lecz także i żyli pełnią życia. Pokazuje, też niby mi-

mochodem, a co jest ważnym elementem wymowy całego utworu, oddziaływanie na syberyjskich zesłańców idei socjalizmu polskiego, spod znaku myśli takich ludzi, jak Edward Abramowski, Stefan Okrzeja czy Stefania Sempołowska (np. zakładanie przez Polaków na Syberii autentycznych spółdzielni). Daje też liczne przykłady zgodnego współżycia zesłańców i ludzi różnych narodowości (Polaków, Rosjan, Żydów, Buriatów...). Najdarowski jest przedstawicielem nowej plebejskiej generacji zesłańców, którzy wolni są od tych pańsko-izolacjonistycznych gestów i zachowań, tak charakterystycznych dla znacznej części zesłańców popowstaniowych szlacheckiego pochodzenia (za co tak bardzo ponoć nie lubił ich w swych utworach i publicystyce Fiodor Dostojewski, sam przecież również syberyjski zesłaniec!). Utwór, jak zawsze u Newerlego, mocno naznaczony silnym piętnem osobowości i bogatego doświadczenia życiowego pisarza, stanowi interesującą próbę dotarcia do rozlicznych pokładów złożoności prawdy ludzkiego losu, ukazania jej przez konfrontację indywidualnych dziejów postaci i ogólnych procesów historyczno-społecznych, niepowtarzalnych realiów określonego czasu i miejsca.

Dopiero teraz – czytane w całości i z odpowiednio długim już dystansem historycznym – dzieło prozatorskie Igora Newerlego ukazuje w pełni nie tylko wszystkie swe autentyczne i trwałe walory czytelnicze oraz rozległość perspektyw poznawczych w widzeniu wszystkich barw tego *niehumanistycznego* wieku dwudziestego, jak też i całą tę swoją tożsamość literacko-stylistyczną i znaczeniową. Ale też i to, że w tej swojej integralności artystycznej i poznawczej jest jednak również i dla naszej teraźniejszości, mimo iż nieco już zapomnianym (mniej lub bardziej świadomie wypychanym przez nowe okoliczności obecnych preferencji wydawniczych na margines lektur współczesnych, co młodszych zwłaszcza pokoleń Polaków), nadal aktualnym i ważnym niezmiernie ogniwem humanistyczno-lewicowej polskiej tradycji literackiej. ■



Rys. Marek Chaczyk – Spotkanie o zmroku  
„Res Humana” nr 14(1/1995)

## Ludwik Fleck – filozof z ducha medycyny



Paweł BYTNIEWSKI

### 1. Lektura vs. percepcja

Jednym z najistotniejszych wydarzeń w historii nowożytnej kultury intelektualnej było dość krótkie stwierdzenie Kartezjusza, zawarte w słynnej *Rozprawie o metodzie*, a raczej konsekwencje jego akceptacji, w którym autor odnosi się krytycznie do wiedzy książkowej:

Sądziłem jednak, że już dosyć czasu poświęciłem językom, a także lekturze ksiąg starożytnych, ich opowiadań i baśni. Rozmawianie bowiem z ludźmi minionych wieków to niemal to samo co podróżowanie. Dobrze jest wiedzieć coś o obyczajach różnych ludów, aby bardziej zdrowo sądzić o własnych i aby nie myśleć, że wszystko, co z tym ostatnim jest sprzeczne, jest śmieszne i niezgodne z rozumem, jak to mają w zwyczaju sądzić ci, którzy niczego nie widzieli. Ale kiedy zbyt wiele czasu poświęca się podróżowaniu, człowiek staje się obcy w swoim kraju; a kiedy się jest zbyt ciekawym rzeczy, które się działy w minionych wiekach, pozostaje się zazwyczaj nieświadomym tych, które się dzieją współcześnie<sup>1</sup>.

Konsekwencje tego krytycyzmu narastały w historii nauki i filozofii, aż w końcu (kiedy to się stało ostatecznie?) przekształcają się w oczywistości dotyczące wiedzy – jej źródeł, wartości, znaczenia dla tych, którzy parają się jej tworzeniem. Najistotniejsza bodaj z tych oczywistości dotyczy wielkiego podziału wiedzy – na tę, którą zdobywa się w lekturze i tę, która polega na bezpośrednim poznaniu świata – zjawisk, rzeczy, procesów stanowiących inherentną jego zawartość. Jeszcze przez jakiś czas metafora księgi świata będzie nawiedzać umysły uczonych, aż wreszcie i ona padnie pod presją krytycyzmu „szkiełka i oka”. Obraz świata jako księgi i poznania jako lektury zastąpią procedury pomiaru, obserwacji – jak sądzono uniwersalne, metodologicznie uprzywilejowane, a przede wszystkim racjonalne, efektywne poznawczo, bo gwarantujące postęp poznania, a przez to wiarygodne.

Gest Kartezjusza, by porzucić uczone księgi, stał się gestem źródłowym dla podziału wiedzy, który można w skrócie wyrazić tak: z jednej

<sup>1</sup> Rene Descartes, *Rozprawa o metodzie*. Wyd. Antyk, Kęty 2002, s. 15.

strony lektura i interpretacja, z drugiej pomiar i obserwacja, z jednej strony twory intelektualne powstające w zapisie, a z drugiej te, które są rzetelnymi sprawozdaniami z bezpośredniego, poznawczego kontaktu ze światem. W rezultacie powstaje pewien ideał wiedzy naukowej, który metodzie badań empirycznych i jej wartości, pewności, przypisuje rolę naczelną w poznaniu naukowym. Gdzieś z boku, na prawach wyjątku kształtują się filozoficzne przekonania co do charakteru i wartości poznawczej nauk nazywanych „naukami humanistycznymi”, a niekiedy dopełnianych określeniem pokrewnych „nauk społecznych”. Dzieje się tak dopiero od drugiej połowy XIX wieku. To moment krytyczny w historii tego procesu. W stosunkowo krótkim czasie, tj. w pięćdziesięcioleciu kończącym wiek XIX, pojawiają się nauki humanistyczne – psychologia, socjologia, antropologia kulturowa, archeologia, lingwistyka – wszystkie nowoczesne, tj. z aspiracjami do bycia naukami w pełnym tego słowa znaczeniu. Co istotne, zakorzeniają się one w uniwersytetach na prawach wyspecjalizowanych przedmiotowo i metodologicznie dziedzin poznania.

Co łączy tak rozumiane nauki? Najprostsza odpowiedź jest następująca – lektura i interpretacja, jako źródłowe procedury poznawcze. Właśnie dlatego status poznawczy tych nauk (*Geisteswissenschaften*, *human sciences* lub po prostu *Humanities*) od początku kształtowania się ich akademickiego wzorca był notorycznie wątpliwy. Z głębi historii dosięgnął je gest Kartezjusza dyskwalifikujący źródłową wartość wiedzy książkowej.

Tu jednak interesuje mnie nie tyle dyskusja dotycząca poznawczego statusu nowoczesnych nauk o człowieku, ile sam fakt ich odrębności, tj. historyczna osobliwość procesu, w którym poznanie i wiedza aspirujące do naukowości podążają ścieżkami całkiem odmiennymi, niedającymi się łączyć ani wzajem dostarczać sobie wartościowych treści. Co niespodziewane, i lektura, i obserwacja korzystają z tego samego daru wnikliwości wzroku, o którym Arystoteles twierdził, że jest najwybitniejszym ze zmysłów i dającym szczęście w kontemplacji. Chcemy widzieć dla samego widzenia!

Czytelnik widzi znaki pisarskie, obserwator – zjawiska. Co zobaczy ten, kto nie zna pisma? Dobrze ujmuje to doświadczenie Herman Hesse:

### Litery

Bywa niekiedy, że chwytam pióro,  
Znaki kreślimy na papierze białym,  
Wymowne wielce – zgodnie z ich naturą,  
Ta gra ma wszakże swe zasady stałe.  
Lecz gdyby dzikus lub człowiek z księżycą  
Wziął taką kartkę, runami zdobioną,  
I z ciekawością do oczu przybliżył,  
Świat by w niej ujrzał, dziwnie odmieniony:  
Obraz magicznej, obcej, wielkiej sali,  
A lub B jako zwierza lub człowieka,  
Oczy, kończyny, którymi ruszali –  
Zwierzę, gnane instynktem, zwierzę, które czeka.  
Czytałby niczym ślady ptasich stóp na śniegu,  
Latał wraz z nimi, cierpiał, brał udział w ich biegu.  
I możliwości wszelakie stworzenia  
W tych czarnych, sztywnych znakach wyrażone,

Przez ornamentów giętkich przeplecenia  
Widziałyby: żar miłosny, cierpienia skłębione.  
Zdumiałby się i zadrżał, zaśmiał i zapłakał,  
Bo za kratami tych pisarskich znaków  
Świat nawet cały w swym ślepym rozpędzie  
Zdałby mu się zmniejszony, zwarty, a znaki  
Skarlałe i zakłete w sztywnym rzędzie,  
Więźniom podobne i wszystkie jednakie  
Tak, iż śmierć, rozkosz, życie i cierpienia  
Braćmi się stają – nie do rozróżnienia...  
Wrzasnąłby w końcu dzikus jak szalony  
W lęku ogromnym i ogień rozniecił.  
A pośród zakłęt i bijąc pokłony  
Białą, runiczną kartkę płomieniom poświęcił.  
I przez sen może, gdy już tak się zmęczył,  
Poczułby, że ów świat zły, nieprawdziwy  
Znikł znowu nagle, że w nicość się schował,  
Wchłonięty został w niebytu krainy –  
I zaśmiałby się, westchnął – i ozdrowiał<sup>2</sup>.

Hessego „obserwator liter”, czyli „dzikus” bądź analfabeta, korzysta ze swego wzroku całkiem podobnie jak ten, kto po prostu doświadcza bodźca wzrokowego w trybie oglądu rzeczy. Jest on u źródła doświadczenia bezpośredniego, lecz natychmiast popada w konfuzję. Tu bowiem poznanie napotyka niespodziewaną przeszkodę, zatrzymuje się: właściwego, „wyczytanego” sensu brakuje. Czego brak „obserwatorowi liter”?

Claude Lévi-Strauss u tubylców Nambikwara zaobserwował próby naśladowania jego własnego zachowania, gdy spisywał wypowiedzi informatorów. Wspomina o tym, jak jego informatorzy przedstawiali mu własne „zapisy” naśladowujące pismo etnologa:

U większości z nich próby kończyły się na tym, lecz naczelnik bandy posunął się dalej. Zażądał ode mnie bloku do notowania i oto byliśmy jednakowo wyekwipowani, kiedy pracowaliśmy razem. Nie podawał mi ustnie informacji, o które go prosiłem, lecz kreślił na papierze wijące się linie i pokazywał mi je tak, jak gdybym miał odczytać odpowiedź. Sam był na wpół oszukany tą komedią, gdy jego ręka nakreśliła linię, przyglądał się jej za każdym razem uważnie, jak gdyby miała z niej wytrysnąć treść, i za każdym razem takie samo rozczarowanie malowało się na jego twarzy [...]. Otóż zaledwie zebrał całe swe towarzystwo, wyciągnął z koszyka papier pokryty krętymi liniami i udawał, że coś odczytuje, szukał z udanym wahaniem listy przedmiotów, które miałem dać w zamian za ofiarowane podarunki: temu za łuk i strzały – nóż, *facao*, innemu korale – za jego naszyjnik. Ta komedia ciągnęła się przez dwie godziny<sup>3</sup>.

Jak wytłumaczyć komuś nieświadomemu sensu pisanego to, czym jest zapis, tekst, pismo? Jak uchylić się od metafory, że pismo coś mówi,

<sup>2</sup> H. Hesse, *Gra szklanych paciorków. Próba opisanie życia magistra ludzi Józefa Nechta wraz z jego spuścizną pisarską*, Wyd. Jednorozec, Poznań 1992, s. 326.

<sup>3</sup> Claud Lévi-Strauss, *Smutek tropików*, PIW, Warszawa 1960 s. 316–317.

gdy mieszkaniec brazylijskiego interioru przykłada zapisaną kartkę do ucha i stwierdza, że niczego nie słyszy? Trzeba pewnie opowiedzieć historię cywilizacji związanej z pismem. Albo też trzeba liczyć na błysk intuicji, moment wglądu na naturę pisma, na doświadczenie, jakie było udziałem Helen Keller, niewidomej i głuchoniemej dziewczynki, która w stresie własnym i rozpacz nauczycielki chcącej nauczyć ją znaków pisma dotykowego doznaje olśnienia: pismo coś znaczy, coś mówi. Od tej pory litery zaczęły do niej przemawiać swym sensem.

Przytoczone tu historie odnoszą się nie tylko do zdarzeń, które gdzieś daleko lub dość dawno ukazują egzotyzm postaw łamiący uniformizm naszych poglądów na sens poznania i praktyk, które podejmujemy orientując się w świecie. Odnoszą się one także do dwóch odrębnych kultur intelektualnych, które nowoczesność zadomowiły się w naszym porządku wiedzy naukowej.

Tu zwłaszcza ukazuje ów porządek swój nowoczesny sens, znaczenie podziału kultur intelektualnych nieznanych wcześniej i, być może, już niedługo kultury odmiennej, łamiącej dziś dobrze znany porządek.

## 2. Ludwik Fleck – autsajder i prekursor

Gdyby tak miało być, trzeba by uznać Ludwika Flecka, lekarza, mikrobiologa, filozofa i historyka nauki, za prekursora nadchodzących przemian. Fleck bowiem dokonuje rekonstrukcji poznania naukowego, a posługuje się tu historią medycyny w sposób, który zbliża jego poglądy do psychologii, socjologii, antropologii kulturowej i filologii. Jest, poniekąd, etnologiem kultury intelektualnej medycyny. Chce bowiem wydobyć z historii poznania medycznego wszystko to, co pozwalało uczonym medykom „czytać chorobę”. Choć jego książka pt. *Entstehung und Entwicklung einer wissenschaftlichen Tatsache Einführung in die Lehre vom Denkstil und Denkkollektiv* została wydana w 1935 roku w Bazylei, to do wczesnych lat 60. XX wieku była nieznaną także wśród specjalistów. Tytuł [w pierwszym polskim wydaniu z roku 1986 (sic!) *Powstanie i rozwój faktu naukowego. Wprowadzenie do nauki o stylu myślowym i kolektywie myślowym*] jest prowokacyjny i być może nawet niezrozumiały dla współczesnych. Wedle zastanego poglądu fakty naukowe nie powstają, lecz po prostu są, a tym bardziej nie rozwijają się. Historia nauki należy do kontekstu odkrycia, a jej poznawczy sens – do kontekstu uzasadnienia. Tylko kontekst uzasadnienia daje szansę na racjonalną rekonstrukcję nauki. Historia nie ma praw krytycznych wobec procesu nauki. „Kolektywy myślowe”, „style myślowe” to znowu hybrydy pojęciowe – trochę socjologii, trochę psychologii, a może nawet retoryki. Toteż Fleck w swym przedsięwzięciu przez długi czas zajmował pozycję autsajdera, co wydaje się dziś nieuniknione. Jako filozof – poza kręgiem specjalistów akademickich, jako lwowski Żyd – bez specjalnych szans na karierę naukową w zakresie medycyny. Choć po studiach medycznych na Uniwersytecie Jana Kazimierza otrzymuje posadę w laboratorium badawczym Rudolfa Weigla w Przemyślu, a potem we Lwowie zostaje jego asystentem (1921–1923), to wkrótce jego kariera naukowa ulega zahamowaniu. Wojna przekreśla wszystkie zwykłe sprawy ludzkie, przerywa też naukową karierę Flecka. Choć nie do końca pogląd ten jest uprawniony. Fleck uszedł z życiem z Holokaustu, broniąc swej egzystencji wiedzą fachową. Jako mi-

krobiolog i współpracownik Weigla, był cennym nabytkiem dla władz okupacyjnych. Jego kompetencje mikrobiologa rodziły nadzieję na wytworzenie skutecznej szczepionki i opanowanie tyfusu grożącego w skupiskach ludzkich – w getcie, w więzieniach i obozach koncentracyjnych, i – co było dla niemieckiej armii najważniejsze – na froncie wschodnim. Fleck waży się na czyn, którego odwaga musi zadziwiać. Opracowaną w Buchenwaldzie, skuteczną szczepionkę zataja. Front wschodni musiał się bez niej obejść.

Lwowskie getto, obóz koncentracyjny w Oświęcimiu, a potem w Buchenwaldzie, pozwalają wszystkim chyba możliwym czytelnikom i jemu samemu zapomnieć o publikacji *Entstehung...* Po wojnie Fleck trafia do Lublina, gdzie zostaje kierownikiem Katedry Mikrobiologii Medycznej (UMCS). Habilituje się pod kierunkiem Ludwika Hirszfelda (we Wrocławiu), co otwiera mu drogę do profesury. Profesorem zwyczajnym zostaje w 1950 roku. Jego kariera naukowa rozwija się już jednokierunkowo, jego osiągnięcia naukowe w zakresie mikrobiologii wchłania szeroki nurt polskiej mikrobiologii i epidemiologii. Z jednym wyjątkiem w stronę filozofii i historii nauki. W rok po wojnie publikuje Fleck artykuł pt. *Problemy naukoznawstwa*. Tam zdaje sprawę ze swego doświadczenia obozowego uczonego (!). Doświadczenie to, absolutnie wyjątkowe, bardzo ściśle współgra z treścią *Entwicklung: szczególnie, drastyczne warunki pracy zespołu obozowego, któremu przydzielono obowiązki pracy nad szczepionką tyfusu, wytworzyły też nadzwyczajną formę przymusu poznawczego*. Zatrudnieni w zespole amatorzy i pół-amatorzy, konfrontując swe obserwacje mikroskopowe z treściami podręcznika, osiągnęli z góry zamierzony rezultat badawczy – prawidłowy obraz cyklu rozwojowego *Rickettsii prowazekii*, zarodźca tyfusu:

Otóż członkowie zespołu znaleźli w swoich preparatach mikroskopowych, robionych z niesłychaną drobiazgowością, ściśle według książkowych przepisów, wszystkie stadia cyklu rozwojowego *Rickettsii* i wymaganą ich kolejność – jakkolwiek zarazka tego w materiale swoim wówczas w ogóle nie posiadali: ze strąków barwika, kulek tłuszczu, różnych bakterii, z resztek komórkowych ułożyli cały cykl rozwojowy. Nie stało się to od razu. Konstrukcja ta rosła pomału, wśród wzajemnego podniecania się i umacniania w poglądach. Nastrój kolektywny, który był motorem tej fantastycznej syntezy, składał się z napiętego oczekiwania efektu, z chęci, by być pierwszym, który coś stwierdzi, i by nie spóźnić się z potwierdzeniem, że już coś zostało stwierdzone, by zadowolić kierownika, który nalegał. Składowe nastroje były więc w zasadzie identyczne z normalnie spotykanymi. [...] wśród spragnionego zespołu rozeszła się wieść: znaleziono nareszcie *Rickettsie* w preparatach z płuc króliczych. Skoro radosny nastrój opanował kolektyw, pewność wyniku nie ulegała już wątpliwości: kolektyw ufał swojemu kierownikowi, kierownik polegał na zdaniu swoich „fachowców”, które potwierdził dla potwierdzenia swojego autorytetu, a ci „fachowcy” może z początku trochę czuli, że właściwie wyrwali się jakoś mimo woli, ale zgoda ogółu rychło rozwiązała wszelkie wątpliwości. Cukiernik i robotnik gumowy, reprezentujący „zdrowy rozsądek”, poważnie, z uznaniem popularyzowali odkrycie. Słowem

siły socjalne działające w zespole były identyczne z normalnie spotykanymi<sup>4</sup>.

Mówiąc najkrócej, buchenwaldzki „zespół badawczy” w aktach kolektywnego postrzegania, unormowanego wiedzą podręcznikową dokonał obserwacji tego, co było zapisane w tekście. „Sukces naukowy” osiągnięto jednak w szczególny sposób. Normy lektury przeniesiono na normy obserwacji. Autorytet książkowy przesłonił całkowicie mgliste obrazy niewykształconego mikrobiologicznie oka. Widzenie zdominowane przez uprzednią wiedzę, widzenie niesamodzielne poznawczo i nieefektywne, uwikłane w relacje społeczne oczekiwania sukcesu, bliższe zabiegom szamana niż poważnym dokonaniom zespołu naukowego – oto efekt krytycznego oglądu zespołu buchenwaldzkiego, do którego Fleck dołączył już po tym, jak zespół ów dokonał swych ustaleń.

Najważniejsze jest w naszej historii, że – jak się okazuje – społeczny mechanizm powstawania pomyłki jest taki sam jak mechanizm powstawania prawdziwej wiedzy, badany na źródłowym materiale z historii nauk. Dzieje podstawowych odkryć chemicznych, dzieje przemiany teorii flogistonu w teorię tlenu, a więc odkrycia składu wody, ilustrują to doskonale. Także nowsze odkrycia z dziedziny patologii lub biologii wykazują zespołowy charakter pracy odkrywczej i stylowy charakter zamkniętego poglądu, występującego jako organiczna całość. W błędnej i prawdziwej wiedzy te same siły zespołowe grają rolę motoru, a jednostka jest raczej reprezentantem pewnych funkcji społecznych niż świadomym źródłem działania. W błędnej i prawdziwej wiedzy pogląd nie powstaje przez logiczną kalkulację jakichś elementów, ale przez zawiły proces stylizujący<sup>5</sup>.

Fleck w swoim artykule przywołuje *Entwicklung*, kojarząc treść książki z 1935 roku z doświadczeniem obozowym. Można by pomyśleć, że prawda o obozowych „prawdach naukowych” ogranicza się do szczególnych warunków obozowych przymusów. Tymczasem koncepcje Flecka w zakresie krytyki poznania naukowego zakreślają obraz o wiele szerszy. Zrozumiał to ktoś, kto stał się motorem dyskusji niezwykle silnie oddziałującej na środowiska naukoznawcze i filozoficzne. Mam na myśli autora książki zatytułowanej *Struktura rewolucji naukowych*, Thomasa S. Kuhna. Kuhn wspomina *Entwicklung* tylko raz, we wstępie do swej książki. Tym niemniej szerokie wpływy *Struktury...* objęły także swym zasięgiem zainteresowanie pracą Flecka, o której Kuhn stwierdza, że wywarła na niego istotny wpływ. Od tej pory (1962 r. – data publikacji *Struktury*.) Fleck-filozof i Fleck-historyk nauki będzie postrzegany całkiem inaczej niż w latach przedwojennych. Staje się prekursorem nowej myśli, nowego – by użyć słowa kluczowego ze *Struktury* – paradygmatu naukoznawczego.

Proces „odkrywania Flecka” trwa do dziś. Liczne publikacje, sympozja, komentarze, ośrodki badawcze poświęcone autorowi *Entwicklung* próbują odzyskać dla nauki i filozofii dokonania Flecka, i być może zapełnić nieoczekiwaną wcześniej niszę w historii nauki własnymi komentarzami. Czyj jest Fleck? Kto (jaki kolektyw myślowy!) ma przywilej pierwszeństwa w komentowaniu jego dzieła?

<sup>4</sup> Ludwik Fleck, *Problemy naukoznawstwa*, w: tenże, *Powstanie i rozwój faktu naukowego*, Wydawnictwo Lubelskie, Lublin 1986, s. 210.

<sup>5</sup> *Ibidem*, s. 213.

W polskim piśmiennictwie powojennym naukoznawcze badania Flecka stają się dobrze widoczne w obiegu naukowym po opublikowaniu tłumaczenia *Entwicklung* na język polski (Wydawnictwo Lubelskie 1986). Inicjatorem tego tłumaczenia był prof. Zdzisław Cackowski, który opatrzył przekład wstępem i zachęcał, z dobrym skutkiem, lubelskie środowisko naukowe do komentowania dorobku Flecka.

Ale kwestia, którą podnosi *Entwicklung*, jest znacznie szersza niż przywileje lokalnych kolektywów myślowych. Co zatem wprowadza myśl Flecka do kultury intelektualnej podzielonej na czytelników i obserwatorów? Jak pokrótce można ująć zasady analizy, jakie Flecka uczyniły ważnym badaczem historii nauki i epistemologiem medycyny?

### 3. Czytanie choroby, lektury ciała

Fleck, a za nim Kuhn, bada przesłanki, sposoby operowania pojęciami, rekonstruuje zasady, które znamy już od dawna z praktyki badawczej „uczonych liter”. Fleck-filozof podejmuje kwestię, która łączy wrażliwość filozofa i biegłość poznawczą medyka: Jak możliwe jest poznanie medyczne? Choć pytanie to wprost nigdzie nie pada w tekstach Flecka, to jego Kantowski rodowód daje się wyprowadzić z tekstów Flecka. *Novum*, jakie wprowadza on do swej problematyzacji poznania medycznego, polega na nałożeniu ram poznania humanistycznego na dziedzinę poznania medycznego. Oznacza to nic innego, jak skorzystanie z wzorców praktyki badawczej, jaką znają uczeni-humaniści. A zatem, co odkrywa w spojrzeniu medycznym Fleck, jak ustala reguły medycznego czytania ciała?

Przede wszystkim pole badawcze epistemologa medycyny wedle Flecka ma dwa podstawowe wymiary – historyczny i społeczny. Historyczność poznania, twierdzi Fleck, polega na tym, że żaden proces poznawczy w nauce nie ma absolutnego początku. Nikt nie zaczyna tu od nowa, ale każdy zaczyna od przyswojenia wiedzy paradygmatycznej, uznanej i niekwestionowanej. Dlatego spojrzenie medyczne nie jest ani niewinne, ani naiwne. Intuicja jest sprzeczna z praktyką naukową. Spojrzenie medyczne poprzedza długa historia unormowanego widzenia, widzenia „skalibrowanego”. Wyspecjalizowane poznanie medyczne, obce błądzącemu i wikłającemu się w domyśły oku zdroworoządkowca, kształtuje „pogotowie poznawcze”, tj. zdolność do postrzegania przedmiotu uprzedzoną minionymi poznaniem, doświadczeniem i wiedzą, jakie z historycznego usytuowania podmiotu wynikają. Upośrednienie poznania medycznego ma nie tylko sens historyczny, ale też społeczny. Jego właściwością jest to, że podmiotem są tu kolektywy myślowe, a nie poszczególne jednostki. Cechą poznania kolektywnego jest określony „styl myślowy”, pozwalający komunikować się sprawnie i formułować dla wszystkich, ale tylko w kolektywie, zrozumiałe problemy poznawcze. Mówiąc jeszcze inaczej: ważnym wyróżnikiem dyscyplinarnie wyodrębnionego poznania naukowego jest to, co można nazwać tradycją dyscypliny. Dziedziczy ona sukcesy, porażki, trudne do rozwiązania problemy, a przede wszystkim kształtuje nawyki poznawcze, ważne czynniki wspólnotowego charakteru poznania naukowego.

Rzeczywistość nie narzuca poznaniu żadnego „faktu”, tak jak tekst nie ma zawartych w sobie reguł swej czytelności. Reguły „czytania choroby”,

„lektury ciała” są wyprowadzane z uprzedniości norm kodu, zgodnie z którym widzenie kliniczne może nabrać cech, jakie w poznaniu humanistycznym posiada lektura. Te cechy to właśnie historyczność i społeczny kontekst naszych zdolności poznawczych. Stąd pewnego rodzaju inercja zawarta w każdym poznaniu naukowym. Jego dyscyplinarne (historyczno-społeczne) ograniczenie, stylistyczność domykająca komunikacyjne zasady dostępności treści poznawczej, normują je w sposób, który poznawczo dostępny jest historykowi nauki, choć nie samemu uczonemu. Tak jak dla przeciętnego oka czytelnika teksty zapisów średniowiecznych kodeksów są nieczytelne, ale dostępne są mediewiście, tak nieczytelne są dla współczesnego medyka przedstawienia anatomii czy zasady nozologii pochodzące z odległych czasów.

Ludwik Fleck proponuje pogląd na poznanie naukowe, dziś już posiadający różne wersje, że czysto metodologiczna kontrola procesu poznania jest epistemologiczną iluzją. Ta iluzja jest pochodną kartezjańskiego modelu podmiotu poznania wolnego od uwikłania w świat. Rzeczywiste (naukowe) poznanie ma swoje psychospołeczne, historyczne determinacje, których nie da się w pełni kontrolować, ponieważ sama wiedza o poznaniu podlega tym ustanowieniom. Pogląd ten ma dziś znaczenie nie tylko w sporach epistemologicznych. Nauki, w tym nauki medyczne, nie tylko odzwierciedlają rzeczywistość, ale czynnie uczestniczą w jej kształtowaniu. Poznanie uwarunkowań to jeden z zasadniczych momentów kontroli zmienności warunków życia, tak silnie dziś podatnych na wpływ nauki. ■

Paweł Bytniewski – dr hab., prof. UMCS, Instytut Filozofii UMCS w Lublinie.

# Wypromowany prorok czy guru światowej rewolucji proletariackiej?

Uwagi o książce Krzysztofa Iszkowskiego *Idol. Życie doczesne i pośmiertne Karola Marksa*



Mirosław CHAŁUBIŃSKI

Całkiem niedawno, bo w początkach 2025 r. nakładem Wydawnictwa Agora ukazało się inspirujące studium Krzysztofa Iszkowskiego – socjologa, ekonomisty, marksologa i publicyisty społecznego – poświęcone biografii Karola Marksa i recepcji jego wizerunku w życiu politycznym Europy. Napisałem *inspirujące*, gdyż przekonałem się o tym nie tylko jako uważny czytelnik tej książki, lecz też jako recenzent wydawniczych prac z dziedziny najnowszej myśli politycznej, których autorzy uznali jej użyteczność w podejmowanych przez nich analizach.

Studium Iszkowskiego również dobrze się czyta. Charakteryzuje go żywy styl i można rzec, iż gatunkowo plasuje się na granicy pracy naukowej, a niekiedy felietonu i reportażu. Ale jest ono przede wszystkim erudycyjną bio-

grafią Karola Marksa, opartą na obszernym materiale źródłowym i nader różnorodnych opracowaniach. Jest także w pewnym sensie historią odbioru twórczości i działalności Marksa i jego wiernego przyjaciela Fryderyka Engelsa, historią ich odkrywania w szerszym obiegu politycznym. Warto jest w tym miejscu przypomnieć, iż poważna część przyswajania dorobku obu autorów (w tym także odkrywanie *młodego Marksa*) dokonała się już po jego śmierci i wtedy właśnie weszła w obieg życia intelektualnego i politycznego Europy w XX wieku. Przykładem tego mogą być losy *Rękopisów ekonomiczno-filozoficznych* pisanych ok. 1844 r.

Autor przypomina nam epizody z ich życia, charakter ich znajomości i ich dziejotwórcze znaczenie, a niekiedy szkicuje szerszy środowiskowo-polityczny kontekst ich funkcjonowania. Można powiedzieć, iż niezwykle rzadko spotkamy w życiu przyjaźnie ludzkie o tym natężeniu i tej trwałości!

Iszkowski, generalnie rzecz biorąc, nie jest sympatykiem osobowości Marksa, zaś obecne w tytule słowo „idol” ma po części z pewnością ironiczny wydźwięk; lecz opisując jego koleje życia, autor potrafił zachować obiektywizm. Ale z całą pewnością, zważywszy na skutki wprowadzenia komunizmu w życie i jego funkcjonowania, daleko mu do tego systemu. Jest mu z pewnością bliżej do socjalistycznego demokratyzmu i gradualizmu. Krytykując Marksa i bolszewizm za rewolucyjne próby naprawiania świata i ich skutki, opowiada się on za tymi orientacjami politycznymi, których nie cechuje maksymalizm, lecz ostrożność i powściągliwość.

\*

Książkę Iszkowskiego można też określić mianem symptomatycznej, gdyż wskazuje ona na ogólniejsze, aktualne związki i przemiany dotyczące recepcji twórczości Marksa i form obecności marksizmu w życiu intelektualnym i politycznym Polski i świata. Jeszcze w całkiem niedługich czasach, które symbolizuje koncepcja „końca historii” F. Fukuyamy (a więc nieuchronnego zwycięstwa w świecie demokracji i gospodarki rynkowej), można było mówić o odrzucaniu marksizmu w wielu krajach<sup>1</sup>. Zjawiska te (i procesy) miały wiele przyczyn. Na pierwsze miejsce wysuwał się jednak upadek „realnego socjalizmu” w ZSRR i jego krajach satelickich, gdzie stanowił on – w różnych, najczęściej prymitywnych postaciach – formę ideologii powszechnie obowiązującej we wszystkich dziedzinach (także w nauce), legitymizującej system państwowy<sup>2</sup>.

Do przyczyn tego stanu zaliczymy uderzające błędy prognostycznej natury u Marksa, bowiem okazało się, że rewolucje wybuchały nie w rozwiniętych krajach kapitalistycznych, lecz peryferyjnych (zacończonych) i nieprawdą jest, że współcześnie postępuje pauperyzacja klas pracujących. Nie zniknęła również alienacja i nie nastąpił wszechstronny rozwój człowieka na skutek rewolucji socjalistycznych<sup>3</sup>.

Generalnie Marks (i w pewnym stopniu Engels) nie dostrzegał *żywołności* kapitalizmu i jego zdolności do reform, czego skutkiem było

<sup>1</sup> L. Kołakowski, *Główne nurty marksizmu*, tom III, Paryż 1978.

<sup>2</sup> E. Hobsbawn, *Wiek skrajności*, Warszawa 1999 (I wyd. 1994), tłum. J. Kalinowska-Król, M. Król; rozdziały 13 i 16.

<sup>3</sup> M. Król, *Karol Marks* [w] M. Król, *Krótką historia myśli politycznej*, Warszawa 2019, s. 111–117; R. Panasiuk, *Marksizm i socjologia*, „Przegląd filozoficzno-literacki” 2012/4.

powstanie różnych form państwa opiekuńczego i skutecznego interwencjonizmu państwowego. A tym samym zdolności do dalszego trwania.

W odrzucaniu marksizmu i maskowania własnych biografii sprzyjał ludziom kultury (w tym uczonym) także realizm (by nie powiedzieć oportunizm i koniunkturalizm), szczególnie widoczny w okresie „jesieni ludów”. Niekiedy wygodniej jest zmienić przekonania, niż cierpieć z powodu konsekwencji światopoglądowej.

Nie wyczerpałem tu wszystkich przyczyn odchodzenia od marksizmu w nieodległych przecież czasach. Współcześnie – i to jest dla nas najważniejsze – obserwujemy wzrost zainteresowania marksizmem (w sensie uprawiania marksologii), lecz także uprawiania marksizmu<sup>4</sup>. Niekiedy mówi się wręcz o *renesansie* marksizmu w różnych jego odmianach<sup>5</sup>.

W każdym razie marksizm zaczął być mocniej obecny w kulturze w różnych swych odmianach nawet w kierunkach, które nazywać można co najwyżej lewicowymi, np. teologia wyzwolenia, aktualna szkoła frankfurcka, pewne odmiany feminizmu, teorie zależności. Obecność marksizmu jest także widoczna w twórczości wybitnych socjologów, także u P. Bourdieu, A. Giddensa.

Okazuje się, iż mimo fałszywych prognoz i wielu jednostronności w ujęciu religii, narodu, sztuki<sup>6</sup>, bez Marksa i jego kontynuatorów nie obejdnie się żaden podręcznik filozofii, socjologii, historii myśli politycznej i ekonomicznej, a zagadnienia tam obecne stanowią ważny składnik przy próbach budowania humanistycznych makroteorii. Wyrazem takich przewartościowań są m.in. wypowiedzi J.M. Bocheńskiego, którego trudno jest posądzać o marksizowanie czy kryptokomunizm, nazywającego Marksa wybitnym myślicielem<sup>7</sup>, a także innych wybitnych uczonych<sup>8</sup>.

Wielu praktyków życia ekonomicznego mówi o kryzysie kapitalizmu (zwłaszcza po 2008 r.). Można powiedzieć, że ma on strukturalne wady związane z wyzyskiem klasowym, alienacją pracy i nie musi sprzyjać rozwojowi człowieka. Zjawiska te zaostrzyła globalizacja i praktyki neoliberalizmu.

\*

Reasumując powyższe wywody, powiem, iż polski czytelnik zainteresowany historią polityczną naszego kontynentu otrzymał ciekawą książkę, która może pogłębić jego wiedzę na temat kulisów wielkiej polityki. A wielu ludzi lubi dobrą literaturę i z pewnością nie spotka ich zawód w trakcie jej lektury. To całkiem niemało.

<sup>4</sup> M. Kozłowski, *Marksizm współczesny* [w] M. Gdula, L. M. Nijakowski (red.), *Oprogramowanie rzeczywistości społecznej*, Warszawa 2014.

<sup>5</sup> J.J. Wiatr, *Spor o aktualność marksizmu. Refleksje osobiste* [w] J. Hołówka, B. Dziobkowski (red.), *Marksizm. Nadzieje i rozczarowania*, Warszawa 2017; J. J. Wiatr, *Co lektura Marksa może dać ludziom XXI stulecia?*, „Przegląd Filozoficzny. Nowa Seria” 2018/2.

<sup>6</sup> T. Snyder, *Kazimierz Kelles-Krauz (1872–1905): Pionier badań nad nowoczesnym nacjonalizmem*, „Przegląd filozoficzno-literacki” 2012/4; J. Szacki, *Kelles-Krauz Kazimierz, Encyklopedia Socjologii. Suplement*, Warszawa 2005.

<sup>7</sup> J.M. Bocheński, *Sto zabobonów. Krótki filozoficzny słownik zabobonów: „Marksizm”*, s. 64 i n.

<sup>8</sup> J. Szacki, *Marksizm po bardzo wielu latach w Warszawskiej Szkole historii idei. Tożsamość, tradycja, obecność*, (red. P. Grad), Warszawa 2024, wyd. IFiS PAN.; A. Walicki, *Moje sprawy z Marksem i marksizmem* (roz. J. Dobieszewski, P. Kozłowski) [w] J. Hołówka, B. Dziobkowski (red.) cyt. wyd.

Ale książka K. Iszkowskiego nasunęła mi pewne uwagi krytyczne, którymi chciałem się podzielić z czytelnikami. Choć w zamierzeniu autora nosi ona przede wszystkim biograficzny charakter, przydałoby się książce więcej miejsca poświęconego analizie poglądów K. Marksa. Wszak był on prawdziwie interdyscyplinarnym uczonym humanistą, a więc historykiem, ekonomistą, filozofem w jednej osobie, co przyznają inni badacze od lewicy bardzo odlegli. Czyni to choćby wspomniany już wcześniej J.M. Bocheński.

Przydałyby się temu studium jakieś głębsze analizy poświęcone recepcji K. Marksa w początkach XXI wieku. Najogólniej chodzi mi o formy obecności Marksa i marksizmu w kulturze współczesnej. Problematyka ta z pewnością na badanie zasługuje. Być może autor *Idola* o tym myśli, lecz nie znamy jego planów. Nie mam wątpliwości, iż – zważywszy na jego kompetencje i erudycję – byłoby to zajęcie przezeń wykonalne. Zachęcam do działań w tym kierunku. ■

Krzysztof Iszkowski, *Idol. Życie doczesne i pośmiertne Karola Marksa*, Wydawnictwo Agora, Warszawa 2025 (s. 488).

# Spółeczeństwo zaprzepaszczonych możliwości

**ZDANIE**

Paweł KOZŁOWSKI

Ladislau Dowbor wyraźnie siebie przedstawia: „Nie jestem bezinteresowny” – stwierdza krótko na początku książki. Rozwija to wyznanie: „Zawsze oburzały mnie niesprawiedliwość, okrucieństwo, które widzimy na świecie, niekompetencje, z jaką rządy lub korporacje zarządzają naszymi zasobami”. Sens i wagę tym słowom nadają czyni wypełniające jego życie. On o nich nie wspomina, ale my je znamy. W tym zdaniu Dowbor określa stanowisko etyczne i wymienia wartości, które w swoim światopoglądzie traktuje jako fundamentalne. Zarazem wymienia cechę techniczną czy raczej merytokratyczną, jaką jest niekompetencja. To zarzut nie mniejszej wagi niż wcześniej wymienione oskarżenia moralne. Autor formułuje mocne zarzuty i je uzasadnia.

Umiejętności i znanstwa bowiem można się nauczyć, a trzeba je mieć, by cokolwiek z pożytkiem robić. Zwłaszcza, jeśli to nie ma być śpiew umilający samotne budowanie w wannie łodzi podwodnej. Kompetencje, przeciwnie niż zdolności, nie są wrodzone lecz nabyte. Abstrahuje od tego ktoś o „silnie naprężonych ambicjach”, jak kiedyś taki typ człowieka określił Władysław Tatarkiewicz i zarazem dodał, że to jeden z najgroźniejszych przymiotów (jeśli nie towarzyszą mu inne, równoważące) występujących dzisiaj. Niekompetentne kierownictwo świadczy nie tylko o nieokiełznanej ambicji i ekspansji ego, ale przede wszystkim o kręgu

społecznym, który ignorancją i chciwą władzę (dużą i małą, polityczną i gospodarczą) wypromował i jej obecność akceptuje. Taki stan rzeczy jest oburzający i zadziwiający. Dla autora i innych podobnie do niego sądzących.

Ladislau Dowbor jest intelektualistą zaangażowanym, bliskim intelektualistom francuskim z trzeciego ćwierćwiecza XX wieku. Pracę umysłową i krzewienie idei łączy z aktywnością społeczną i wyborami politycznymi. Prowadzone przez niego badania świata służą jego przekształcaniu, wiążą się z niezgodą na *status quo* i odrzuceniem etosu oportunistycznej adaptacji. Reguły, instytucje i rozstrzygnięcia są zawsze osadzone w procesach społecznych – nic zatem w przestrzeni ludzkiej aktywności nie jest dane na zawsze ani nie istnieje ostatecznie. Wszystko podlega odwołaniu i zmianie, a także, na co intelektualiści tej formacji są wyczuleni, wiąże się z odpowiedzialnością. Autor *Społeczeństwa na krawędzi przełomów* nie jest Francuzem, ale Polakiem i Brazylijczykiem, a to co dla potomków Flauberta i Delacroix było przedmiotem rozmów po lewej stronie Sekwany, dla niego jest częścią fizycznie obecnego najbliższego świata. Wiąże go z nimi nie tylko krytycyzm i oburzenie czy przekonanie o przemijającym, etapowym statusie współczesności, lecz również historyczny optymizm. Rozumiany raczej nie tyle jako pewność, co możliwości postępu, asymptotyczne zbliżanie się do suwerenności i podmiotowości, perspektywa dostatniego życia wszystkich, powszechnego dostępu do wiedzy i chęci z niej korzystania, kształtowania swojego miejsca w życiu, twórczej ciekawości i satysfakcji czerpanej z uczestnictwa w kulturze (a nie z mnożenia swoich dochodów o kolejny miliony). Wspólna dla Dowbora i Francuzów jest również wiara w siłę rozwoju społecznego jako kokona egzystencji jednostki. Zarówno we wstępie do książki, jak i w zamykającej ją konkluzji autor wyraził swoje populistyczno-demokratyczne przeświadczenie: „Warto pamiętać – podkreślił – że przy obecnym tempie piętrzenia się katastrof planetarnych nadejdzie moment, w którym wystarczająca masa podmiotów społecznych uświadomi sobie, że cele te są możliwe do osiągnięcia”.

Perspektywa poznawcza Dowbora nawiązuje do dorobku Marksa i jego bliskich następców, ale go przekracza. Jest szersza, bo dotyczy nowego, dzisiejszego kształtu gospodarki i współczesnej postaci społeczeństwa. Łączy wartość moralną z techniczno-efektywnościowymi. Wszak fundamentalny zarzut Marksa skierowany do kapitalizmu dotyczył marnotrawienia zasobów i zaprzepaszczenia możliwości. Dlatego ta formacja koniec końców przejdzie do przeszłości, stanie się kolejnym i zarazem ostatnim etapem dotychczasowej historii. Zawali się pod swoimi immanentnymi ograniczeniami. Ten system gospodarczo-społeczny stanowi, co prawda, postęp w stosunku do feudalizmu, lecz zarazem jest permanentnie, i to w rosnącym nasileniu, kryzysogeny. Ekspansja kapitalizmu ma limity efektywnościowe, które postęp produkcyjny, by mógł nadal przebiegać, musi przekroczyć, *eo ipso* wyjść poza system kapitalistyczny. Stanie się tak również dlatego, że jego istnieniu towarzyszą globalne dysproporcje materialne i napięcia społeczne niemożliwe do trwałej niwelacji w ramach rynkowo-kapitalistycznych.

Marks i bezpośredni kontynuatorzy jego dzieła nie mówili nic o barierze największej, ekologicznej, która wtedy była prawie niewidoczna, a dzisiaj ma charakter egzystencjalny. Bariere, której nie sposób pokonać, a nawet zapobiec jej ogromnieniu dotychczasowymi, napędzanymi przez konkurowanie i wszechutowarowanie środkami. Narastający katastrofalny kryzys

klimatyczny wywołuje wiele sporów, przynajmniej w jednym przypadku panuje jednak powszechna zgoda: ocalenie nie wiedzie drogą maksymalizowania zysku i kompulsywnej konsumpcji, która owładnęła najbogatszą część ludzkości.

Dowbor analizuje współczesną, wywodzącą się z kapitalizmu organizację wytwarzania i dzielenia dóbr. Bada jej motywy i efekty działania. Interesuje się światem rozwiniętym i zaniedbanym, a zwłaszcza Brazylią – krajem będącym jego ojczyzną, którą jako ekonomista starał się podźwignąć i uczynić lepszą dla wszystkich. Wskazuje na dysfunkcjonalność i, towarzyszącą kumulującemu się bogactwu na kontach nielicznych, niesprawność organizacji zarówno wytwarzania, jak i dystrybucji, opanowującej poszczególne państwa i całą planetę. Formułuje główne kryterium oceny: „Systemowa produktywność gospodarki zasadniczo zależy od racjonalnej alokacji zasobów. To z kolei oznacza zbieżność między przeznaczeniem zasobów a interesami społeczeństwa”. Odpowiednie, dotyczące tej problematyki, badania prowadzi właśnie ekonomia, która zawsze jawnie lub skrycie ma charakter polityczny, tak jak gospodarka – charakter społeczny.

Marks zarówno przedstawiał wyjątkową produktywność kapitalizmu, jak i eksponował jego nieracjonalność oraz, co najlepiej syntetyzuje jego myśli, towarzyszący tym zjawiskom proces samowzbogacającej się alienacji. Cenę płaconą przez ludzi za rosnącą ilość dóbr materialnych, którą jest utrata samostanowienia. Co prawda (Dowbor podąża za konstatacją Keynesa sprzed kilkadziesiąt lat) „wytwarzamy dziś wystarczająco dużo, aby całe społeczeństwo mogło żyć w godny i wygodny sposób”, a właściwie by tak egzystowała cała ludzkość, lecz realny świat nie przystaje do potencjalnego i szanse ulegają zaprzepaszczeniu. Dla wielu mających otwarte oczy ekonomistów i im pokrewnych naukowców ów proces niespełnienia jest moralnie odrażający, choć intelektualnie, niczym dla zoologów istnienie żyrafy, frapujący.

Autor *Spoleczeństwa cyfrowego*, jak wielu innych, podkreśla swoistość naszego czasu. Stare oznaczenia do niego nie pasują, dotychczas używana siatka pojęciowa okazuje się anachroniczna i bardziej zaciemnia niż rozjaśnia obraz całości. Obecnie „mamy do czynienia ze znacznie bardziej perwersyjnym systemem niż kapitalizm przemysłowy”. Dowbor do jego nazwania używa od dawna obecnego określenia: kapitalizm rentierski. Podkreśla, że dzisiaj produktywność została zastąpiona przez pogoń za rentą, a inwestycje i wytwarzanie – przez finansowe spekulacje. Wielu krytycznych analityków, takich jak Yanis Varoufakis, wskazuje na te cechy współczesności ostrzej, ale wszyscy dochodzą do podobnych wniosków.

Żyjemy w świecie pod wieloma względami bardziej przypominającym feudalizm niż klasyczny kapitalizm, w takim, w którym renta i lenno są ważniejsze niż zysk i towarzyszące mu ryzyko obejmujące stawiających na nowości niegdysiejszych producentów. Realną rzeczywistość kamufluje obowiązujący leksykon obecnej nowomowy, którego słownictwo obficie stosuje transpozycję znaczeń: inwestorami nazywa spekulantów, rynkami – obszary działalności określonych osób i instytucji, zyskami – rentę otrzymywaną z tytułu zdobytej własności, indywidualnością – konsumentki i pracownicze zglajszachtowanie, świętością – historycz-

nie zmienne prawo posiadania itd. „Aparat pojęciowy, za pomocą którego analizujemy naszą rzeczywistość, jest po prostu archaiczny”, a także, co nie mniej ważne, służy ideologicznemu usankcjonowaniu *status quo*.

Realną rzeczywistość kamufluje obowiązujący leksykon obecnej nowomowy, którego słownictwo obficie stosuje transpozycję znaczeń: inwestorami nazywa spekulantów, rynkami – obszary działalności określonych osób i instytucji, zyskami – rentę otrzymaną z tytułu zdobytej własności, indywidualnością – konsumenckie i pracownicze zglajszachtowanie, świętością – historycznie zmienne prawo posiadania itd.

Dopiero zdjęcie maskujących siatek pozwala zbliżyć się do prawdziwego świata i uznać, że „uległo zmianie zbyt wiele mechanizmów strukturalnych, abyśmy mogli nazywać nadal tę nową rzeczywistość kapitalizmem. (...) Podstawa technologiczna, formy zawłaszczania nadwyżek, wymiar kontroli politycznej, stosunki pracy, narracje i formy manipulacji ludźmi, zasięg terytorialny globalnych platform – wszystko to stanowi nowy, spójny system lub przynajmniej system, który się tworzy”. Można go zdekonstruować i inaczej powiązać jego składniki, część wyeliminować, powołać nowe i ożywić teraz marginalizowane. Celem takich pożądaných transformacji lub rewolucji jest zawsze, przypomnijmy, interes społeczny, czyli dobro powszechne, a nie ugruntowywanie pozycji finansowych elit. Chodzi o zmianę dużą, nieograniczającą się do cząstkowych usprawnień. Na przykład będącą reakcją na jedno z opracowań ONZ (z 2023 roku), w którym stwierdzono: „obecne skrajne nierówności, zniszczenie środowiska i podatność na kryzysy nie są wadą systemu, ale jego cechą charakterystyczną”. O ich narastaniu od dawna wiadomo, nie spadają teraz niespodziewanie niczym grom z jasnego nieba.

Dowbor do określenia pożądanego systemu używa nazwy „społeczeństwo wiedzy” lub „społeczeństwo cyfrowe” – pierwszy termin wskazuje na meritum, drugi odnosi się przede wszystkim do technologicznej formy. Wyodrębnieniu takiego typu społeczeństwa towarzyszą cztery fundamentalne ustalenia. Po pierwsze, ośrodkiem napędzającym dzisiejszy świat jest teraz wiedza, której kondensację i zarazem aparat wytwórczy tworzy nauka. Autor, jak klasyczny, wywodzący się z oświecenia progresista, wierzy zarazem (choć nie wyraża tego *explicite*), że to właśnie nauka jest głównym remedium mogącym przeciwdziałać katastrofie klimatycznej. Jakby człowiek i ludzkość byli organizmami kierującymi się wyłącznie, a w każdym razie głównie racjonalnością.

Po drugie, „wiedza mnoży się lepiej dzięki procesom współpracy”. Co jest tym bardziej godne uwagi, że w naszych współczesnych, formowanych przez neoliberalizm zbiorowościach zachwiana została równowaga między tym, co wspólne, a tym co prywatne, między zrzeszaniem się i współdziałaniem a rywalizowaniem i egoizmem. Rosnący zasięg wojen handlowych stanowi tego jeden z wyrazów – przegrywają w nich wszyscy uczestnicy, choć co prawda nie w tym samym stopniu.

Po trzecie, rozpowszechnianie wiedzy nie wymaga dodatkowych kosztów. Zwrócił na to uwagę jakiś czas temu Jeremy Rifkin i w tym właśnie lokował swój optymizm i nadzieje dotyczące najbliższej przyszłości. Na razie jednak dochody czerpane z kolportowania wiedzy ograniczają jej zasięg i siłę oddziaływania.

Po czwarte, wiedza ma korzenie w zasobach publicznych. Prywatyzacja wiedzy jest jedną z form zawłaszczania – zniekształca i znacznie zmniejsza jej dobroczynne skutki, a charakterystyczny dla kapitalizmu „zysk z produkcji przekształcił się w rentę z pośrednictwa”. Tym większy, im bardziej zasięg wiedzy podlega limitowaniu, a ona sama staje się dobrem reglamentowanym i deficytowym. Rzadkim, pożądanym i drogim. Internet powinien być, zgodnie z pierwotnymi oczekiwaniami, otwartym i powszechnie dostępnym dobrem publicznym, patenty obowiązywać znacznie krócej niż dzisiejsza norma dwudziestu lat, a *copyrights* nie mieć mocy trwającej przez siedemdziesiąt lub jeszcze więcej lat.

Postulowane i potencjalne, przynajmniej jak dotychczas, społeczeństwo wiedzy tkwi w gnieździe świata cyfrowego i nowych technologii. Cyfrowa komunikacja i Internet zostały jednak poszatowane wewnętrznymi murami i mają specjalnie strzeżone wejścia. W ten sposób niektórzy zbierają myta za korzystanie z dróg, których nie wybudowali. Miały być dla wszystkich, niczym krajobrazy, morza, jeziora, miasta i biblioteki. Zamiast tworzyć otwartą i pożyteczną bazę witalnego społeczeństwa zbudowały „kapitalizm poboru opłat”. Wywołały także „nowy ruch grodeniowy”, który w przeciwieństwie do starego, historycznego nie prowadzi do kapitalizmu, ale formuje z niego wyjście. Stymuluje ewakuację z produktywności i etosu pracy na rzecz rentierstwa i etosu spekulacji często nazywanego samozaradnością lub inwestowaniem. Wielkie potencje zawarte w wiedzy są marnotrawione i nie rozbudowują pożytecznych więzi, lecz dodatkowo wzmacniają krytyczne napięcia dzielące ludzkość. „Kolejne przemiany technologiczne radykalnie zwiększyły nasze możliwości zapewnienia wszystkim dobrobytu w sposób zrównoważony dla środowiska, ale my podążamy w przeciwnym kierunku, pogłębiając katastrofy społeczne i środowiskowe”.

Dzieje się tak za sprawą niedopasowania struktury instytucjonalnej do realnej gospodarki i rzeczywistego życia społecznego. Dzisiaj państwa są co najmniej równie niezbędne jak kiedyś, ale ich moc regulatorska, dystrybucyjna, chroniąca słabnie. Autor w związku z tym wprowadza ostry trafny termin: „bezsilność instytucjonalna”, którego zakres obejmuje zarówno poszczególne państwa, jak i wchodzące w jego skład organizacje wraz z mającymi je łączyć międzynarodowymi związkami. Bezsilność ta może oznaczać, wbrew zamiarom, niemożność działania lub funkcjonalny, wbudowany w system imposybilizm, który swoją pozorną i nieskuteczną aktywnością celowo zostawia przestrzeń dla ekspansji partykularnych, gospodarczych ośrodków władzy. Będącymi w istocie korporacjami, które zajmują się finansami, surowcami, komunikacją, zdrowiem itp., dbającymi przede wszystkim o zyski swoich akcjonariuszy. Instytucje publiczne powstałe lub odrodzone po II wojnie światowej od końca XX wieku schną niczym dzisiejsze europejskie rzeki. Świat się chwieje, „obecna nierównowaga jest wynikiem dysfunkcji odziedziczonych po poprzednich epokach”. A przecież infrastruktura instytucjonalna pełni nie mniej istotną rolę niż komunikacyjna czy energetyczna. Instytucjonalisci twierdzą, że pierwszorzędną.

Potrzebna jest naprawa, tym bardziej że zmiany, które następują w ostatnim półwieczu, prowadzą w inną stronę niż chcieli członkowie

elit przywódczych z bliskiego Dowborowi kręgu ideowego. Postęp technologiczny istnieje, ale wszystko co nie ma bezpośredniego z nim związku ma charakter regresywny. Niewykorzystane możliwości są coraz większe.

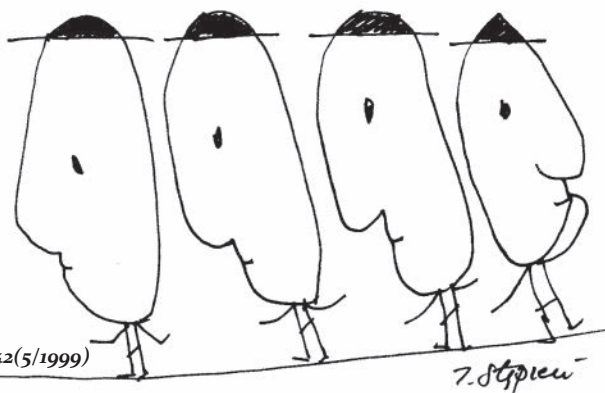
Autor wskazuje drogi prowadzące do progresywnych przekształceń. Wśród nich szczególnie ważna jest decentralizacja i rozluźnienie układu organizacyjnego krępującego społeczeństwa, „przywrócenie inicjatyw na poziomie, na którym mieszkają ludzie i gdzie przejawiają się ich potrzeby”. Należy ich traktować w sposób podmiotowy, a nie jako „zasób ludzki” będący przedmiotem zarządzania. Tą myślą wpisuje się w polskie tużpowojenne (wcześniej były mniej intensywne) kontrowersje skupione wokół pytania o ośrodek życia społecznego. Socjaliści uważali, że powinien to być terytorium zamieszkania, a bliżsi PPR wskazywali miejsce pracy. Powstałe zaraz po wojnie (i przed jej wybuchem) wspólnotowo-spółdzielcze osiedla WSM na Żoliborzu i na Rakowcu są przykładem pierwszego stanowiska, a przestrzeń wokół niegdyśszej Fabryki Samochodów Osobowych na Żeraniu drugiego. Dodajmy, że w XXI wieku, w neoliberalnej rzeczywistości, zwycięża napędzany pieniędzmi chaos, w którym znajduje się rzeczywisty Mordor wypełniony urzędnikami, kierowanymi przez procedury oraz zbiorowiska dużych bloków zamieszkałe przez ludzi zniewolonych wieloletnimi kredytami. Autor w „prywatnych ojczyznach” (jak nazywał je Stanisław Ossowski, socjolog ideowo i życiowo związany z żoliborskim WSMem) widzi szansę odrodzenia.

Ladislau Dowbor włącza się nie tylko w nurt diagnozujący współczesność, ale również w intelektualny dialog prowadzony przez wiele pokoleń. Krytycyzm jest w nim związany z programem pozytywnych działań. ■

Ladislau Dowbor, *Revolucja cyfrowa. Społeczeństwo na krawędzi przełomów*. Instytut Wydawniczy Książka i Prasa. Warszawa 2025.

Powyższy esej przedrukujemy za nr 4/2025 kwartalnika „Zdanie”, wciąż w sprzedaży w Empikach w całej Polsce oraz w internetowym Sklepie Tygodnika Przegląd.

A w nim m.in.: rozmowa „Troje na Jednego” z prof. Stanisławem Obirkim; • Dominika Rafalska o desakralizacji kościołów w Polsce; • Jan Opielka o kapitalizmie militarnym; • Bartłomiej Staszal o tym, jakim narodem ma być naród europejski; • Gotard Górz o kulturze terapeutycznej neoliberalnego Zachodu; • Stanisław Świerzewski o architekturze jako emocji społecznej w III RP; • Leszek Kuk o ewolucji ładu międzynarodowego w Europie po kongresie wiedeńskim; • Rafał Skąpski o swoich spotkaniach z gen. Wojciechem Jaruzelskim; • Edward Karolczuk o liberalnej ekonomii politycznej, faszyzmie i współczesnym ludobójstwie; • Robert Smoleń żegna Zdzisława Słowika, twórcę i wieloletniego redaktora naczelnego „Res Humana”.



Rys. Jan Stępień  
„Res Humana” nr 42(5/1999)



Marek CHACZYK

# Rysunki przypomniane

---



Między nami, diabłami...  
„Res Humana” nr 12(3/1994)



M, Chaczyk 89 „Res Humana” nr 20(1/1996)



„Res Humana” nr 15(2/1995)



„Res Humana” nr 23(4/1996)



„Res Humana” nr 39(2/1999)



„Res Humana” nr 43(6/1999)

Z okazji dwusetnego numeru reprodukowujemy jedno z pierwszych grafik z łamów „Res Humana” autorstwa rysowników współpracujących z nami od ponad trzech dekad

# ŚWIADECTWA

## Legenda Adama Schaffa



Stefan KONSTAŃCZAK

W historiografii wydaje się dominować przekonanie, że kołem napędowym historii są wojny. Inaczej mówiąc, wojny określają kierunek rozwoju cywilizacji, co oddaje także język potoczny, w którym indywidualne doświadczenia są dzielone wedle prostego kryterium: *przed wojną* lub *po wojnie*. Zmiany takie dokonują się również w nauce, nie wyłączając filozofii.

Burze dziejowe mają zawsze to do siebie, że jednych strącają z piedestału, a innych wynoszą niekiedy na szczyty. W punkcie wyjścia należy zatem postawić sobie pytanie, czy Adam Schaff został przypadkowym beneficjentem wojennej burzy historycznej, czy może raczej jej ofiarą. Na rzecz pierwszego stanowiska przemawia jego powojenne uprzywilejowane usytuowanie w strukturach polskiej polityki oraz nauki krajowej i światowej. Na rzecz drugiej – tragedia związana z eksterminacją jego rodziny i perturbacje w trakcie wspinania się po drabinie awansu społecznego. Wszak to jego wyróżniona pozycja w polskiej polityce i nauce została brutalnie podważona i zakwestionowana przez wydarzenia Marca '68. Przyjęcie którejkolwiek z tych perspektyw nie zmienia faktu, że Adam Schaff przez ostatnie dziesięciolecia XX wieku zajmował tak wyróżnioną pozycję w nauce, że jest przywoływany praktycznie w każdej publikacji dotyczącej tego okresu w historii Polski. Nie znaczy to w żadnym wypadku, że opinie na jego temat są zgodne. Chyba żaden z polskich filozofów nie zyskuje tak ambiwalentnych ocen dotyczących swych dokonań, co Adam Schaff. Na całym świecie powstają bowiem liczne dysertacje doktorskie oraz opracowania poświęcone jego dorobkowi w zakresie nauk społecznych i politycznych. Jest to związane z tym, że z początkiem lat sześćdziesiątych objął prestiżowe stanowisko dyrektora Centrum Dokumentacji i Koordynacji Nauk Społecznych (the European Coordination Centre for Research and Documentation in the Social Sciences) w Wiedniu. Na to stanowisko został zgodnie rekomendowany przez instytucje naukowe i polityczne z ówczesnych państw socjalistycznych i kapitalistycznych. Jest to zapewne najwyższe stanowisko w światowej nauce, które piastował polski naukowiec, co już samo przez się powinno mu gwarantować miejsce w panteonie polskiej nauki. Tymczasem tak się stało i już wiemy, że na pewno się nie stanie. Wypada się zatem zastanowić nad przyczynami takiego stanu rzeczy.

Wśród polskich historyków nauki ukształtowały się na temat Schaffa dwie narracje, z których pierwsza – zdaje się, że dominująca – odmawia mu wręcz prawa do miana naukowca, bo eksponuje w zasadzie tylko jego ideologiczne uwikłanie przy wprowadzaniu komunistycznych porządków w powojennej Polsce. Druga narracja zaś z trudem się przebija przez ten gąszcz uprzedzeń i antypatii, eksponując jego dorobek *stricte* naukowy. A po prawdzie jest on imponujący. Taka ambiwalencja prezentacji jego osoby powoduje, że w wielu opracowaniach po prostu pomija się jego biogramy i naukowe dokonania, tak jakby można było je pominąć bez szkody dla realizowanego opracowania. Dziś, w dwadzieścia lat po śmierci Schaffa, nadal dominuje pierwsza narracja, która traktuje go jako produkt obcy polskiej nauce i kulturze, narzucony mechanizmami podporządkowania interesom ZSRR. Przy takim ujęciu Schaff jawi się tylko jako „szkodnik” w polskiej kulturze i nauce. Druga legenda zaś ma charakter czysto naukowy, przez co najczęściej zupełnie pomija jego ideologiczne uwikłanie. Obie te legendy są sprzeczne ze sobą tak mocno, że nie istnieje możliwość ich pogodzenia. Warto jednak pamiętać, że sam Adam Schaff podejmował starania, aby istniejący rozdzźwięk pomiędzy tymi narracjami zniwelować. Nie przesądzając o nadrzędności którejś z tych narracji, warto przeanalizować drogę, którą zmierzał Adam Schaff pragnąc, aby pamięć o nim przetrwała we wdzięcznej formie.

### Dlaczego „legenda”?

Droga życiowa Adama Schaffa była pełna zwrotów i powrotów, zarówno jeśli chodziło o lokalizację terytorialną, jak i prezentowane poglądy polityczne i naukowe. Pomimo wszechstronnego wykształcenia zdobytego na Uniwersytecie Lwowskim i zarysowujących się możliwości zrobienia tradycyjnej kariery zawodowej, jeszcze jako młodzieniec zdecydował się na działalność, która taką karierę definitywnie przekreślała. Można byłoby to uznać za młodzieńczą przekorę, czyli naturalną skłonność do bycia w opozycji wobec głównego nurtu wydarzeń, gdyby nie fakt, że w życiu dojrzałym takich skłonności już nie przejawiał. W swoich wspomnieniach rysuje własny portret ideowego komunisty bezkrytycznie podporządkowanego linii programowej partii. Jak pisał o sobie, był oddanym „żołnierzem” partii posłuszenie realizującym wszystko, co mu nakazano. Wypada jednak wątpić w szczerść tych deklaracji, gdyż tak doskonale wykształcony człowiek był bardziej potrzebny partii niż on sam jej potrzebował. Z dużą dozą prawdopodobieństwa można zatem założyć, że w opozycyjnej i nieomal konspiracyjnej partii dostrzegał możliwość szybkiego zrobienia kariery politycznej. Jeśli dowierzać jego wspomnieniom, to nie był przywiązany do jakiejś konkretnej partii, bo deklarował swoją przynależność najpierw do Komunistycznej Partii Polski, potem Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy, a później nawet także do Polskiej Partii Socjalistycznej. Najwyraźniej usilnie szukał swego miejsca na arenie politycznej i taka możliwość otwarła się przed nim w momencie, gdy 17 września 1939 r. Armia Czerwona wkroczyła do Lwowa, tym samym zawłaszczając miasto i włączając cały region w skład ZSRR.

Jak pokazuje jego historia, szanse tej nie zmarnował. Później, już w realiach powojennej Polski szybko się zorientował, że nadmierne eksponowanie linii programowej partii rządzącej wcale nie przynosi mu splendoru. W 1951 r. w czasopiśmie „Myśl Filozoficzna” ukazał się artykuł autorstwa

Henryka Hollanda pt. *Legenda o Kazimierzu Twardowskim*, który powszechnie uznaje się za początek walki marksistów ze szkołą lwowsko-warszawską o wiodącą rolę w polskiej nauce. Henryk Holland był wówczas aspirantem (doktorantem) w utworzonym dopiero co Instytucie Kształcenia Kadr Naukowych, kuźni marksistowskich kadr w nauce wzorowanym na moskiewskim Instytucie Czerwonej Profesury. Dyrektorem IKKN był właśnie Adam Schaff, który artykuł młodego doktoranta natychmiast opublikował w kierowanym przez siebie czasopiśmie. Niewątpliwie był on nie tylko inspiratorem owego artykułu, który powstał przede wszystkim w celu zdezwuowania grona uczniów Twardowskiego. Zamiar ten ostatecznie spełził na niczym, a legenda Twardowskiego w niczym nie ucierpiała, ale od tego momentu zaczęła się formować negatywna legenda Adama Schaffa, jako zadeklarowanego stalinisty o mentalności wręcz prymitywnego czekisty. Sam Schaff przez lata zdawał się nie dostrzegać, że wydarzenia te miały wielki wpływ na to, że był traktowany bardziej jako szarlatan i manipulator, niż prawdziwy naukowiec. Nawet jego współpracownicy i podwładni z Instytutu Filozofii i Socjologii PAN postrzegali zazwyczaj tylko jego możliwości pomagania ludziom i załatwiania różnych spraw, jego zdolności organizacyjne, a prawie nigdy nie wspominali o osiągnięciach naukowych. Niemniej jednak była to cena, którą zapłacił, aby zająć miejsce jednego z decydentów w polskiej nauce.

Dopiero wydarzenia Marca '68, które go pozbawiły wszystkich stanowisk, i późniejsza banicja naukowa z kraju uświadomiły mu gorzki smak tej ceny. Banicja bowiem trwała aż do wprowadzenia stanu wojennego w 1981 r., gdy pojawiła się szansa na powrót do krajowego obiegu naukowego. Okazało się jednak, że Schaff wówczas postawił na złą kartę i zamiast włączenia do obiegu naukowego, spotkał go jeszcze większy ostracyzm, który ostatecznie spowodował nawet usunięcie go z PZPR. Sprawa jego wykluczenia z partii stała się wówczas elementem toczących się w jej łonie walk frakcyjnych pomiędzy skrzydłem reformatorskim a skrzydłem zachowawczym. Bez wątpienia pretekstem do usunięcia z partii była jego książka *Polen heute* wydana w języku niemieckim. Najważniejszą jej częścią był cykl trzech artykułów pod wspólnym tytułem *Die polnische Lektion*, opublikowanych w latach 1982 i 1983 na łamach „Europäische Rundschau”. Najwyraźniej był wówczas przekonany, że realny socjalizm w Europie Wschodniej definitywnie się rozpadnie, przez co lokował swoje nadzieje na nastanie nowego socjalizmu samorzutnie ukształtowanego na bazie zrywu Solidarności. Swoje nadzieje w tym względzie opierał na autorytecie Marksa, który przecież swego czasu przewidywał nieuchronność właśnie takiego rozwiązania. Oznaczało to zarazem uznanie, że dotychczas w Polsce nie było żadnego socjalizmu tylko jakaś forma totalitaryzmu, którą później nazwał socjalfaszyzmem. Nadzieje te szybko zostały rozwiane, a sam Schaff dokonał wolty intelektualnej, bo poparł wówczas niespodziewanie samego autora stanu wojennego, który nagle stał się dla niego uosobieniem przywódcy broniącego sprawiedliwego porządku społecznego, co zaowocowało wysunięciem gen. Jaruzelskiego do europejskiej nagrody pokojowej, której utworzenie postulował. Nie zauważył nawet, że ten projekt jeszcze bardziej wzmocnił jego negatywny wizerunek.

Pierwszą próbę zmiany negatywnego obrazu swej osoby Schaff podjął jeszcze w 1983 r. obszernym wywiadem *Myszę, że zachowałem twarz*, opublikowanym w 1983 r. w numerze 4 krakowskiego „Zdania”. Próba ta zakończyła się w zasadzie niepowodzeniem, bo wywiad w ówczesnej gorącej sytuacji politycznej przeszedł bez echa. W tym wywiadzie znalazło się usprawiedliwienie ataku przeprowadzonego przez Schaffa i jego uczniów z IKKN na szkołę lwowsko-warszawską. Stwierdził wówczas: „To był okres, kiedyśmy w myśli filozoficznej przeprowadzali rozrachunek z neopozytywizmem jako głównym przeciwnikiem. I nawet na Zachodzie przeciwnicy czy zwolennicy szkoły lwowsko-warszawskiej nie mają do mnie za to większych pretensji. Więcej, mówią, że sami by coś takiego powiedzieli i napisali np. pod adresem bardzo fantazyjnych teorii Ajdukiewicza, z których on się po wojnie rakiem wycofywał”.

Zaliczenie szkoły założonej przez Twardowskiego do nurtu pozytywistycznego z pewnością źle zostało odebrane przez polskie środowisko filozoficzne, które zgodnie sytuowało całą szkołę w obrębie nurtu analitycznego. Ponadto Schaff zbagatelizował kontekst polityczny, który towarzyszył jego atakowi na Ajdukiewicza, bo kulminacja ataku miała miejsce na zamknięcie obrad I Kongresu Nauki Polskiej (29.06–2.07.1951), gdy Schaff osobiście rozprowadził wśród uczestników zredagowane przez siebie rzekome podsumowanie obrad Podsekcji Filozofii i Nauk Społecznych. Podsekcji tej przewodniczył właśnie Ajdukiewicz. Nie trzeba dodawać, że wszystko odbyło się poza plecami przewodniczącego, a paszkwilanckie ujęcie konkurencyjnych wobec marksizmu kierunków filozoficznych zostało włączone do materiałów Kongresu jako jego oficjalny dokument. Niemniej jednak ostatecznie Schaff wyniósł z walki z uczniami Twardowskiego istotną korzyść, gdyż zyskał niemałe kompetencje w zakresie filozofii języka i metodologii, dzięki czemu polski marksizm pozytywnie wyróżniał się na tle filozofii uprawianej wówczas w pozostałych państwach bloku socjalistycznego. Sam Schaff napisał dzięki temu kilka prac z zakresu semantyki i filozofii języka, które na ogół spotykały się z przychylnym przyjęciem także poza granicami kraju.

W dziesięć lat później Schaff opublikował książkę, której tytuł *Pora na spowiedź* sugerował próbę rozliczenia z własną przeszłością. Tymczasem czytelnik otrzymał do ręki zbiór rozproszonych wiadomości na temat własnych kolei życiowych samego Schaffa, który stanowi punkt wyjścia do zaprezentowania siebie w zasadzie jako zbawcy ludzkości potrafiącego samodzielnie sformułować postulowaną drogę prowadzącą do świetlanej przyszłości. Tytuł książki zatem świadomie wprowadzał w błąd czytelnika zapewne w nadziei, że w ten sposób przemyci do szerszej publiczności własne poglądy na temat kondycji współczesnej cywilizacji i nieomyłnej drogi wiodącej do jej uzdrowienia. Można odnieść wrażenie, że liczne dygresje z historii własnego życia służą tylko temu, aby wykazać, że te poglądy wynikają wprost z doświadczenia życiowego autora i znajdują potwierdzenie zarówno w historii, jak i w wydarzeniach współczesnych. Schaff wedle własnej narracji przedstawia się jako obywatel świata, stały bywalec salonów gromadzących elitę światowej nauki, kultury i polityki. Ten powiew wielkiego świata był zapewne wprowadzony po to, aby uwiarygodnić przekaz autora. Rzecz jasna publiczność w Polsce oczekiwała nie takiego przekazu, ale przede wszystkim racjonalnej rekonstrukcji wydarzeń z nieodległej przeszłości. Społeczeństwo wówczas oczekiwało tego typu przekazów, do czego przyzwyczaili politycy z dawnego obozu wła-

dzy, publikując swoje wspomnienia bądź tzw. wywiady-rzeki ze znanymi dziennikarzami. Książka Schaffa okazała się przez to wielkim zawodem wydawniczym, co spowodowało, że zarówno jej przekaz, jak i informacje w niej zawarte zostały zignorowane przez polskich intelektualistów. Wyjątkowa okazja pozytywnego zaistnienia w polskiej przestrzeni publicznej została więc przez Schaffa po prostu zmarnowana.

Powrót Adama Schaffa do kraju po transformacji ustrojowej boleśnie skonfrontował negatywną legendę z postrzeganiem samego siebie jako autorytetu światowego dyskursu naukowego. Podjął wówczas wręcz heroiczny wysiłek zmiany swego wizerunku przez włączenie się do dyskusji społecznych i naukowych na temat kierunku przeobrażeń politycznych i intelektualnych we współczesnej Europie. Zaczął występować wręcz w roli Kasandry, snując wizje przemian, dla których teoretyczną podstawą miały być głoszone przez niego poglądy. Rzecz jednak była w tym, że Schaff ciągle zachowywał przekonanie, iż polskie społeczeństwo z gruntu jest prosocjalistyczne i nie tylko zaakceptuje jego postulaty, ale podejmie ryzyko ich wdrożenia do praktyki społecznej. Zasadnicze znaczenie miały jednak jego próby zakwestionowania negatywnej legendy o sobie i swoich dokonaniach, która ciągle dominowała w polskiej historiografii.

Ogólnie rzecz ujmując, pierwsze próby skorygowania swego dotychczasowego postrzegania jako stalinisty i dogmatycznego komunisty okazały się nieudane, bo były głównie promocją własnej osoby. Tego błędu Schaff nie powtórzył już w swej książce *Perspektiven des modernen Sozialismus*, wydanej w Wiedniu w 1988 r. nakładem wydawnictwa Europaverlag. W rozszerzonej wersji książka ukazała się w 1990 r. również w Polsce dzięki dołączeniu do jej treści szeregu wątków autobiograficznych. Zostały one rozproszone i wplecione w treści tej książki bez jakiegось czytelnego schematu, co znacznie utrudnia lekturę tej książki. Najciekawsze są wątki dotyczące przeżyć wojennych Schaffa związanych z jego exodusem ze Lwowa poprzez Samarkandę aż do Moskwy. Ogólne wrażenie z tej chaotycznej mozaiki wspomnieniowej jest jednak pozytywne, gdyż przedstawia Schaffa jako człowieka miotanego w różne egzotyczne miejsca przez wojenną burzę, zesłańca przeżywającego skrajny niedostatek, ale zarazem nietracącego hartu ducha, dzięki czemu mimo wielu przeciwności losu wspiął się na naukowe wyżyny.

Już po powrocie z Wiednia do kraju Schaff podjął radykalną próbę zmiany opinii o sobie, publikując kontrowersyjną książkę *Moje spotkania z nauką polską*, w której przedstawił bardzo subiektywny obraz jego własnych dokonań naukowych. Można się zgodzić bez zastrzeżeń jedynie z tym, że osiągnął swoją pozycję w nauce krajowej także własną ciężką pracą i dbałością o poprawne relacje ze wszystkimi ośrodkami naukowymi w Polsce. Książka ta w wielu miejscach jest jego wręcz narcystyczną wizją rozwoju nauki w powojennej Polsce. Nazwanie w niej Kotarbińskiego kolaborantem komunistycznej władzy jest wyrazem porażającej niewdzięczności zważywszy na fakt, że to właśnie twórca etyki niezależnej napisał pozytywną ocenę dorobku naukowego, która stała się podstawą przyznania Schaffowi tytułu profesora. Bez Kotarbińskiego nie byłoby przecież także przypisywanej tylko własnej inicjatywie („Myślałem, myślałem i wymyśliłem”) Biblioteki Klasyków Filozofii. Między wierszami tej książki

można odczytać jednak to, że przez wiele lat Schaff był jednym z decydentów w powojennej nauce, a zatem jej negatywna ocena bezpośrednio go obciąża. Zauważalna jest także próba zdęcia z siebie odpowiedzialności za restrykcyjne działania wobec niepokornych naukowców oraz wydawnictw. Z lektury książki wynika natomiast, że to wszystko działo się jakby poza Schaffem, a on sam był tylko biernym obserwatorem tego, co się wówczas działo. Wiedzą tajemną pozostały niestety mechanizmy, za pomocą których instancje polityczne i ideologiczne wpływały na ówczesną polską naukę. Schaff zaś był niewątpliwie jedną z niewielu osób w kraju, który jako członek KC PZPR był jednocześnie działaczem politycznym, ideologicznym oraz aktywnie uczestniczył w działalności naukowej. Ta książka zatem mogła, a nawet powinna stać się prawdziwym kompendium wiedzy o mechanizmach rządzących ówczesną nauką polską, a fakt, że tak się nie stało był najwyraźniej świadomym wyborem jej autora. W efekcie wszystkie osoby występujące w tej książce są przedstawione na ogół w ciemnych barwach, a wyróżnia się tylko postać Schaffa jako jedyne rozsądnego i sprawiedliwego. Nic dziwnego, że publikacja tej książki siłą rzeczy przyniosła skutek odwrotny od zamierzonego, bo zamiast ocieplić wizerunek Schaffa jeszcze bardziej utrwaliła przekonanie, że w gruncie rzeczy pozostał niereformowalnym stalinistą.

Niepowodzenie tego projektu spowodowało podjęcie próby wyeksponowania pozytywnej strony własnej biografii przez skoncentrowanie się wyłącznie na swoich osiągnięciach naukowych. W 2000 r. na łamach „Ruchu Filozoficznego” ukazał się jego autobiogram, w którym pominął całkowicie swoje polityczne i ideologiczne dokonania, wpisując się w poczet polskich filozofów, którzy zdobyli uznanie i popularność na forum nauki światowej. Autobiogram ten jednak został zignorowany przez środowisko krajowe, które nie zapomniało o jego stalinowskiej przeszłości. Brak pozytywnej reakcji na dotychczasowe zabiegi o korektę jego wizerunku wyraźnie wpłynął na kolejny projekt tego rodzaju, tym razem realizowany przy wsparciu swego dawnego ucznia Bohdana Chwedeńczuka. Książka zatytułowana *Dialogi z Adamem Schaffem* ukazała się w 2001 r., wbrew swemu tytułowi okazała się monologiem autora, który jakby nie dopuszczał w ogóle do głosu Schaffa, sam odpowiadając na stawiane przez siebie pytania. Taka sytuacja mogła być spowodowana być może słabszą kondycją intelektualną samego Schaffa, który miał wówczas blisko 90 lat, ale możliwe też, iż był to świadomy jego zabieg: z ostrożności nie wypowiadał się na tematy kontrowersyjne, jakby licząc, że były uczeń z własnej inicjatywy ociepli jego wizerunek. Tymczasem nic takiego nie miało miejsca, choć przyjęta konwencja wywiadu-rzeki stwarzała do tego znakomitą okazję.

Paradoksalnym jest, że najlepsze rozliczenie z własną przeszłością zawiera *Książka dla mojej żony*, która ukazała się w tym samym roku. Nie zawiera ona żadnych rewelacji, jedynie uporządkowane informacje o własnej przeszłości, które dotąd były rozproszone po wcześniejszych publikacjach.

## **Cóż zatem pozostanie po Adamie Schaffie?**

Jaka zatem powinna być opowieść biograficzna o Adamie Schaffie? Czy można pozytywnie sytuować go w polskiej kulturze i nauce, czy raczej należałoby go skazać na wieczną banicję? Odpowiedź nie jest prosta. Bez wątplenia był „dzieckiem z przystanku Wojna”, którego losy są pochodną

przebiegu samej wojny. Początkowo przecież tworzył teoretyczne podstawy pod kształtujący się po wojnie porządek społeczny. To wówczas był przekonany, iż moralne jest tylko to, co służy interesom klasy robotniczej. Upublicznienie treści referatu Chruszczowa wygłoszonego na XX Zjeździe KPZR wstrząsnęło Schaffem, ale zwały to nie same mechanizmy przemocy w nim odsłonięte, co ich skala. Bezmiar stalinowskiego okrucieństwa w żaden sposób nie dawał się bowiem usprawiedliwić. Od tego czasu Schaff przestał być wiernym jedynie słusznej linii i zaczął poszukiwać alternatywnych rozwiązań.

Nie odważył się jednak na otwarte wystąpienie przeciwko istnjącemu porządkowi społeczno-politycznemu. Jego działania w kierunku zbliżenia z emigracyjnymi środowiskami na Zachodzie, a także z amerykańskimi filozofami i politologami były realizowane w tajemnicy. Zasłona milczenia zaciągnięta była tak szczelnie, że dziś zachowały się ślady tylko w korespondencji pomiędzy zainteresowanymi osobami. Wiemy dziś, że Schaffowi – pomimo niechlubnych działań z przeszłości – udało się nawet zadzierzgnąć przyjacielskie kontakty z wieloma przedstawicielami szkoły lwowsko-warszawskiej, dzięki czemu sprawnie kontynuowano wydawanie zainicjowanej jeszcze we Lwowie Biblioteki Klasyków Filozofii. Nawiązał także osobiste kontakty z emigracyjnymi intelektualistami, nie wyłączając Jerzego Giedroycia i Zbigniewa Jordana. To także Schaff torował drogę dla uczestniczenia przedstawicieli polskiej nauki w programie stypendialnym Fundacji Forda. On też uutorował drogę powrotu powojennej polskiej nauki na światowe salony. O tym jednak historia polskiej nauki milczy nie z tego powodu, że potępia wszystko, co robił Schaff, ale dlatego, że były to działania podejmowane skrycie w obawie przed cenzurą i partyjnymi ortodoksami. To wszystko powoduje, że żadna z opinii o Adamie Schaffie nie ma szansy na utrwalenie się w historii polskiej nauki, bo żadna nie jest w stanie uwzględnić materiałów, które zapewne do dziś jeszcze leżą w zastrzeżonych zbiorach archiwalnych przeróżnych instytucji rozsianych po całym świecie. ■

Autor, prof. dr hab. Stefan Konstańczak, pracuje w Instytucie Filozofii Uniwersytetu Zielonogórskiego.

# Magda Umer odeszła



Jerzy PAPUGA

Tak właśnie chyba powinno się o Niej napisać w tej smutnej i trudnej chwili, bo przecież dla prawie każdego polskiego inteligenta była kimś *swoim*, z którym idąc przez życie śmiało można było się głównie w skrytości myśli porozumiewać. Jest to więc strata kogoś dla wielu naprawdę bardzo bliskiego, ale jednak różnego. Jedni wspominają Magdę Umer jako ciepłą, poetycko-liryczną piosenkarkę, inni podkreślają w niej autorkę świetnych spektakli i scenariuszy telewizyjnych oraz wielkich

opolskich koncertów, dla wielu zaś na zawsze pozostanie niezrównaną telewizyjną gwiazdą – do spółki z Agnieszką Osiecką czy Jeremim Przyborą. Miała wiele fajnych obliczy, by nie spróbować się z którymś z nich kiedyś zidentyfikować – mnie się to raz po raz przytrafiało i niekiedy trzymało długo tygodnie. A obcując z Osiecką czy Przyborą, była Magda Umer w naszym niejako imieniu animatorem artystycznego Olimpu, do którego załatwiała publiczny dostęp, nieraz przełamując opory wymienionych. I za to jesteśmy dziś jej cholernie wdzięczni, a przynajmniej ja.

Zazwyczaj w takich nieodwoływalnych chwilach jak śmierć dokonuje się podsumowania tzw. całokształtu, wszystkich dzieł dokonanych, przeżytych i zamkniętych. Ale w Jej przypadku byłoby to jakąś chyba tylko częścią prawdy, gdyby sprowadzić to do podsumowania życia i twórczości zamkniętych już na amen w konkretnych datach.

Magda Umer była bowiem kimś zdecydowanie większym aniżeli scena, na której tak udanie przez dziesiątki lat działała, bo jednak – przynajmniej – często jest to tylko kwestia warsztatu, który mniej lub bardziej służy tylko temu, aby na chwilę zaistnieć. W przypadku Magdy Umer na pewno nie byłoby to adekwatne dla zrozumienia straty, jaką wszyscy ponieśliśmy. Bo jednak największym jej skarbem było to, co nazywamy osobowością, a co znajdowało tylko częściowo wokalny wyraz na estradzie. A przecież i tak było najlepszej miary, ale moim zdaniem w mniejszym zakresie wobec tego, co było Jej absolutnym osobistym diamentem, który nam ofiarowała. Osobowości polskiej dziewczyny, która nie wymagała jakichś specjalnych opisów ni obramowań jakimikolwiek artystycznymi konwenansami, może prócz dobrego wychowania w stylu Starszych Panów.

Jak dziś pamiętam, kiedy podczas swojego koncertu w Hybrydach przy okazji OPPA (lata 80. ubiegłego wieku...) po prostu zeszła ze sceny i usiadła na proscenium, jakby podkreślając, że jest zarazem po naszej, widzów i słuchaczy stronie, choć także była na scenie i wyłącznie dla nas śpiewała o świerszczach w kominie. To było niewyuczone, a kapitalne w swojej sile wyrazu, wręcz intuicyjne, że aż odruchowe... Spróbujcie dziś coś takiego gdziekolwiek zobaczyć, żeby scena stała się widownią, a widownia sceną, by coś ważnego sobie wzajemnie powiedzieć i przekazać?

Zaraz stanęło mi to przed zeszkłonymi oczyma, kiedy doszła mnie informacja o śmierci Magdy Umer, niestety wbrew mojemu osobistemu przekonaniu, że to akurat Jej nie powinno się nigdy przytrafić. A przywołuję tu Hybrydy lat 80. nie bez przyczyny, bo Magda Umer była jurorem Ogólnopolskiego Przeglądu Piosenki Autorskiej, którą zaprosiłem na stałe, podobnie jak Jacka Janczarskiego, aby oceniali przesyłane na konkurs studenckie, a czasami licealne, wprawki i produkcje. Kultura studencka kojarzyła się wtedy z piosenką autorską, tacy artyści jak Piotr Bakal, Jacek Kaczmarski, Jan Wołek czy Wolna Grupa Bukowina zajmowali studentów nie mniej niż wykłady i kolokwia. Magda Umer robiła to zarówno z niekłamany entuzjazmem dla zjawiska piosenki studenckiej, której sama była znakomitym przedstawicielem, jak i szczerą miłością dla przebijającej się często twórczej grafomanii, ale i niekiedy początków wielkiego talentu; Jacek Janczarski – chyba bardziej z upodobania do obserwacji zjawiska tremy i pierwszych kroków różnych ludzi na scenie. No cóż, różnie podczas OPPY bywało, ale Magda Umer zawsze była z notatkami na posterunku i do dyspozycji przeróżnych występujących

w konkursie ludzi, którzy uważali, że mają światu coś ważnego do powiedzenia, choć w większości znikli następnie w mroku dziejów.

Nawet sam się nieraz dziwiłem, że jej się tak mocno chce, ale był w tym także pewien szerszy zamyśl, o którym miałem niebawem się przekonać. Otóż niektóre jak ułał figury z tego (i zapewne innych...) przeglądu trafiły następnie do jej kapitalnych scenariuszy i telewizyjnych realizacji, jak ów zmięty trudami praktyk terenowych student wydziału geologii, który „daje publiczności coś od siebie” (świetnie imitował go, z gitarą, w jednym ze spektakli Umer aktor, dyrektor i tancerz Janusz Józefowicz...). Więc korzyści były obopólne, ale liczyła się też Jej i Jacka obecność i życzliwa krytyka, okresowo zasilana Wojciechem Młynarskim, Przemysławem Gintrowskim czy Agnieszką Osiecką, co czyniło Hybrydy na powrót tym, czym były u swego zarania.

No i zawsze można było liczyć na zaciszną rozmowę z Magdą Umer, z czego oczywiście (będąc wówczas na życiowo-miłosnym zakręcie) korzystałem w ramach osobistego kącika porad miłosno-sercowych. Choć mówiłem wyłącznie ja, a ona milczała, to była to bardzo ciekawa rozmowa...

Później była eksplozja sceniczno-telewizyjnej aktywności Magdy Umer, do bodaj dziesiątek spektakli przyłożyła swoją rękę i markę, kilka pamiętnych rzeczy pozostanie na zawsze w kanonie polskiego inteligenta, podobnie jej powiedzonek, anegdot i zdziwień.

Była i działalność radiowa, wspomniana już estradowa – nie tylko w charakterze wokalistki, ale równie udana w charakterze prowadzącej koncert lub spektakl, wreszcie wspomniane gawędziarstwo telewizyjne, głównie z Agnieszką Osiecką o życiu i miłości, czy ostatnio pierwszej klasy konferansjerka wraz z Andrzejem Poniedziałkim. Ale głównie z Osiecką przed kamerą o tym, co do tej pory jest udziałem milionów dziewczyn i kobiet, aby zwierzać się sobie w rytm zachodów słońca, mieć sekrety i tajemnice, rozwiązywać życiowe dylematy i wspominać swoich byłych, rozmawiając o zupełnie innych rzeczach. A przecież jest jeszcze ponadczasowa *Biała bluzka* grana przez Krystynę Jandę od samego początku, którą TVP będzie teraz przypominać, tylko chwilowo pod nieobecność Magdy Umer... ■

# Akademicki Klub Turystyczny Uwarunkowania i efekty fenomenu



Tomasz DZIEDZIC

## 1. Naszkicowanie idei i warunków założenia przez M. Orłowicza pierwszego AKT w 1906 r.

Druga połowa XIX w. i początek następnego to okres erupcji różnego rodzaju stowarzyszeń turystycznych w całej Europie. Rozpoczęło się na

Wypach Brytyjskich, ciekawość świata, a przede wszystkim możliwości finansowe były tam większe niż w pozostałych krajach. Dość szybko jednak pokazali się naśladowcy w Niemczech, Szwajcarii, Austrii, gdzie otoczenie (Alpy) prowokowało do turystycznej aktywności; do wejścia na ten czy tamten szczyt, zobaczenia, co jest za tamtą przełęczą, zetknięcia się z innymi ludźmi. Wyrazem tego na terenach polskich było założenie w 1873 r. Towarzystwa Tatrzańskiego, a co ważniejsze konsolidacja (to był proces ciągły) elity intelektualnej Galicji Zachodniej.

W tych latach (tj. po uzyskaniu przez prowincję autonomii w ramach zreformowanego Cesarstwa Habsburgów) Lwów, prócz miejsca urzędowania Namiestnika władzy cesarskiej, stał się siedzibą Parlamentu Galicyjskiego, czyli najwyższej władzy przedstawicielskiej, a także Szkoły Politechnicznej (o statusie pełnoprawnej Cesarskiej Uczelni Wyższej) i Uniwersytetu Franciszkańskiego (to oficjalna nazwa tej uczelni do 1918 r.). Liczba wykładowców, liczba studentów, zakres badań i nauczania (powiększający się w zasadzie bez przerw i zawirowań) przekształciły obie uczelnie w wiodące ośrodki życia akademickiego w całym Cesarstwie Austro-Węgierskim. Co ważne, stanowiły centra przyciągające kadrę i studentów z innych zaborów (szczególnie z tzw. Kongresówki).

Należy też pamiętać, że tak Lwów, jak i jego bliższe i dalsze okolice (a im dalsze, tym bardziej) stanowiły mozaikę kulturową, językową, narodowościową i wyznaniową. Potwierdzały to pierwsze i dalsze wyniki wyborów do Galicyjskiego Sejmu. W pewnym uproszczeniu można powiedzieć, że mieszkańcy Galicji początków XX w. różnorodność mieli na co dzień i na każdym kroku. Nie musieli jej się uczyć jako innych wymiarów, natomiast mogli i – ze względu na swój potencjał intelektualny – znaczna grupa chciała ten świat zobaczyć, lepiej poznać i zrozumieć. Pobliskie grzbiety Karpat, zlewnia Morza Czarnego, społeczności huculskie, łemkowskie, osadnictwo węgierskie i słowackie na tzw. Zakarpaciu, setki sztetli, dwory i dworki pielęgnujące herbowe tradycje, nadawały tej mozaice niepowtarzalny koloryt. Trudny do wyobrażenia, a tym bardziej poznania w innych miejscach ówczesnej Europy.

Zebranie założycielskie Akademickiego Klubu Turystycznego odbyło się 29.04.1906 r. w sali Uniwersytetu Lwowskiego, za aprobatą Rektora<sup>1</sup>, a pierwszym prezesem wybrano Mieczysława Orłowicza. Orłowicz pozostał prezesem AKT przez pierwsze 5 lat. Historia aktywności Klubu w roku powstania i latach następnych jest dość dobrze udokumentowana i opisana<sup>2</sup>. Dbał o to Orłowicz, zarząd klubu i inni członkowie, którzy czuli się w obowiązku utrwalania dokonań ku pożytkowi publicznemu wówczas i w późniejszych latach<sup>3</sup>.

<sup>1</sup> M. Orłowicz, *Moje wspomnienia turystyczne*, Ossolineum, Wrocław-Warszawa-Kraków, 1970, s.s. 330 i dalsze.

<sup>2</sup> Por. publikacje T. Kowalika m.in. *Lwowski AKT powstał 110 lat temu – wzór i następcy lwowskiego klubu*, wyd. Fundacja Ogólnopolskiej Komisji Historycznej Ruchu Studenckiego, *Zeszyty Historyczne Ruchu Studenckiego* nr 6, Warszawa 2016, s.s. 5–22.

<sup>3</sup> Por. T. Kowalik, *Dzieło Mieczysława Orłowicza*, wyd. Fundacja Ogólnopolskiej Komisji Historycznej Ruchu Studenckiego, *Zeszyty Historyczne Ruchu Studenckiego* nr 23, Oficyna Wydawnicza Rewasz Warszawa 2025. Pozycja stanowi zwieńczenie wieloletnich prac T. Kowalika jako badacza, krajoznawcy, działacza PTTK, a przede wszystkim popularyzatora Orłowiczowskich wartości.

Jednym z ważniejszych przejawów tej pracy kronikarskiej były sprawozdania z każdego wyjazdu klubowego, wymagane przez władze uczelni, ale przede wszystkim zarząd klubu. Wbrew skrzywieniu biurokratycznemu, jakie towarzyszy ludziom od lat II wojny światowej sprawozdania AKT Lwów były traktowane jako kronikarska misja i wkład członków Klubu *dla ludzkości*, zgodnie z postąnnictwem oświeceniowym: podzielić się swoją wiedzą z innymi, bo po to została zdobyta. Orłowicz do tego aspektu funkcjonowania Klubu przywiązywał niezwykłą wagę.

W późniejszych ocenach działalności lwowskiego AKT przedmiot sprawozdań urósł wręcz do symbolicznego znaczenia; poznać własnym doświadczeniem, przeżyć, zrozumieć i dzielić się tym z innymi; często *pro publico bono*. W odróżnieniu od klubów brytyjskich, niemieckich bądź austriackich, dla których element tożsamościowy był oczywisty, w działaniach AKT Lwów, w deklaracjach i postawach podkreślano organiczne znaczenie wiedzy i umiejętności turystyczno-krajoznawczych dla kształtowania postaw patriotycznych, co znalazło potwierdzenie przy oddziaływaniu Orłowicza jako *Pierwszego Urzędnika II RP* odpowiedzialnego za turystykę.

Ta popularyzacja, upowszechnianie, pielęgnowanie Orłowiczowskiego „długodystansowego wędrowania”, stawały się z upływem czasu coraz bardziej oswojone w środowisku krajoznawców, turystów, naukowców, nawet polityków. Zawsze w intencji ich autorów miały komuś i czemuś służyć; na różnych poziomach, od lokalnej odwiedzanej społeczności, po władze państwowe w przyszłej odrodzonej, niepodległej Polsce. Orłowicz szczególnie podkreślał, nie tylko pionierskie działania AKT Lwów, ale przede wszystkim organiczne znaczenie wiedzy i umiejętności turystyczno-krajoznawczych dla kształtowania postaw patriotycznych przed 1918 r. i państwowych po odzyskaniu niepodległości. „Jesteś tylko warty, ile jesteś w stanie poznać, zrozumieć, przekazać i spożytkować”. Jednolitość instynktu poznania, zrozumienia i popularyzacji była w AKT Lwów niekwestionowaną oczywistością.

Kapitał intelektualny skupiony wewnątrz i wokół Klubu w tych latach był znaczny i prężny. Późniejszy rozwój nauki, kultury, umiejętności pragmatycznego działania (także prakseologii jako nauki), a także i samej turystyki potwierdził efektywność tego potencjału.

Taką misję nakreślił sobie Orłowicz, taką starał się popularyzować i realizować w swojej aktywności społecznej i zawodowej i taką zaszczerpił u tysięcy swoich następców, zarówno w latach 1918–39, jak i po 1945 r. Warto przypomnieć, że jako najwyższy urzędnik od turystyki w Ministerstwie Komunikacji II RP wydał zarządzenie, by wszystkie przedziały pociągów PKP (tam, gdzie rodzaj taboru na to pozwalał) były zdobione zdjęciami krajoznawczymi z każdego dostępnego regionu Polski. Te fotografie, których celem było popularyzowanie walorów turystycznych, unikalnych, atrakcyjnych widoków itp., przetrwały do końca lat 80. XX w. Pytaniem, na które może być warto było poszukać odpowiedzi, jest, czy któreś inne koleje europejskie też stosowały ten sposób zachęty i popularyzacji, a jeśli tak, to które i kiedy?

## 2. Warunki reaktywacji AKT w 1957 r.

Można byłoby oczekiwać, że po skończeniu podwójnych studiów, zrobieniu doktoratu i angażowaniu się w działalność państwową Orłowicz zmniejszy aktywność, ograniczy podróże i siłę oddziaływania na bliższe i dalsze otoczenie, tak w układzie formalnym, jak i towarzyskim. Nic takiego nie nastąpiło. Widząc potrzeby i możliwości, jakie wynikały z gigantycznych przemian demograficznych i kulturowych związanych z objęciem polską pieczęią nowych terenów tzw. poniemieckich (z setkami tys. km kw. powierzchni, milionami przesiedleńców i setkami milionów problemów), mocno zaangażował się w prace różnych ciał i instytucji pracujących nad unilateralnością Polski po 1945 r.; na tyle rzetelnie, na ile pozwalała mu na to niemała wiedza i doświadczenie.

Rok 1956 zapisał się w historii światowej, europejskiej i wielu krajów (niektórych wspólnie, niektórych z osobna) jako rok niezwykły. Tak też było w wymiarze bardziej przyziemnym, namacalnym, odczuwalnym przez ludzi i ich bliższe bądź dalsze otoczenie; niekiedy formalne, czasami nie.

Mając na względzie 50. rocznicę powstania lwowskiego AKT, M. Orłowicz doprowadził do *Wycieczki jubileuszowej AKT* na przełomie maja i czerwca 1956 roku<sup>4</sup>. Warto przy odnotowaniu tego wydarzenia zwrócić uwagę na dwa fakty. Po pierwsze, po pięćdziesięciu latach część osób odczuwała te same emocje, wartości i wspólnotę, co w diametralnie innych okolicznościach w 1906 r. w czasie panowania austro-węgierskiego cesarza. Mimo zmiany teatru i dekoracji, idee pozostały te same (motywy, postawy, sprawdzone sposoby działania i efektywność). Na jubileuszowe spotkanie przybyło ponad 20 członków AKT, którzy działali w latach 1906–14. Drugim znamienym wydarzeniem było uczestnictwo w krakowskiej sesji wybitnych przedstawicieli polskiej nauki. Należy tu wymienić m.in. profesorów: W. Goetla, Z. Klemensiewicza, W. Szafera. Można to oznaczyć podwójną implikacją: jak dużą wagę w dalszym ciągu przywiązywał M. Orłowicz (i osoby z jego dawnego otoczenia) do bezpośrednich kontaktów z ludźmi nauki oraz w jaki sposób luminarze nauki postrzegali wartości kreowane i niesione (rozsiewane) przez działalność organizacyjną, krajoznawczą i turystyczną, tak jak rozumiał ją i praktykował Orłowicz.

Trudno przesądzić, czy ów jubileusz lwowskiego AKT, czy *powiew wolności edycja „56”*, czy wrocławski *genius loci* bądź jakieś inne dodatkowe (a sprawcze) elementy sprowokowały studentów dwóch największych uczelni Wrocławia do założenia Akademickiego Klubu Turystycznego Wrocław<sup>5</sup>. Inicjatorzy przede wszystkim zwrócili się do Orłowicza z pytaniem, czy mogą skorzystać z takiej nazwy i co sądzi on na temat ponownej materializacji swojej idei. Orłowicz wyraził aprobatę i zadowolenie, a jednocześnie w liście do inicjatorów napisał: „Jedni nie umieją prowadzić pracy turystycznej, drudzy nie chcą jej prowadzić, a tego rodzaju instytucje stoją właściwie na jednostkach pełnych zapału, chętnie poświęcających swój czas, mających świadomość celu i znajomość środków wiodących do

<sup>4</sup> M. Orłowicz, *Moje wspomnienia turystyczne*, op. cit., *Sprawozdanie z wycieczki jubileuszowej AKT...*, s. 619 i dalsze.

<sup>5</sup> AKT Wrocław powstał 1957 r. z inicjatywy członków Koła Naukowego Geografów na Uniwersytecie Wrocławskim i Klubu Trampów na Wrocławskiej Politechnice.

celu. Jeśli takich znajdziecie, to pojedziecie, jeżeli nie znajdziecie, to upadniecie ...”<sup>6</sup>.

Tym samym, jako doświadczony organizator, pragmatyk, człowiek wielu *punktów widzenia*, zwrócił uwagę na kwestię absolutnie kluczową dla ewentualnego sukcesu lub porażki, czyli jakość kadr (obecnie częściej nazwaną twardymi i miękkimi kompetencjami). Powstanie Akademickiego Klubu Turystycznego we Wrocławiu z jednej strony było pomostem czerpiącym i nawiązującym do idei lwowskich: poznać, zrozumieć, spopularyzować, ochronić, z drugiej, tworzącym płaszczyznę realizacji własnych pasji i zainteresowań, w równym stopniu powiązanych z profilem studiów i przyszłą pracą zawodową, jak i równie często w odmiennych sferach spektrum aktywności człowieka. Oznacza to, że swoje miejsce znajdował tu geolog, który później chodził całe życie z geologicznym młotkiem i mapą np. osadów jurajskich, jak i inżynier elektryk lub rusycysta, który jako nauczyciel miał skłonność do wycieczek z młodzieżą, bądź polonista zatrudniony w urzędzie miasta.

Wydarzenie wrocławskie było też katalizatorem, który wywołał lawinę. Akademickie kluby turystyczne zaczęły powstawać we wszystkich większych (a potem także mniejszych) miastach, gdzie funkcjonowały uczelnie wyższe. Inicjatywy i ludzie, którym *coś się chciało*, ujawnili się nie tylko w Krakowie, Warszawie, Poznaniu i Gliwicach, ale także w Gdańsku, Toruniu, Łodzi, Szczecinie, itd. Niekiedy były to afiliacje przy Radach Okręgowych ZSP, czasami przy Radach Uczelnianych tej organizacji (np. Uniwersytet Warszawski, Politechnika Warszawska, Politechnika Gliwicka). Część klubów rejestrowała się także jako koła PTTK. Z reguły był to wewnętrzny wybór członków w zależności od tego, jak widzieli swoją rolę uczestników, organizatorów i popularyzatorów turystyki i krajoznawstwa<sup>7</sup>. Były to organizmy naturalne i żywe, przez co nie tylko powstawały, ale jak przewidująco zauważył znający życie turystyczne i organizacyjne Orłowicz, niekiedy przy słabych (słabszych) kadrach – upadały. Zasadniczo tylko środowisko wrocławskie i warszawskie doczekały się w miarę całościowych monografii swoich aktywności turystycznych po 1956 r.<sup>8</sup> Przeglądając te pozycje, można się zorientować w mnogości bytów, ich różnorodności pod względem profilu działania, terenów, na których koncentrowały (koncentrują) swoją aktywność, dbałości o zachowanie pamięci i kilku innych cech lub wyróżników<sup>9</sup>.

<sup>6</sup> Cytat za opracowaniem w: *Tak było. Turystyka studencka w środowisku wrocławskim*, autorstwa M. Anioł, K. Nowaka i N. Walny, Wyd. Fundacja Historii Ruchu Studenckiego, Wrocław, 2023, s. 13–15.

<sup>7</sup> W dalszej części artykułu pod pojęciem Akademickiego Klubu Turystycznego będą rozumiane wszystkie twory afiliowane przy radach wydziałowych, uczelnianych i okręgowych ZSP, a także oddziałach PTTK, jeśli miały swoją siedzibę na uczelniach, niezależnie od rodzaju uprawianej aktywności i/lub podwójnej przynależności (np. ognia Polskiego Związku Alpinizmu).

<sup>8</sup> Por. T.W. Łękowski, *Tam idziemy, gdzie nas nie ma...*, Publikacja Komisji Historycznej Ruchu Studenckiego, Zeszyt 21, Oficyna Wydawnicza Rewasz, Warszawa 2024.

<sup>9</sup> Przygodnego obserwatora, ale i bardziej wnikliwego, dziwić może brak takiej monografii dla środowiska krakowskiego. Szczególnie, jeśli weźmie się pod uwagę tradycje turystyczno-organizacyjne, dobre wzorce dokumentowania tego

Z biegiem czasu, tak jak u wszystkich organizmów żywych, pojawiło się różnicowanie funkcji i specjalizacja. Powstawały odrębne kluby (bądź sekcje) przewodników górskich i/lub terenowych, kluby kajakowe, rowerowe, żeglarskie, narciarskie, jeździeckie, pletwonurków, alpinistów itd. Formy aktywności warunkowane były jedynie zainteresowaniami członków, tradycją, do której się wchodziło (jeśli kluby tę tradycję miały) i wymogami formalnymi w niektórych przypadkach. Na przykład uprawnienia przewodnika lub organizatora turystyki wynikały z regulacji państwowych.

Tradycja była istotnym elementem budowania tożsamości klubów. W latach 70. kluby „stare” obchodziły z właściwą celebrą swoje 15-lecie lub 20-lecie, zapraszały władze uczelni, przedstawiciele zarządów (PTTK) i rad (ZSP/SZSP), swoich prominentnych członków (lub byłych członków), którzy zdążyli zostać profesorami, dyrektorami albo dziennikarzami. Kluby młodsze także widziały w tym wartość, jak na przykład obchodzący 5-lecie Klub Strażników Ochrony Przyrody „Ucho Łosia”<sup>10</sup>.

[...]

### Dokończenie w następnym numerze

### Literatura

1. M. Anioł, K. Nowak i N. Walny, *Tak było. Turystyka studencka w środowisku wrocławskim*. Wyd. Fundacja Ogólnopolskiej Komisji Historycznej Ruchu Studenckiego, Wrocław 2023.
2. E. Klimowicz, *Talcott Parsons o miejscu i funkcjach wartości w systemie działania jednostki ludzkiej*, [w:] „Edukacja Filozoficzna”, vol. 9, 1989 r.
3. T. Kowalik, *Lwowski AKT powstał 110 lat temu – wzór i następcy lwowskiego klubu*. „Zeszyty Historyczne Ruchu Studenckiego”, nr 6. Wyd. Fundacja Ogólnopolskiej Komisji Historycznej Ruchu Studenckiego, Warszawa 2016.
4. T. Kowalik, *Dzieło Mieczysława Orłowicza*, „Zeszyty Historyczne Ruchu Studenckiego”, nr 23. Wyd. Fundacja Ogólnopolskiej Komisji Historycznej Ruchu Studenckiego, Oficyna Wydawnicza Rewasz, Warszawa 2025.
5. T.W. Łękawski, *Tam idziemy, gdzie nas nie ma...*, Publikacja Komisji Historycznej Ruchu Studenckiego, zeszyt 21, Oficyna Wydawnicza Rewasz, Warszawa 2024.
6. M. Orłowicz, *Moje wspomnienia turystyczne*, Ossolineum, Wrocław-Warszawa-Kraków 1970,
7. J. Szacki, *Historia Myśli Socjologicznej*, PWN, Warszawa 1981.
8. P. Sztompka, *Socjologia*, Wyd. Znak, Kraków 2003.

**Autor jest absolwentem socjologii UW, dr. nauk ekonomicznych SGH. Pracował zawodowo w Almaturze, PTTK i innych biurach podróży. Wykładowca akademicki przedmiotów turystycznych i ekonomicznych. W XXI w. pracował jako adiunkt w Instytucie Turystyki (Warszawa). Zamieścił szereg artykułów naukowych i popularno-naukowych w wydawnictwach cyklicznych i jednostkowych.**

---

co ważne od czasu powstania Towarzystwa Tatrzańskiego) oraz istotne dokonania jakie akademickie kluby turystyczne Krakowa i ich członkowie wnieśli do polskiej turystyki, a tym samym nauki i kultury.

<sup>10</sup> Był taki klub na Uniwersytecie Warszawskim, w latach 70., powołany przez studentów Wydziału Biologii, afiliowany przy RU ZSP/SZSP i Okręgu Warszawskim Ligi Ochrony Przyrody. Po ukończeniu kursu członkowie klubu mieli prawo wystawiać mandaty za naruszanie przepisów o terenach i obiektach chronionych.

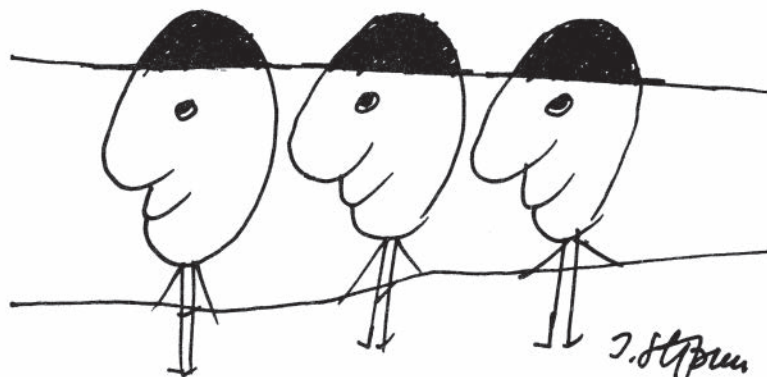


Jan STĘPIEŃ

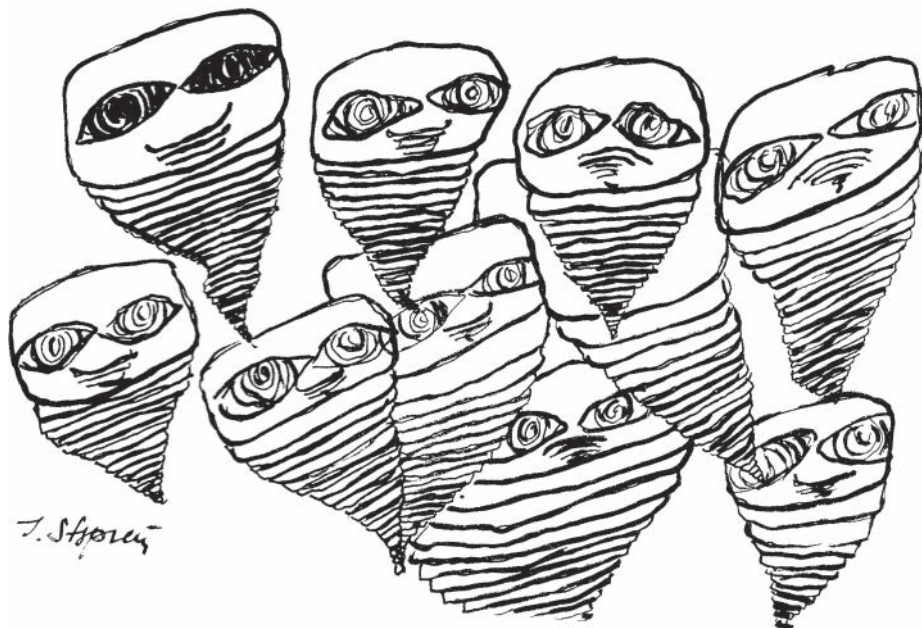
# Rysunki przypomniane

---

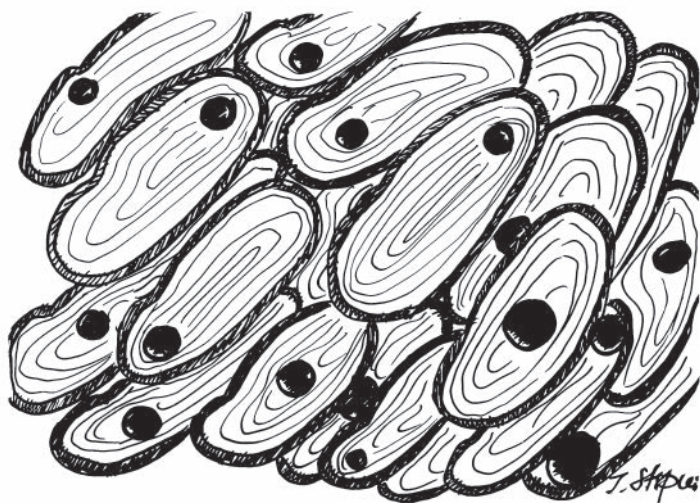
Z okazji dwusetnego numeru reprodukowujemy jedno z pierwszych grafik z łamów „Res Humana” autorstwa rysowników współpracujących z nami od ponad trzech dekad



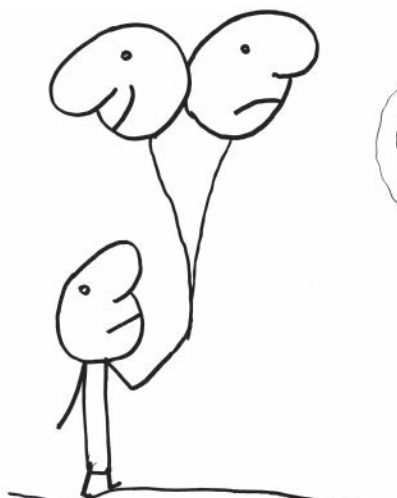
„Res Humana” nr 43(6/1999)



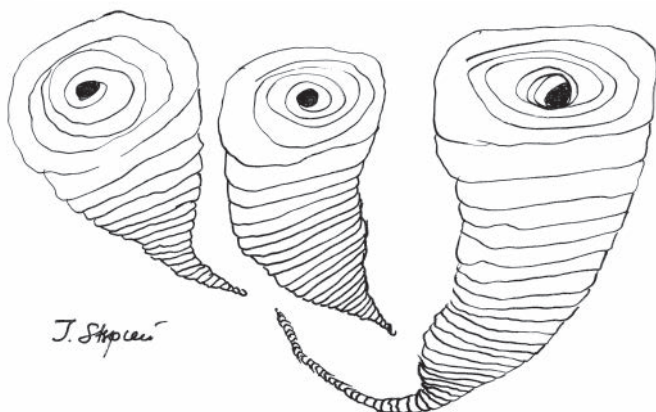
„Res Humana” nr 23(4/1996)



J. Stojan  
„Res Humana” nr 19(6/1995)

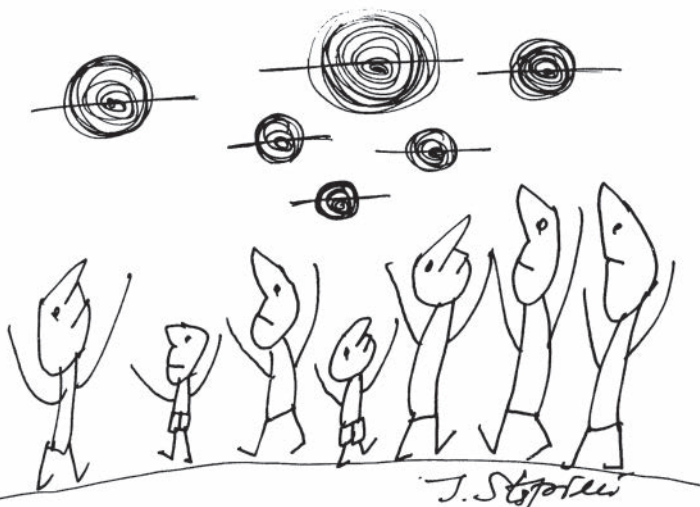


J. Stojan  
„Res Humana” nr 20(1/1996)



J. Stojan

„Res Humana” nr 21(2/1996)



„Res Humana” nr 20(1/1996)

J. Stojan

## Od katastrofizmu do *future-war fiction*



Zdzisław Aleksander RACZYŃSKI

Jedną z funkcji, jaką przypisuje się niekiedy literaturze, a która stała się nawet tematem specjalistycznych badań literaturoznawczych, jest jej zdolność do identyfikowania procesów i zdarzeń jeszcze niezaimplementowanych, lecz które mogą stać się w przyszłości częścią naszego doświadczenia, i do wysyłania swoistych sygnałów ostrzegawczych. Jeśli tak, to *fikcja o przyszłej wojnie*, nowy podgatunek *political fiction*, niesie nam wręcz zatrważające komunikaty. Lecz o zupełnie innym charakterze, niż wynika to wprost z opublikowanych tekstów.

„będzie wojna / a w tej wojnie / runą miasta / i powieje grozą” – wiersz czył w wierszu *Żal* Józef Czechowicz. Tomik *Nic więcej*, z którego pochodzi wiersz, ukazał się w 1932 roku, siedem lat przed śmiercią poety, który zginął w bombardowanym przez Niemców Lublinie.

W latach dwudziestych-trzydziestych ubiegłego wieku w poezji polskiej wyłonił się nurt katastrofizmu. Za jednego z najwybitniejszych twórców tego kierunku należałoby uznać, chociażby z racji późniejszej literackiej Nagrody Nobla, Czesława Miłosza. Filozoficzna ciemna refleksyjność, charakteryzująca poezję Miłosza czy wspomnianego wyżej Czechowicza, była też wyznacznikiem wierszy Jerzego Kamila Weintrauba czy Stanisława Witkiewicza. Wszyscy oni ostrzegali przed nadciągającą wojną, która w ich wizji przyniesie śmierć, zniszczenie, totalną destrukcję, upadek moralności i całej cywilizacji zachodniej. „Ciemność nadciąga i choć tak błękitnie / polegą najsamotniej waleczni młodzieńcy” – pisał w 1939 roku w *Dwóch elegiach* J. K. Weintraub. Apokaliptyczny profetyzm Weintrauba opowiadał o tym, co miało się zdarzyć kilka lat później, o plejadzie niezwykle utalentowanych poetów – Baczyńskim, Gajcym, Bojarskim, Trzebińskim, Stroińskim – dwudziestoletnich młodzieńcach, poległych w walce z najeźdźcą.

Przecucie wielkiego nieszczęścia, totalnej zagłady nie było w przededniu drugiej wojny światowej zjawiskiem wyłącznie w polskiej poezji. W literaturach właściwie wszystkich krajów europejskich zaznaczył swoją obecność nurt analogiczny do polskiego katastrofizmu. „Wszystko płonie, wszystko umiera, a niebo ciemnieje” – pisał o swoich wizjach F. G. Lorca rok przed tym, nim został rozstrzelany przez faszystów. Wtórował mu w wierszu *Hiszpania* brytyjsko-amerykański poeta W. H. Auden: „Miasta płoną, ludzie szaleją, ziemia jest pełna furii”. Nie-

miecki poeta Gottfried Benn wygłaszał ciemne proroctwo dla swego kraju i narodu: „Wszystko jest już martwe i zniszczone, a w ciemności czekamy na kolejne zgłady” (tom *Gesammelte Gedichte*).

Literackich źródeł katastrofizmu można doszukiwać się w ekspresjonizmie pierwszych dziesięcioleci XX wieku, z którym łączy go mroczna wizja rzeczywistości, przerysowana emocjonalność i środki wyrazu z gęstą, iście barokową mistyczną metaforą. Apokaliptyczne obrazy najbliższej przyszłości w twórczości katastrofistów wpływają jednak nie tyle z doświadczeń literackich autorów, ile z ich subiektywnej percepcji społecznych i politycznych realiów otaczającego świata. Narastające napięcia i sprzeczności społeczne, rodzące się i nabierające siły reżimy autorytarne w Europie z agresywnym niemieckim i włoskim faszyzmem, echa wojny domowej w Hiszpanii, militaryzacja świadomości – tworzyły klimat niepokoju i zagrożenia, który w odbiorze wrażliwości poetyckiej owocował zapowiedzią nieuchronnej katastrofy, jaka miała się ziścić w epoce pieców krematoryjnych.

Niespełna stulecie później świat stał się nieporównanie szybszy, bardziej wrzaskliwy i ekshibicjonistyczny, poezja zniknęła z pierwszych stron gazet, a refleksyjność i potrzeba nadania głębszego sensu wypowiedzi przestają być wyróżnikami czytanej literatury. Rzeczywistość polityczna i społeczna zaś mrocznieje i niepokoi, mnożą się zagrożenia, politycy – w kraju i na świecie – mówią znów, że żyjemy w „epoce przedwojennej”. Internet, nowy fenomen technologiczny XXI wieku, stał się *netversum*, cyberwszechświatem, w którym dominuje krótki i mocny przekaz (najczęściej obraz z zafałszowanym lub zmanipulowanym przesłaniem), a literatura, o poezji już nawet nie wspominając, egzystuje gdzieś na zadworkach nowej noosfery.

W takiej rzeczywistości kulturowej zbliżającego się do półmetka XXI stulecia, określanej niekiedy końcem ery Gutenberga, posługujący się słowem twórcy usiłują odzwierciedlić obawy, lęki i niepokoje współczesności, dostosowując *content* i jego formę do poziomu percepcji potencjalnego odbiorcy, żyjącego w pospiesznym, zunifikowanym i powierzchownie odbieranym świecie. We współczesnej literaturze dominującym gatunkiem stała się powieść, która inkorporowała inne formy literackie i wyrosła w monstrum-gatunek, ścierając granice między powieścią w klasycznym rozumieniu a wszystkimi pozostałymi odmianami epickimi. Praktycznie nieograniczona otwartość powieści na najróżniejszy rodzaj formy narracyjne uczyniła z tego gatunku dogodny dla autorów wehikuł przekazywania treści i komunikatów. Dotyczy to także w szczególności fikcji, która stara się opisać przyszłość. Zwłaszcza, że literatura światowa ma długie tradycje futurologiczne, od staroegipskiej *Przepowiedni Neferti* poczynając, poprzez utopie More'a czy Campanelli aż do fenomenu powieści *science fiction*, przeżywającej szczyt rozkwitu w XX wieku. Zasadne wydaje się twierdzenie, że literatura wawsze przejawiała aspiracje prekognicyjne, co odpowiada badawczej naturze człowieka, z zainteresowaniem, ale przede wszystkim z niepokojem zerkającego za węgiel jutra.

W publicystyce, a i w opracowaniach pretendujących do miana naukowości, możemy odnaleźć setki i tysiące artykułów opisujących, jak fikcja literacka celnie przewidziała przyszłość. Profetyczne zdolności literatów dotyczyć miały głównie rozwiązań technicznych i naukowych (tutaj St. Lem i J. Verne dzierżą palmę rozpoznawalności), ale także organizacji państwa i społeczeństwa (w tym obszarze najczęściej odwołuje się do A. Huxley'a i G. Orwella,

pomijając prekursora tego rodzaju dystopii Jewgienija Zamiatina). Nieporównanie mniej krytyków dokonuje zestawień nietrafionych lub zupełnie błędnych przewidywań, przedstawionych w powieściach *futures fiction* – o czym nasza selektywna pamięć zapomina.

Oczywiście, literatura nie jest w stanie przewidzieć przyszłości. Przyszłość jest nieprzewidywalna, a już zwłaszcza w obszarze relacji politycznych, społecznych i międzynarodowych. Jak podkreśla wybitny polski politolog Roman Kuźniar, jakiegokolwiek pretensje do przepowiadania przyszłości są spekulacją i szarlatanerią.

Niemniej, należy przyznać, że literatura posiada tę właściwość, że działając na zasadzie soczewki skupiającej odbierane bodźce, ogniskuje je w sygnały ostrzegawcze, wskazując słabo zdefiniowane obszary napięć społecznych i uprzedzając przed zagrożeniami. Nie są to precyzyjne prognozy przyszłych wydarzeń, lecz ogólne, symboliczne lub metaforyczne, rozmyte kształty potencjalnie czających się w przyszłości nieszczęść.

Krytycy literaccy anglosaskiego obszaru kulturowego najczęściej przywołują na potwierdzenie tej tezy powieść *Spisek przeciwko Ameryce* Philipa Rotha (2004), w której doszukują się proroczego ostrzeżenia przed nadejściem autorytarneho populizmu i polityków w rodzaju Donalda Trumpa. Wydaje się, że przypisywanie książce Rotha wyjątkowych cech profetycznych wynika bardziej z uprzywilejowanej pozycji literatury pisanej w języku angielskim niż z zalet samej powieści (w dodatku z gatunku nie *future fiction*, lecz historii alternatywnej), w sumie dość przeciętnej – zwłaszcza na tle literatury europejskiej. Wystarczy wspomnieć *Kongres futurologiczny* z 1971 roku, w której to powieści S. Lem z półwiecznym wyprzedzeniem anonsował manipulacje społeczeństwem przy użyciu różnych technik, masowe dezinformowanie i kreowanie fikcyjnej rzeczywistości przez rząd i media, czy powieść *My* (z 1921 r.) wspomnianego Jewgienija Zamiatina, który trzy dziesięciolecia przed Orwellem opisał oparty na totalnej inwigilacji cyfrowej mechanizm dyktatury, kult wodza i metody uniformizacji społeczeństwa. Lub też niepokojące wizje współczesnego chińskiego pisarza Cixin Liu w jego rewelacyjnej powieści *Problem trzech ciał*.

Jedną z najbardziej zauważalnych tendencji we współcześnie tworzonej *fikcji o przyszłości* jest jej dystopijny charakter. O ile w prozie tego gatunku powstającej we wcześniejszych epokach, a zwłaszcza *science fiction* z XIX i XX wieku, przeważał oświeceniowy optymizm, wiara w postęp naukowy i techniczny oraz szczęśliwą przyszłość ludzkości (Edward Bellamy, Jules Verne, Isaak Asimov, Arthur C. Clarke, Ursula Le Guin), *future fiction* XXI wieku przepełniają posępne wizje już to świata po apokalipsie (przykładowo: *Droga* Cormaca McCarthy'ego, *Nakręcona dziewczyna* Paolo Bacigalupi'ego, *Przejście* Justina Cronina), już to społeczeństwa zdegenerowanego, zuniformizowanego i zniewolonego (*Odprawa* Ling Ma, *Jednostka* Ninni Holmqvist, *Tłuste lata* Chan Ko-nhung). Punktem odniesienia dla współczesnych dystopii i wspólnym elementem ich fabuły pozostaje polityka – zarządzanie społeczeństwem, funkcjonowanie państwa, stosunki międzynarodowe – co upoważnia do postawienia tezy o syntezie podgatunków w *future political fiction*, *fikcji o przyszłości politycznej*.

Synkretyzm gatunkowy jawi się jako jeden z głównych wyróżników współczesnej powieści, znoszącej wszelkie granice między rodzajami prozy, a nawet – w pewnym sensie, jako przeciwieństwo powieści klasycznej, szablonowej, z liniową narracją – jako wyznacznik jakości literackiej utworu. Jeśli jedną stroną poszukiwania nowych form powieści jest łączenie gatunków, to drugą, będącą logicznym tego następstwem, jest powstawanie coraz to nowych podgatunków. Podejmowane przez teoretyków literatury próby klasyfikacji gatunków powieści raz, że pozbawione sensu i znaczenia (bo w każdym obszarze językowym występuje różna kategoryzacja), to można je co najwyżej nazwać publicystyką krytycznoliteracką, ponieważ każda powieść mająca pewne ambicje nowatorskie i literackie tworzy właściwie nowy podgatunek. Jak, przykładowo, zakwalifikować *Atlas chmur* Davida Mitchella, będącą jednocześnie powieścią historyczną, gotycką, epicką, science-fiction i metafikcją? Czy utwory Johna Le Carré to powieści szpiegowskie czy psychologiczne?

Z połączenia powieści historycznych, historii alternatywnej, thrillera, powieści *faction* (fact + fiction), powieści politycznej, reportażu i publicystyki zaczęły w ostatnich kilkunastu latach coraz liczniej powstawać w języku polskim powieści (już wcześniej bardzo popularne w świecie angloskim) fikcji o przyszłych wojnach, *future-war fiction*.

O ile fikcja wojenna (*war fiction*) jest znana w formie eposu – przykładowo, *Mahabharata* czy *Iliada* – od zarania literatury (gdyż konflikty zbrojne tworzą, niestety, nieodłączną składową naszej historii), a po ukształtowaniu się powieści jako gatunku przyniosła wiele światowych arcydzieł, to fikcja o przyszłych wojnach pojawiła się stosunkowo późno. Za pierwszą opowieść tej odmiany podgatunku można uznać nowelę George'a Chesneya *Bitwa pod Dorking* z 1871 r., której autor, wówczas pułkownik armii brytyjskiej, zaniepokojony rezultatami wojny prusko-francuskiej opisywał przyszłą inwazję Niemiec (ówczesna poprawność polityczna kazała Chesney'owi nazywać najeźdźców „Wrogiem” albo „Obcą potęgą”) na Wielką Brytanię. W noweli *Bitwa pod Dorking* Niemcy pokonują i okupują najpierw Francję, potem rozbijają flotę brytyjską, lądują na Wyspach i podbijają je, a Imperium Brytyjskie rozpada się.

W noweli Chesneya uwagę przyciąga nie tyle spora zbieżność fikcji z wydarzeniami, które nastąpiły siedem dziesięcioleci później (okupacja Francji przez Niemcy, próba inwazji niemieckiej na Wyspy, rozpad Imperium Brytyjskiego), ile dwie cechy, które odtąd będą charakteryzować tę odmianę literatury: dążenie autorów do uprzedzenia odbiorców o zagrożeniach (stąd niekiedy inne jej określenie: *threat fiction*) oraz, powodowany chęcią dotarcia do masowego odbiorcy, popularny, wciągający styl i, w efekcie, nieszczęśliwie wysoka jakość literacka. Z czasem, zwłaszcza w miarę rozwoju filmu, dla którego taka proza będzie stanowiła scenariusz wyjściowy, pojawi się trzecia cecha: komercyjność (a stąd: szablonowość).

Na początku XX wieku *powieść o przyszłej wojnie* wzbogaciła się o kolejną swoją odmianę – z dopełnieniem „technologiczna”, która okaże się w przyszłości bardzo wydajna. Spod pióra wybitnego fantasty i wizjonera Herberta Wellsa wyszły dwie powieści: *Pancernik na lądzie* (1903), a pięć lat później *Wojna w przestworzach*. Ta druga opisuje wojnę totalną, w której główną siłą jest lotnictwo i artyleria, a jej celem – doszczętne zniszczenie centrów prze-

mysłowych i miast. Niespełna cztery dziesięciolecia później przerażające wizje H. G. Wellsa staną się realnością Europy. Od tego czasu podgatunek *future war fiction* wzbogaci się o tysiące publikacji i dziesiątki różnych odmian, którym krytycy nadają najróżniejsze określenia: *speculative war fiction*, *near-future war thriller*, *near-future war novel*, *invasion fiction*, *future-war fiction*, *military fiction*, *war technothriller*... Z powodów, o których wspominałem wyżej (logika formalna, różnorodność metodologii w poszczególnych obszarach językowych i kulturowych, wątpliwości co do tego, czym jest teoria literatury), próby ujednoczenia topologicznego i terminologicznego skazane są na niepowodzenie. Najistotniejsze wydaje się uznanie, że do podgatunku fikcji o przyszłych wojnach włączamy te powieści, które traktują o przyszłych, wymyślonych wojnach, lecz które mocno bazują na realnych współczesnych procesach – politycznych, technologicznych, geopolitycznych i społecznych, co odróżnia je od różnych odmian *science fiction*, których akcja toczy się w kosmosie, w czasie niezwiązanym z teraźniejszością.

Polscy autorzy sięgnęli po *future-war fiction* jeszcze później. Powieści Jalu Kurka *S.O.S.* (1927) czy Antoniego Słonimskiego *Dwa końce świata* (1937), opisujące wizje zagłady, należy raczej zakwalifikować do nurtu katastrofizmu. Późniejsze, po II wojnie światowej, powieści A. Ziemięckiego (*Schron na Placu Zamkowym*, 1947), J. Zajdela (*Paradyzja*, 1984), M. Baranieckiego (*Głowa Kasandry*, 1985) także stanowią bardziej odmianę *post-apo fiction* (powieści postapokaliptycznych) niżli *powieści o przyszłej wojnie*. Dopiero w naszym stuleciu ukazują się powieści przedstawiające wizje przyszłej, nieodległej wojny, osadzone w politycznych i technicznych realiach współczesnej Polski. Bezspornie miały na to wpływ wydarzenia w sąsiedztwie – okupacja Krymu i wojna w Donbasie 2014 roku, wcześniejsze wojny w Gruzji i Czeczenii.

Jedną z takich powieści jest *Inwazja* Wojtka Miłoszewskiego z 2017 r., opisująca agresję Rosji na Polskę, a dalsze tomy trylogii (*Farba*, 2018 i *Kontra*, 2019) – walkę z okupantem i skuteczne wyparcie wroga. Powieść, ewidentnie inspirowana *Czerwonym sztormem* Toma Clancy'ego z 1983 r. o ataku ZSRR na Zachodnią Europę, jakkolwiek nie wyjaśnia politycznych przyczyn i okoliczności agresji i nie wnosi też nic do wojskowo-technicznej wiedzy czytelnika, to jest napisana dość sprawnie i sugestywnie ukazuje dramat cywilów i żołnierzy przez pryzmat losów trojga głównych bohaterów – porucznika Gurskiego, historyka Barańskiego oraz Danuty Wojnarowicz, córki biznesmena.

Podobna co do fabuły, i tak samo pesymistycznie oceniająca szanse Wojska Polskiego w starciu z armią Rosji, jest powieść Marka M. Meissnera *Czas straceńców*, 2018, pisana z perspektywy żołnierza obrony terytorialnej, co – jak rozumiem, w zamierzeniu autora – miało służyć ukazaniu dramatu wojny oczami nie polityków i generałów, lecz „prostego ludu”. Mniej sprawny literacko niż Miłoszewski, M. M. Meissner jest równie nieporadny w kwestiach politycznych, wojskowości i techniki, chociaż stara się wyliczaniem sprzętu wojskowego dowieść dobrego researchu.

Dynamika zmian współczesnego pola walki i doskonalenia środków technicznych jest dzisiaj tak duża, co pokazuje przebieg wojny w Ukra-

inie, że nie tylko pisarze będący laikami w dziedzinie wojskowości mają problem z dotrzymaniem kroku rozwojowi techniki i taktyki. W 2016 roku brytyjski generał Richard Shirreff, były zastępca naczelnego dowódcy sił NATO w Europie, wydał książkę 2017. *Wojna z Rosją*, która jest powieścią, klasyczną *future-war fiction*, lecz realistycznie ukazuje dylematy Zachodu wobec ataku (jak w powieści) Rosji na kraje bałtyckie, gdyż Moskwa szantażem jądrowym powstrzymuje NATO przed przyjsiem z pomocą napadniętym państwom. Powieść R. Shirreffa z głęboką znajomością rzeczy pokazuje polityczne i dyplomatyczne niuanse funkcjonowania NATO i w tym aspekcie jest to literatura fascynująca. Lecz nawet generał, jak się okazuje, zupełnie nie potrafił przewidzieć tego, co dzieje się na froncie ukraińskim: dominacja dronów, masowe użycie mądrej amunicji, ataki niewielkich, kilkusobowych grup szturmowych jako podstawa taktyki itd.

Wśród polskich pisarzy *fikcji o przyszłej wojnie* wyróżnia się Marcin Ogdowski, któremu z racji przeszłości dziennikarza i korespondenta wojennego udało się uniknąć w swoich powieściach [(*Dez*)*Informacja*, 2018, *Międzyrzecze. Cena przetrwania*, 2019] poważniejszych błędów z dziedziny wojskowości, chociaż już nie naiwności (czy pewnej powierzchowności) politycznej. Zwłaszcza *Międzyrzecze* ma dobrze skonstruowaną, wartką fabułę i tak lubiane przez masowego czytelnika optymistyczne zakończenie.

Niektórzy pisarze wręcz wyspecjalizowali się w literaturze tej odmiany *war fiction*, jak przykładowo autor ukrywający się starannie za pseudonimem Vladimir Wolff. *Stalowa kurtyna*, wydana w 2010 r. o ataku sił białoruskich na Polskę, jest jedną z pierwszych tego rodzaju publikacji. Od tego czasu Wolff opublikował wiele książek, w których autor mniej dba o jakiegokolwiek realia, bardziej o rozrywkę i tempo akcji. Pseudonim twórczy, co nietrudno się domyślić, autor cyklu *Stalowa kurtyna* zapożyczył od francuskiego pisarza powieści szpiegowskich Vladimira Volkoffa. Tyle, że zmarły przed 20 latami Vladimir Volkoff był absolwentem Sorbony, profesorem uniwersytetu w Liège, oficerem wywiadu francuskiego i, także jako etniczny Rosjanin, głębokim znawcą Rosji. Polski Wolff tych wszystkich kwalifikacji nie ma i to, niestety, w jego powieściach odczuwa się już na pierwszej stronie.

Lektura kilkudziesięciu polskich powieści podgatunku *fikcji o przyszłej wojnie* upoważnia do konkluzji, że – inaczej niż przykładowo w anglosaskiej tradycji literackiej – odmiana ta nie osiągnęła w naszym kraju ani porównywalnej popularności, ani jakości literackiej. O ile w Wielkiej Brytanii czy USA do pisania powieści *future-war fiction* zabierają się profesjonaliści – byli wyżsi oficerowie czy uznani eksperci (jak chociażby autorzy wysoko ocenianej, także za walory literackie, niedawno wydanej *Ghost Fleet*, Peter Singer i August Cole) lub przynajmniej teksty są starannie konsultowane przez ekspertów z dziedziny wojskowości, dyplomacji i polityki, powieści w Polsce są najczęściej dziełem dziennikarzy nieposiadających specjalistycznego wykształcenia lub amatorów przekonanych o swoim nietuzinkowym talencie. Stąd większość polskich powieści podgatunku, mimo że najczęściej odwołują się do realiów (prawdziwych wydarzeń, rzeczywistych nazwisk), nie wnosi wiedzy pozaartystycznej, a niekiedy wręcz dezinformuje, podczas gdy odmiana ta wymaga szczególnej znajomości realiów pomnożonych przez kreatywną wyobraźnię. Polskie powieści *future-war fiction* nie sposób uznać

więc za predykatywne w zakresie techniki, wojskowości, taktyki czy generalnie – militariów. Pod względem literackim nie ma wśród nich jakości porównywalnej, przykładowo, z twórczością Jacka Dukaja, piszącego pokrewne odmiany powieści, czy autorami anglojęzycznymi. Literacki wytwór *future-war fiction* z Polski z reguły jest szablonowy, pisany płaską liniową narracją, dość ubogim językiem i, nierzadko, z błędami rzeczowymi i językowymi.

Poza wspomnianą *Stalową kurtyną* V. Wolffa, w której najeżdźcą była armia białoruska, wszystkie pozostałe powieści, po które sięgnąłem, opisują agresję Rosji. Różnica między poszczególnymi utworami polega na tym, że w jednych Rosjanie napadają bezpośrednio na Polskę, w innych najpierw atakują kraje bałtyckie, np. Litwę, a potem przesmyk suwalski w Polsce (autor nie wyjaśnia sensu ataku na przesmyk, skoro kontrola nad Litwą pozwała Federacji na dostęp do obwodu królewieckiego). Większość amerykańskich powieści o przyszłej wojnie (w tym wskazana wyżej *Ghost Fleet*) ostrzega raczej o konflikcie zbrojnym między USA a Chinami.

Często występującymi elementami polskich powieści podgatunku są, obok zawsze obecnego bohaterstwa żołnierzy Wojska Polskiego, niewiara we wsparcie sojuszników z NATO (z reguły z pomocą przychodzą tylko Amerykanie), słabość najnowszego uzbrojenia rodzimych sił zbrojnych, ostra krytyka klasy politycznej. Polska powieść o przyszłej wojnie zawiera w sobie więc nie tyle ostrzeżenie przed groźbą, zawsze jednoznacznie zidentyfikowaną, nie tyle ilustruje nastroje społeczne, ile odzwierciedla komunikaty polityków w mediach, szum social mediów i polityczne sympatie autorów. W takim ujęciu polska *future-war fiction* tak naprawdę nie pełni roli „wczesnego wykrywacza kryzysów”, lecz – zrodzona z fikcji medialno-politycznej – staje się elementem propagandy sterowanym pośrednio interesami polityków i algorytmami social mediów. ■

# O Hansie Hellmucie Kirście



Karol CZEJAREK

Zajmuję się Kirstem już od ponad 50 lat. Napisałem o nim książkę pt. *Nazizm, wojna i III Rzesza w powieściach Hansa Hellmuta Kirsta* (wyd. Atut, Wrocław 2003). Przełożyłem też kilka jego opowieści, a przede wszystkim wsparłem Wydawnictwo Interart w wydaniu w latach 1998–2005 *Dzieł zebranych* H.H. Kirsta, dokonując wyboru ich tytułów. Ten niezwykły i popularny na całym świecie autor wielu poczytnych książek w dalszym ciągu pozostaje w centrum mojego zainteresowania. Wciąż intryguje mnie pytanie, skąd np. wiedział o sprawach ściśle tajnych, o których pisał, kiedy archiwa nazistowskie zaraz po wojnie nie były dostępne?!

Dla mnie Kirst jest autorem, który jako jedyny z niemieckich powojennych pisarzy przyznawał się do swojej nazistowskiej przeszłości i osobliwej fascynacji Hitlerem (gdy ten sprawował władzę). I napisał chyba wszystko o jego zbrodniach i hitlerowskich Niemczech. W tym także o tym, jak rozdziła się w III Rzeszy przemoc i zbrodnia, jak naziści dochodzili i umacniali swoją władzę, chcąc zawładnąć światem.

Opisał zbrodnie dokonane także w własnym narodzie, ukazując mechanizm bezwzględnie dławienia wszelkich oznak niezadowolenia i oporu. Jednak przede wszystkim opisał zbrodnie, jakich dokonano na narodzie żydowskim, polskim, rosyjskim i na każdym innym, który stawał nazistom na drodze w osiągnięciu celu, jakim miała być *1000-letnia Rzesza*.

Kirst też jako jedyny pisarz niemiecki pokazał (m.in. w powieści *Mane, tekel '39*) szczególną nienawiść nazistowskich Niemców do Polaków i... Polski jako państwa. Opisał wydarzenia, które dały początek drugiej wojnie światowej, przynosząc Polsce okupacyjną gehennę, a w konsekwencji kolejną utratę niepodległości. Według nazistów Polski już nigdy miało nie być na mapach Europy, a z Warszawy (po zdławieniu powstania warszawskiego) miała pozostać tylko *Kupa kamieni*. Przy okazji Kirst ukazał, jak nazistowskie Niemcy zamordowały w Warszawie Getto, a potem zaciekle, mimo że wojna była już dla nich przegrana, zwalczali Powstanie Warszawskie (dzięki temu uświadomił wielu Niemcom, że w Warszawie były dwa powstania).

Mimo początkowych perturbacji z cenzurą, Kirst już od lat pięćdziesiątych XX wieku doczekał się w Polsce wielu edycji – przede wszystkim wydania (i to w dużym nakładzie) wspomnianych wyżej *Dzieł zebranych*, ale też innych wydawców, jak m.in. Świat książki/Libros, Bellona (dawny MON) czy Instytut Wydawniczy Erica.

Powieści Kirsta w moim tłumaczeniu to: *08/15 w partii*, *08/15 dzisiaj*, które – razem z *08/15 W koszarach*, *Na wojnie* i *Walczy do końca* – tworzą jego słynny pięcioksiążę o drugiej wojnie światowej pt. *08/15!*

Przełożyłem też *Noc długich noży*, *Noc generałów*, *Rok 1945* (podzielony przeze mnie na 2 części: *Chaos upadku* i *Ratuj się kto może*) oraz – choć to typowy kryminał (których zresztą napisał kilkanaście) *Rozwiedzeni przez śmierć*, jak i jego opowieść autobiograficzną (notabene bardzo ciekawą i godną przeczytania) pt. *Pies i jego Pan*. Warto też sięgnąć po jego książki z tzw. cyklu mazurskiego, jak m.in. *Kamraci*, *Życie toczy się dalej*, *Bóg śpi na Mazurach*.

Ale szczególnie z dzieł zebranych Kirsta polecam: *Noc długich noży*, *Noc generałów*, *Fabrykę oficerów*, *Rok 1945 – koniec* i jego – wspomnianą już – *wojnę z Polską*, która ma tytuł: *Mane, tekel '39*, a z cyklu *08/15*, przede wszystkim jego I część – *08/15 w partii*.

A propos *08/15*, zapytano mnie kiedyś, co oznacza ta liczba? Nic nie oznacza, choć weszła do potocznego słownictwa języka niemieckiego. Może symbolizować wymyślony przez autora numer nieistniejącej jednostki wojskowej, numer broni, w każdym razie nic szczególnego.

Dlaczego w ogóle zająłem się tym pisarzem? Zainteresowała mnie przede wszystkim jego faszystowsko-nazistowsko-wojenna (a tak naprawdę antynazistowska i antywojenna) treść wielu jego powieści, ale też zagadnienie: jak w Niemczech doszło do wszechwładnego panowania i poparcia tej strasznej ideologii, jaką okazał się niemiecki nazizm?

Zaciekawił mnie również sposób przedstawienia przez niego II wojny światowej (wywołanej – co autor jednoznacznie potwierdził – przez III Rzeszę napadem na Polskę w 1939 roku), ale też sposób prezentowana przez tego autora tematyki społeczno-politycznej lat trzydziestych i czterdziestych XX wieku – aż do okresu powojennego, czyli lat 1945–1948 (np. w książkach: *08/15 dzisiaj* i *Rozwiedzeni przez śmierć*), czyli do powstania po wojnie dwu państw niemieckich: NRF (Niemieckiej Republiki Federalnej) i NRD (Niemieckiej Republiki Demokratycznej).

Oceniając twórczość tego pisarza, warto podkreślić to, że większość swoich powieści oparł na faktach i dokumentach, które wsparł własnymi spostrzeżeniami i przeżyciami. Bowiern brał udział w kampanii wrześniowej Wehrmachtu przeciwko Polsce, był na froncie rosyjskim, a wcześniej na froncie zachodnim, m.in. we Francji. Pisarz awansował od szeregowego do pułkownika Wehrmachtu, kierując pod koniec wojny Wojskową Szkołą Obrony Przeciwlotniczej. Znał się więc, jak mało kto (bo z autopsji), na wojsku i stosunkach panujących we władzach III Rzeszy. Jego źródłem wiedzy jest... *Mein Kampf* Hitlera (którego bardzo często cytuje w swoich powieściach), szczególnie w powieści *Noc długich noży* i I części cyklu *08/15 w partii*, podając nawet stronę i inne dane bibliograficzne dotyczące wydania tej straszliwej książki.

Kirst był jednocześnie świetnym stylistą i doskonałym narratorem, choć narracja jego dotyczy rzeczy strasznych, śmierci ludzi w obozach, nędzy i najokrutniejszych zbrodni dokonywanych przez nazistów.

Kirst urodził się 5 grudnia 1914 r. (jeśli wierzyć jego oficjalnym dokumentom), a zmarł 23 lutego 1989 r. w Bremie. Na świat przyszedł w dzisiejszej Ostródzie (Osterode); choć nigdy nie spotkałem ludzi pamiętających go osobiście, ani nikogo z jego rodziny. Zaczął pisać mając już ponad 30 lat, czyli jako dojrzały człowiek (i co ważne)... po osobistych przeżyciach wojennych, ale mimo światowej popularności Kirst w Niemczech nie jest pisarzem szczególnie znanym (ani upowszechnianym, można się tylko domyślać, dlaczego). A do tego charakteryzowany jest w encyklopediach i leksykonach niemieckich jako pisarz zaliczany do gatunku literatury rozrywkowej, który pisał książki sensacyjne o wojnie. A w wielu encyklopediach niemieckich w ogóle nie ma o nim żadnej informacji! Tymczasem, jest to pisarz, który rozebrał Niemców do naga, ukazując swoim czytelnikom, na czym polegają rządy i skutki totalitarnej władzy, jak doszło do rozpętania wojny światowej i zbrodni dokonywanych w imię mitycznych zamierzeń, jakimi było dążenie nazistów do tysiącletniej Rzeszy, a nawet... *wyhodowania* w tym celu rasy germańskich panów.

Jego proza przestrzega, aby wszystko to, co było, już nigdy więcej się nie powtórzyło.

Kirst nie usprawiedliwia siebie, ale jego twórczość ukazuje Niemcom (i nie tylko Niemcom), jak w wyniku megalomańskich zapędów doszło do katastrofy, która zakończyła się bezwarunkową kapitulacją jego narodu. I można by dodać – niewiele się pod tym względem zmieniło. Mam na myśli wojnę w Ukrainie czy krwawe wydarzenia na Bliskim Wschodzie; podobnych przykładów nie będę mnożył, a więc nie wszystko zakończyło się z chwilą wykonania wyroków po procesie norymberskim.

Po wojnie w 1945 r. Kirst przez ponad rok przebywał w amerykańskim obozie jenieckim (ponieważ był oficerem Wehrmachtu). W końcu jednak Amerykanie go wypuścili (niczego mu nie udowodniono), ale on – chyba dopiero wtedy zrozumiał, już po przesłuchaniach w obozie (opisanych potem w *Nocy długich noży*), co się stało – postanowił swoje przeżycia nazistowsko-wojenne opisać. Jak naród niemiecki (oczywiście z wyjątkami) dał się omamić Hitlerowi! Jak naziści, wywołując II wojnę światową, chcieli sobie podporządkować świat!

Kiedy wyszedł z obozu, przez wiele miesięcy nie mógł dostać pracy; sprzątał ulice, zatrudnił się jako ogrodnik, aż wreszcie został podrzędnym urzędnikiem w gminie. Pewnego dnia, zupełnie przypadkowo spotkał kolegę z lat szkolnych, dzięki któremu trafił do jednej z popołudniowych gazet w Monachium i... zaczął pisać. Początkowo były to relacje z wypadków, potem recenzje filmowe. Aż pewnego dnia zgłasza swoje *o8/15 w koszarach* do konkursu literackiego i... odnosi sukces! Jest drukowany w odcinkach, choć pierwszą jego książką jest powieść pt. *Nazywaliśmy go Galgenstrick*, która ukazuje się na początku lat pięćdziesiątych XX wieku, ale wtedy została prawie niezauważona.

*o8/15 w koszarach* zostaje sfilmowane, potem także inne powieści (m.in. *Noc generałów*), które z humorem opowiadają o Wehrmachcie, o jego „dobrym” obliczu (w porównaniu z oddziałami SS), o opozycji i zamachu na Hitlera. Ale gdy Kirst zauważa, że jego popularność idzie w fałszywym kierunku, dopisuje do pierwotnych swoich „szwejkowskich” powieści *o8/15 (w koszarach, na wojnie i walczy do końca)* dwie najbardziej istotne dla całej jego twórczości książki: *o8/15 w partii* i *o8/15 dzisiaj*. Po nich pisze dalsze fantastyczne antynazistowskie i antywojenne pozycje, jak m.in. *Noc długich noży*, *Noc generałów*, *Fabrykę oficerów*, *Godzinę grabarzy*, *Przeznaczenie*, *Niesamowity sługa boży* i *Rok 1945 – koniec*.

Łącznie Kirst napisał i wydał ponad 50 książek. Pisał też sztuki teatralne i pozostawił po sobie bardzo bogatą publicystykę. Filmów, nakręconych na podstawie jego powieści, nie akceptował. Prawdę mówiąc są szmirowate, gloryfikujące wojnę, trochę przypominające amerykańskie filmy o kowbojach i dzikim zachodzie. Lecz prawdziwy Kirst – powtórzę – jest zaprzeczeniem takiego rozumienia jego twórczości! On pisze świadomie (co potwierdza w kilku swoich wywiadach, choć nie miał ich wiele, zwłaszcza w Niemczech), aby to co było – nigdy się nie powtórzyło!

Zatem szkoda, że Kirst jest w Niemczech znany tylko pobieżnie. Ile razy chciałem kupić jakąś jego książkę, zawsze w odpowiedzi słyszałem: *vergriffen* (nakład) wyczerpany.

I już ostatnie zdanie, którym zakończę swój artykuł pisany m.in. dlatego, że ostatnio bardzo wiele się o Niemczech mówi w polskiej polityce: dzisiejsza RFN potrafiła oderwać się od przeszłości i wydaje się być wzorową demokracją, która wszelkimi dostępnymi środkami szuka porozumienia z Polską, pojednania i przebaczenia win; więc naszym obowiązkiem jest tym dążeniom nowych pokoleń Niemców wychodzić naprzeciw. Ale w tym dochodzeniu – jak ja je nazywam: „dążeniu do normalności” – nie wolno dorobku Kirsta wykreślać. Gdyż przyszłość polsko-niemiecka musi być budowana na prawdzie, a więc i na znajomości twórczości takich pisarzy, jak Hans Hellmut Kirst. ■

PS. Aktualnie w niedawno otwartym Muzeum Historii Polskiej w Warszawie trwa wystawa (którą warto odwiedzić) wybitnego niemieckiego artysty Gero Hellmutha. Jej tytuł brzmi: *Przeciw zapomnieniu*. Przesłanie tej bardzo ciekawej wystawy to trzy przenikające się sekwencje: „Wojna i cierpienie”, „Odbudowa i nadzieja” oraz „Pamięć”. Twórczość artysty jest jego komentarzem do tych sekwencji (wynikającym także z osobistych wojennych przeżyć), jest krzykiem i przestrożą, aby to, co było między Niemcami a Polakami, już nigdy się nie powtórzyło! jest symbolem wyciągniętej ręki w geście przyjaźni, jako etyczne wspólne zadanie pokonania zamkniętej już (jakby jej nie oceniać) historii.

Karol Czeżarek – autor książek, tłumacz literatury niemieckiej, członek Związku Literatów Polskich, b. prof. nadzw. Akademii Humanistycznej im. A. Gieysztoro i kierownik Zakładu Kultury Stosowanej w Instytucie Lingwistyki Stosowanej UW

# *Ministra, premiera i sekretara, czyli jeszcze parę refleksji o feminizacji języka polskiego*



Małgorzata B. JAKUBIAK

Wiadomo, jak skomplikowaną strukturę stanowi mowa ludzka – potwórzę za Witoldem Doroszewskim: „w języku wszystko łączy się i przeplata: frazeologia i składnia, stylistyka i słowotwórstwo, semantyka i historia wyrazów, fleksja i słowotwórstwo, fonetyka i pisownia”. Nie należy przy tym zapominać, że język nie jest czymś neutralnym, niesie ze sobą treści emocjonalne, uczucia i odczucia. Słowem można zranić i poniżyć; można też wnieść na piedestał. I wcale nie muszą to być słowa mocne, jednoznaczne. Niuanse decydują o tym, czy wypowiedź otacza aura lekceważenia, zbytnej poufałości, czy choćby tylko odcień niechęci, czy też jest ona podkreśleniem godności i szacunku.

A jednak zważywszy na próby obecnie dokonywanych *operacji słowotwórczych* może warto przypomnieć i jeszcze raz rozważyć pewne sprawy – z konieczności tylko podstawowe.

Najpierw musi zaistnieć jakieś zjawisko, aby mogli pojawić się badacze. I jak to w nauce – poznawanie idzie w parze z próbami systematyzacji różnych zjawisk, określania reguł i praw nimi rządzących. Najpierw zrodziła się mowa ludzka, a potem pojawili się językoznawcy i lingwiści. Nie było tak, że to oni ustalali wszelkie reguły gramatyczne. Tak mógł powstać tylko język sztuczny, np. esperanto, a i podczas jego tworzenia wykorzysty-

wane były wzorce języków naturalnych. Dlaczego warto sobie to uzmysłowić? Bo reguły językowe nie powstawały z niczego, a priori, lecz stanowiły zapisy istniejących już prawidłowości, tendencji, zaszczości historycznych, pewnych schematów – dominujących, które tworzyły z czasem podstawowe ramy, paradygmaty dalszego rozwoju słowotwórstwa i gramatyki. Nie można ich lekceważyć i tworzyć języka współczesnego w sposób całkowicie dowolny, jakby powstawał w próżni.

Nie powinno się też zapominać, że reguły te objęły zasadnicze, dominujące formy języka, nie objęły i nadal nie są w stanie objąć wszystkich i że jest ogromna liczba wyrażen *niesfornych*, które wszelkim ramom opierają się. Wszelkich wyjątków od zasad mamy niezliczoną ilość, oraz niezliczoną ilość takich, do których żadne zasady zdają się nie pasować. Jak ogromne bywają nieraz trudności z wysłowieniem się, z utworzeniem nazewnictwa – wiadomo. W poradniku językowym pt. *O kulturę słowa* Doroszewski omawia grubo ponad tysiąc przypadków językowych, dla których znalezienie właściwej formy gramatycznej jest albo bardzo trudne, albo wręcz niemożliwe. A w takich sytuacjach lepiej znaleźć inne słowo, określenie – bo język polski jest bogaty i ma wiele możliwości zastąpienia jednego zwrotu innym o tym samym znaczeniu – niż kaleczyć mowę polską *nowotworami językowymi*.

Bez wątpienia należy przestrzegać przyjętych reguł gramatycznych, szczególnie tych, które mają charakter bezwarunkowy – bo i takie są. Jednakże – jak pisze Doroszewski – same tylko „gotowe szablony i wzory są nawet jedną z najgorszych kłesk stylu. Trzeba wkładać osobisty trud w transponowanie wrażeń i myśli na słowa, w to, żeby w każdej sytuacji, jak mówi Norwid, «odpowiednie dać rzeczy – słowo» [...]. Granice zagadnień [językowych – M.B.J.] nie są ostre: kratkowanie języka na figury geometryczne jest objawem słabości myśli ludzkiej, uciekającej od dynamizmu i komplikacji procesów życia w świat nieruchomych idei”.

I jeszcze jedno zdanie, wypowiedziane przez tego wybitnego językoznawcę przy okazji omawiania pewnych słowotwórczych inicjatyw dotyczących nazw profesji: „Nie wiem, czy wprowadzenie form [tu wymienia niefortunne nowe nazwy kilku zawodów – M.B.J.] zostało postanowione przez jakąś instytucję, która opracowywała nazwy tych zawodów i branż (zamiast tych branż można by, nawiasem mówiąc, coś ładniejszego wymyślić), czy też te formy ukazują się przypadkowo pod wpływem jakichś przygodnych skojarzeń albo czyichś skłonności nowatorskich, które to skłonności nowatorskie w zakresie języka prowadzą bardzo często do manieri i naruszają ciągłość tradycji posługiwania się językiem jako narzędziem pracy w konkretnych dziedzinach życia”.

Podstawą jest nie tylko poprawność formalna, ale równie ważny jest dobór odpowiedniego do sytuacji stylu wypowiedzi, bo język potoczny (a w nim samym jest cała masa sytuacji, gdzie trzeba dobrze dobrać słowa) i urzędowy, wypowiedź dyplomatyczna, polityczna, oficjalna, uroczysta, formy mające *odcień godnościowy* itp. – różnią się od siebie w sposób istotny.

Trzeba też pogodzić zachowanie przyjętych reguł z uwzględnieniem faktu, że mowa musi ulegać zmianom, bo powstają nowe rzeczy, funkcje, czynności, zjawiska; musi to jednak przebiegać tak, aby *nowe* dało się wkomponować w całość systemu języka, nie naruszało nie tylko przyjętych

reguł, tradycji językowej, nie budziło konsternacji. To tylko elementarne, podstawowe zasady, o których powinno się pamiętać, aby „dając słowo rzeczy”, dać słowo odpowiednie.

### **Czy możemy mówić *ministra*?**

Słowo to, używane w niektórych mediach od jakiegoś czasu, może i w dobrych intencjach, budzi jednak konsternację, a nawet inne, silniejsze odczucia negatywne. Przede wszystkim razi całkowicie nieprawiidłowy sposób, w jaki utworzono rodzaj żeński od rzeczownika rodzaju męskiego. Zupełnie niemieszczący się w zasadach gramatyki języka polskiego. W tym przypadku akurat paradygmat odmiany jest prosty: Konstruktor – konstruktorka; dyrektor – dyrektorka, więc..... minister – ministerka?! Brzmi to jednak fatalnie.

Odnosi się wrażenie, że tworząc tę formę *ministra*, chciano uniknąć końcówki -ka, która to końcówka kojarzy się z formą zdrobniąłą. Tylko kojarzy się, bo nią nie jest, byłaby, gdyby powstała w wyniku przetworzenia już istniejącej formy żeńskiej np. dziewczyna w dziewczynkę, czy kula w kulkę.

A jednak... jest to jeden z tych przypadków, gdzie formalna zgodność, prawidłowość to jeszcze nie wszystko. Wyczuwa się wyraźnie, że do stanowiska tej rangi, określenie *ministerka* nie pasuje, jest niestosowne, wręcz deprecjonujące. I ma to swoje uzasadnienie.

W dziejach języka polskiego klasyfikacja różnego rodzaju końcówek od tego samego tematu była skomplikowana i powikłana pod względem znaczeniowym, prestiżowym. Powiedzenie profesor-owie, doktor-owie, senator-owie było określeniem podkreślającym godność, ale już np. aktorów nie wliczano do klasy tych, którym przysługuje w liczbie mnogiej końcówka -owie, stąd „aktorzy” (podaję to za W. Doroszewskim i St. Szoberem). Aczkolwiek w literaturze starszej spotyka się niekiedy określenie „aktorowie” – gdy chciano nadać prestiż ich sztuce. Ale już w zdrobieniu, np. profesorek, doktorek oznaczało bardzo pejoratywne, drwiące traktowanie osoby. Pisze Piotr Skarga w *Kazaniach*: „Czemu ci nasi doktorkowie nowi przymawiają nam, że się żegnamy” – a jest to forma ironiczna nadawana przez teologów katolickich teologom protestanckim – pisze Doroszewski w *O kulturę słowa*. Ministerka i doktorek to nie jest bynajmniej ten sam schemat (jedno powstało z utworzenia formy żeńskiej od męskiej, drugie jest zdrobieniem formy męskiej) – ale podobieństwo brzmienia i pewnie także historyczne uwarunkowania sprawiają, że obydwa te słowa mają brzmienie deprecjonujące.

Do dziś powiemy: ministrowie, profesorowie, ale szoferzy, dokerzy, trenerzy.

Trzeba też umieć przewidzieć konsekwencje spowodowane dalszym stosowaniem tego schematu słowotwórczego. Spróbujmy według zastosowanego schematu utworzyć formy żeńskie dla innych wysokiej rangi stanowisk zajmowanych przez kobiety; można przypuszczać, że będzie ich przybywać. I tak, skoro: *minister* – *ministra*, to *premier* – *premiera*, np. premiera Margaret Thatcher? Aż chce się zapytać, w jakim to będzie teatrze.

No i żeński odpowiednik Sekretarza Stanu, Sekretarza Generalnego, Sekretarza ONZ. Przychodzi na myśl tylko jedno: *Sekretara*. Zapytam za Szekspirem: Jak wam się podoba? A podobać nie może się, albowiem jest formą tzw. zgrubiałą rzeczownika, utworzoną na wzór: fujarka, fujareczka – (zdrobniale) i fujara – (zgrubiale) i brzmi po prostu obraźliwie (przykłady za St. Szoberem, *Gramatyka Języka Polskiego*).

Oczywiście, można z tego wybrnąć. Już obecnie słyszy się określenia typu: redaktor naczelna, detektyw finansowa, więc dlaczego nie powiedzieć: sekretarz generalna? Ano dlatego, że w języku polskim przymiotnik w sposób bezwarunkowy związany jest z rodzajem gramatycznym rzeczownika, czyli pod względem formalnym, gramatycznym, a nie *płciowym* w sensie biologicznym. A zatem, gramatyczny rodzaj żeński rzeczownika bezwarunkowo pociąga za sobą użycie gramatycznego rodzaju żeńskiego przymiotnika. I to samo z rzeczownikiem męskim, który potrzebuje przymiotnika męskiego. Jeżeli zaczniemy w ten sposób ignorować podstawowe formy gramatyczne, to niedługo trzeba będzie czekać do pojawienia się mowy w osławionym skądinąd stylu: ty być tłusty, ja ciebie kaj, kaj.

Chęć utworzenia form żeńskich dla wszystkich profesji wykonywanych przez kobiety napotka na duże trudności. Po pierwsze, język polski dosyć trudno odmienia się, a wyrazy pochodzenia obcego często sprawiają szczególną trudność, po drugie, jak już było wspomniane, mowa ludzka, przynajmniej w tej dalszej przeszłości, nie rozwijała się planowo i „nie stworzyła miejsca” dla przyszłych inicjatyw słowotwórczych, bynajmniej nie przez złośliwość poprzednich pokoleń. Toteż niektóre nazwy trudno jest przetworzyć tak, aby brzmiały znośnie, a w wielu przypadkach niektóre rzeczowniki żeńskie zostały już „zajęte” przez inne znaczenia. Na przykład pociąg prowadzi maszynista – a kobieta? Maszynistka? A przecież to już oznacza panią, która pisze na maszynie, a dzisiaj zapewne już na komputerze. Marynarz – a kobieta? Marynarka? Z krawatem czy bez?

I to daleko jeszcze nie wszystkie potencjalne problemy.

Język polski i tak ma już sporo różnych wyjątków od reguł, wyrażań, które nie „chcą” podporządkować się regułom. A nawet tylko w tym zakresie żeńskich nazw profesji, które już przyjęły się w języku polskim nie ma porządku, bo mówimy *krawcowa*, *królowa* w sensie zawodu i zajmowanego stanowiska, a przecież końcówki obydwu tych słów są końcówkami przeznaczonymi dla żon krawców i królów.

„Zagadnienie rodzaju gramatycznego rzeczowników jest zagadnieniem bardzo skomplikowanym. Między kategoriami formalnymi a znaczeniowymi nie ma harmonii”. – napisał Witold Doroszewski. Rodzaj gramatyczny rzeczownika a faktyczna, biologiczna płeć to dwie różne rzeczy. Najdobitniej to widać w przypadku rodzaju nijakiego, który do żadnej płci nie da się dopasować, a na dodatek zalicza się do niego zarówno krzesło, jak i dziecko. Używając jeszcze raz jako wsparcia słów Doroszewskiego: „Rodzaj gramatyczny rzeczowników polskich wiąże się w bardziej uchwytyny sposób z ich cechami formalnymi”. Przymiotnik określający rzeczownik męski (rzeczownik, a nie osobę w sensie jej płci) musi zgadzać się pod względem formalnym z tym rzeczownikiem, a nie z płcią osoby. Jeśli mówimy *redaktor*, to trzeba powiedzieć *naczelny*, tak jak *małe dziecko* – obojga płci – i *małe krzesło*.

Zresztą, przyjęta od dawna forma z użyciem słowa *pani*, na przykład Pani Iwona Kowalska, redaktor naczelny Tygodnika.... wystarczająco dobrze i z szacunkiem określa stanowisko i płeć osoby. Po co tworzyć dziwaczne formy gramatyczne i powodować zamęt, odwracający wręcz uwagę od spraw istotnych, merytorycznych.

Język polski jest niełatwy, skomplikowany. Nieregularne odmiany, czasem nie wiadomo, dlaczego mówi się tak, a nie inaczej. Dlaczego ta sól i ta zieleń, ale ten ból i ten stopień...? Sam Doroszewski przyznaje, że tego w żadną regułę gramatyczną ująć się nie daje. Tak się to uformowało w bardzo odległych epokach historycznych, „a to, co się krystalizuje na powierzchni języka, jest wypadkową wielu czynników, często nie zawsze widocznych i działających w ukryciu pod tą powierzchnią”. Usiłując zmienić teraz – wedle jakiejś idei – wszystkie historycznie mocno utrwalone formy gramatyczne, bo wydają się nielogiczne, bo koniecznie chcemy, żeby rodzaj gramatyczny zgadzał się z płcią – dojdziemy do absurdu.

Odnosnie do tendencji „feminizacji” języka polskiego, to trzeba wiedzieć, że nasza mowa jest i będzie wyjątkowo oporna pod tym względem z jeszcze jednego powodu (i nie ostatniego). Otóż język polski jest w zasadzie jedynym językiem, który wytworzył szczególną kategorię tzw. form męskoosobowych i przeciwstawia się ona wszystkim pozostałym formom razem wziętym: męskim nieosobowym, żeńskim osobowym i nieosobowym oraz nijakim. A to polega w praktyce na tym, że silni, mocni, słabi bądź wytrwali mogą być tylko mężczyźni, a wszystkie pozostałe istoty żywe i przedmioty razem wzięte: kobiety, konie, sznurki i dzieci, psy, koty, samochody i uszczelki etc., etc. są: silne, mocne, słabe, wytrwałe i trwałe. Po jednej stronie cały świat, po drugiej stronie sami mężczyźni. I znowu zacytuję Doroszewskiego, bo trudno lepiej niż on sformułować sensowny na ten temat komentarz: „Język polski podzielił cały świat na mężczyzn i nie-mężczyzn, wznosząc przez to dla mężczyzn pewnego rodzaju piedestał gramatyczny, o którym co prawda nie można nawet powiedzieć za poetą, że «żywemu na nic, tylko czoło zdobi», bo czoła nie zdobi, a stosunki gramatyczne komplikuje”.

Jeśli chciałoby się również kobiety postawić na owym „piedestale gramatycznym”, to nie wystarczy chyba wymyślić żeńskich nazw profesji przez nie uprawianych, ostatecznie są to jednak nazwy, chociaż męskie, to jednak ludzkie; gorsze wydaje się być stawianie kobiet w jednym rzędzie ze sznurkami, wiadrami i gwoździami. Wprawdzie tylko w rzędzie gramatycznym, lecz jeśli zaczniemy utożsamiać rodzaj gramatyczny z rodzajem biologicznym, to, na dobrą sprawę, w celu „feminizacji” języka polskiego, należałoby całą naszą mowę ojczystą przebudować, a najlepiej stworzyć od nowa.

Tylko po co? Jeszcze nigdy tak nie było, żeby za pomocą zmian gramatycznych, deklinacji i koniugacji, czynienia z rzeczowników męskich rzeczowniki żeńskie (czy odwrotnie) dokonać istotnych zmian rzeczywistości, w tym zmian społecznych. Aby polepszyć sytuację kobiet na rynku pracy, w tym w zakresie płac, możliwości kształcenia się etc., nie wystarczy zmienić rzeczowniki męskie na żeńskie, bo to nic dać nie może. Wprost przeciwnie, niektóre na siłę wymyślone nazwy zamiast

dodać prestiżu – deprecjonują – tak jak to określenie *doktorek* (a także doktorka – choć już tylko na zasadzie podobnego brzmienia i skojarzenia) pochodzące z kazania Piotra Skargi – zacytowanego powyżej.

Oczywiście, od dawna istnieją nazwy zawodów w formie rzeczowników żeńskiego rodzaju – zgodnie z płcią wykonujących je osób. Brzmi naturalnie, gdy w języku potocznym mówimy dentystka, lekarka, dziennikarka, fryzjerka, kelnerka, a nawet ostatecznie profesorka, psycholożka, socjolożka – chociaż to już nowsza generacja słów i nie każdemu się podoba. Ale... wprawdzie młodzież w szkole używa na co dzień określenia typu: profesorka od biologii zadała..., profesorka od polskiego powiedziała..., jednak oficjalnie, intuicyjnie zwróci się do owej „profesorki” per „pani profesor”. Zapowiadając wykład czy też wygłoszenie referatu na sympozjum naukowym, nikt nie powie, że referat wygłosi profesorka XYZ z Uniwersytetu czy Akademii Nauk. Na zjeździe lekarzy nie zapowiemy dentystki Kowalskiej, tylko lekarza stomatologii, panią taką a taką. I to jest właśnie ta „strona godnościowa” języka, o której pisał Witold Doroszewski, i nie tylko on, bo każdy intuicyjnie wyczuwa stosowność jakiejś formy (na razie wciąż panującej) i nie zastosuje zwrotu poufalego.

A tak w ramach eksperymentu, gdybyśmy przetłumaczyli tytuł starego, przedwojennego filmu pt. *Pani minister tańczy*, gdzie w podwójnej roli głównej wystąpiła Tola Mankiewiczówna, na „nową mowę”, czyli *Ministra tańczy* – to jaki to dałoby efekt?...

A przy okazji nasuwa się takie spostrzeżenie. Dąży się do „feminizacji gramatycznej” stanowisk i zawodów, a zarazem już dawno zrezygnowano z żeńskich końcówek nazwisk, określających bądź co bądź tożsamość osoby i jej płci, bo mało która kobieta przedstawi się jako -ówna, -owa, pozostając przy końcówce nazwiska w takiej wersji, jaką przysługuje jej ojcu czy mężowi.

Są w języku polskim słowa, przeważnie pochodzenia obcego, których w żaden sposób nie da się odmienić, np. statua. W żadnym razie nie można powiedzieć: na statule, bo wtedy w mianowniku musiałyby być: statuła (tak jak kapituła, infuła, safanduła). Wszystkie proponowane formy odmiany końcówki -ua, czyli statuy, statui, w liczbie mnogiej też „tych statui” etc., brzmią sztucznie i rażąco. Zamiast brnąć w kłopoty gramatyczne, niekiedy nie do rozstrzygnięcia, lepiej użyć nazwy polskiej: posąg, na pomniku. Tak radzi zrobić Witold Doroszewski. Statua, premier i minister to w rzeczywistości zupełnie inne obiekty, ale w językoznawstwie to tylko słowa, których polska gramatyka nie potrafi w pełni prawidłowo odmienić.

Tworzenie nowego słownictwa na zamówienie i na siłę może przynieść niefortunne i nieoczekiwane rezultaty, wręcz przeciwne zamierzeniom. Pamiętam czasy, choć byłam wtedy dzieckiem, jak przed wielu laty ogłoszono konkursy na zastąpienie nazw obcojęzycznych nazwami polskimi. Zapamiętałam kilka propozycji słów do zmiany nazwy: szlafrok, żyrandol, krawat. Zamiast szlafrocka zaproponowano nazwę „podomka” i chyba nawet przyjęło się to, może tylko na jakiś czas, bo dziś już chyba nie słychać tego określenia. Niestety, zamiast żyrandola zaproponowano „zwis sufitowy”, a zamiast krawata – „zwis męski”. Skręcała się ze śmiechu cała Polska.

W okresie międzywojennym (a może tuż powojennym) usiłowano zaś zmienić utrwaloną już dawno nazwę *witamina* (a wprowadził ją w 1912 roku polski chemik Kazimierz Funk, odkrywca pierwszej witaminy) – rodzaj gra-

matyczny żeński – na słowo *witamin* – rodzaju męskiego. Sprawa uczy-nienia witaminy mężczyzną – w świecie gramatyki tylko – przygasa, jako pozbawiona wszelkiego sensu i znaczenia.

Nawiasem mówiąc, gramatyka nasza (rodzaju żeńskiego) jest na swój sposób przewrotna. Raz mężczyzn wywyższa, a innym razem deprecjo-nuje; niektóre nazwy mężczyzn np. żołnierze, rycerze, blacharze i snyce-rze, mają taką samą formę i odmianę jak kosze, kalosze, grosze, talerze i moździerz itp. itd. Nazwy wielu zawodów faktycznie ukształtowały się w formie gramatycznej męskiej, ale za to, nieomal wszystkie nauki, o nazwach pochodzenia obcego, w polskiej wersji mają żeńskie formy gramatyczne: filozofia, matematyka, socjologia, psychologia, inżynieria, geografia, zoologia, stomatologia, medycyna, chemia, fizyka, historia; no i prawo (*lex, legis*) – jakby wyjęte tutaj spod jednego prawa i przypisane do rodzaju nijakiego (a w języku łacińskim jest rodzaju żeńskiego).

Nieco wcześniej, bo około roku 2013, tendencja do zmiany nazw zawo-dów na formy żeńskie ogarnęła Włochy. Już wtedy zaczęto pisać i mówić *ministra* – co jest formą żeńską od *ministro* – rodzaj męski. Wywołało to prawdziwą lawinę dyskusji. Zwracano przy tym uwagę, że feminizacja nazw profesji zrodziła się z faktu dyskryminacji kobiet w pracy. Jednak pojawiło się wiele artykułów, w których zgodnie twierdzono, że kobiety tak naprawdę nie dyskryminuje gramatyka, ale mentalne do nich nastawienie. Jeśliby akcja wprowadzania rzeczowników rodzaju żeńskiego określających nazwy zawodów miała naprawdę coś poprawić w zakresie prawa pracy dla kobiet, to np. Angielki byłyby bez szans, zważywszy, że język angielski nie posiada gramatycznego rodzaju męskiego, żeńskiego ani nijakiego rzeczowników. Każda Angielka zawsze będzie: *teacher, minister, philosopher, philologist i pianist...* dokładnie tak samo, jak jej koledzy po fachu. ■

Poszerzona wersja artykułu jest dostępna na portalu [reshumana.pl](http://reshumana.pl).

**Dr Małgorzata B. Jakubiak jest absolwentką filologii słowiańskiej oraz filo-zofii Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie, długoletnim pracow-nikiem naukowym Instytutu Filozofii i Socjologii PAN, w Zakładzie Filozofii Człowieka i Społeczeństwa.**

Tekstem tym powracamy do dyskusji o języku zmieniającym się w konsekwen-cji współczesnych zmian społecznych. Ponieważ te ostatnie zachodzą z wielką jak na zjawiska społeczne prędkością, język stara się dotrzymać im tempa; a to wy-wołuje kontrowersje i spory. Także nasza redakcja i grono zaprzyjaźnionych au-torów są podzielone; jedni wykazują przywiązanie do reguł i form tradycyjnych, głęboko zakorzenionych, drudzy – uznają prawo użytkowników języka do kształ-towania go tak, aby najlepiej wyrażał ich potrzebę ekspresji. W numerze 4/2024 „Res Humana” zamieściliśmy dwugłos na ten temat: pisarz Grzegorz Walczak nie godzi się na „wprowadzanie do języka sztucznych, tworzonych naprędce, na zasa-dzie neologizmu, nazw żeńskich, a w dalszej kolejności zdublowanych konstruk-cji językowych typu «sztukę naszą oglądali oczarowani nią widzowie i oglądali oczarowane widzki»”, zaś członkini redakcji Anna Sikorska-Michalak argumen-tuje, że „feminitywy są dobre tak samo, jak maskulatywy i formy neutralne. Ani lepsze, ani gorsze. Pozwalają od razu rozpoznać, że mówimy o niej, a nie o nim. Są najkrótszym i najprostszym, a więc najbardziej ekonomicznym sposobem przed-stawienia osoby rodzaju żeńskiego. A język dąży do prostoty i ekonomiczności wypowiedzi. Pani doktor w stosunku do krótszej doktorki nie broni się, tak samo jak pani chemik albo pani prezydent. Krótsze formy trafiają w sedno, a dłuższe mogą nawet wprowadzać zamieszanie”.

# FORUM MYŚLI NIEOBOJĘTNYCH

Tak myślę

## Przemówienie prezydenta



Andrzej ŻOR

Niemal każdy dzień przynosi wydarzenia zwiększające napięcie polityczne w Polsce. Niektóre z nich bulwersują opinię publiczną krótko, jak obecność południowoafrykańskiego przestępcy Janusza Walusia na stadionie warszawskiej Legii w towarzystwie europośła Grzegorza Brauna. Ich wspólna fotografia wzmaga co najwyżej odruchy abominacyjne. Inne stwarzają poczucie trwałego zagrożenia, jak działalność rosnących w siłę ugrupowań nacjonalistycznych. Wspierają ten niepokój decyzje i poglądy prezydenta Nawrockiego, bo zbliżają się wyraźnie do programu tych ugrupowań.

Tym większą uwagę należałoby poświęcić jego przemówieniu na uroczystości 107. rocznicy odzyskania niepodległości, kończącej – jak co roku – marszem narodowców, w którym prezydent wziął udział. Wypada przytoczyć krótkie fragmenty tego wystąpienia: „Pytam [...] gdzie są nasze wartości chrześcijańskie, które budowały fundamenty Rzeczypospolitej, i czemu musimy być świadkami i odpierać presję protezy wartości chrześcijańskich, jaką miały być obce nam ideologie w polskich szkołach i polskim systemie edukacji. To nie nasze, bo nie polskie, prezydent Rzeczypospolitej nie pozwoli, abyśmy znów stali się pawiem i papugą narodów [...]. Co chcemy dziś powiedzieć tym, którzy krwią, wysiłkiem i pracą przynieśli nam niepodległość [...], gdy widzimy, że część polskich polityków gotowa jest do tego, aby po kawałku oddawać polską wolność, niepodległość i suwerenność obcym agendum, Unii Europejskiej [...]. Polska nie jest już kolonią”. I potem: „Jak będziemy dewastować finanse publiczne, tworzyć szopki polityczne, zamiast zająć się realną pracą dla Rzeczypospolitej, to może wolności i suwerenności nie będzie”. Z ostatnim zdaniem wypada się w pełni zgodzić, tyle że pod tymi słowami kryje się całkiem odmienne rozumienie powodów owego zagrożenia. Polacy – mówił prezydent – mają obowiązki polskie. Epoką, w której najlepiej spełniano te „obowiązki”, była II Rzeczpospolita. „To dzięki II Rzeczypospolitej w roku 1939, po roku 1939, po roku 1945 te pokolenia Druhej Rzeczypospolitej nigdy nie oddały wolności i niepodległości – i dzięki nim możemy żyć w wolnej i niepodległej Polsce”. W ten sposób do pokoleń, którym zawdzięczamy wolność i niepodległość, prezydent zaliczył środowiska narodowe, które nie złożyły broni po 1945, walcząc

z Armią Czerwoną i walcząc z tymi, którym odmówiono i którym dziś także odmawia się polskości, a którzy zaakceptowali lub pogodzili się z powojenną rzeczywistością, czyli z radziecką dominacją. To, że prezydent od dawna tak uważa, wiemy już, obserwując jego działalność w Instytucie Pamięci Narodowej (nazwa nieprzypadkowa). Przemówienie i udział w marszu potwierdziły to przekonanie. Oprócz *wartości chrześcijańskich* najczęściej powtarzanymi w przemówieniu motywami były: gotowość do walki insurekcyjnej, którą Polacy wyrażali przez cały okres zaborów, a która miała swą kulminację w dniach odparcia „bolszewickiej nawały” (1920); następnie skłonność do marzeń, zwłaszcza marzeń o Wielkiej Polsce (nie przestaliśmy marzyć, że Polska będzie wielka); w końcu wśród „obowiązków polskich” na czoło wysunęło się modne dziś słowo *suwerenność*. Przez kilka wieków – mówił prezydent – tylko 31 lat w XX wieku byliśmy wolni. Wielokrotnie demonstrowaliśmy natomiast „gotowość insurekcyjną”, ale – co wypada przypomnieć – wszystkie powstania narodowe (konfederacja barska, powstania: kościuszkowskie, listopadowe i styczniowe, wreszcie powstanie warszawskie) zakończyły się klęskami, po których pogorszyły się warunki egzystencji Polaków i zwiększyło ich zniewolenie. Na dobrą sprawę od odsieczy wiedeńskiej po „cud nad Wisłą” nie zakończyliśmy zwycięsko żadnego konfliktu zbrojnego. Lata uzależnienia od „obcych” to nie tylko czas zaborów, to także cały wiek XVIII, w tym rządy dwóch Sasów i konfederacja targowicka. Trudno obarczyć za to winą wyłącznie sąsiadów, bo „suwerenność” zaprzepaściliśmy sami. Przed wybuchem II wojny prężyliśmy muskuły, ale militarny sen o potędze rozwiął się w ciągu miesiąca. Prawdziwą kompromitacją była ucieczka do Rumunii władz cywilnych i wojskowych na czele z Naczelnym Wodzem już w trzecim tygodniu zmagañ militarnych (18 września), gdy wojsko jeszcze walczyło. To wydarzenie nieco zakłóca wizerunek pokoleń realizujących „obowiązki polskie”, ale tego faktu lepiej nie przypominać, bo wstydlivy. Ocena dwudziestolecia nie jest i nie może być jednoznaczna. Nad europejską i polską polityką zawisł bowiem niesatysfakcjonujący dla części jej uczestników (Rosja, Niemcy, Włochy) bilans I wojny i wystarczyło zaledwie kilkunacie lat, by przegrani na powrót *stanęli na nogi*, zażądali rekompensat i zaczęli zagrażać swym europejskim sąsiadom. Polska miała (wśród rzekomych beneficjentów) wyjątkowo niekorzystną pozycję geopolityczną (między Niemcami a Rosją – oba o imperialnych ambicjach). Została przez nie określona mianem „bękarta traktatu wersalskiego”. Mogła przyłączyć się (sojuszami) do jednego z nich, co przypominało wybór między dżumą a cholera. Żadne traktaty nie stanowiły wówczas wystarczających gwarancji. Teoretycznie pozostawała trzecia droga – próba budowania sojuszu państw Europy Środkowej (tzw. Międzymorza, co było zmodyfikowaną kalką nieudanego pomysłu niemieckiej Mitteleuropy z 1915 r.), ale nikt z potencjalnych partnerów nie miał na to ochoty; taki sojusz byłby zresztą za słaby, by przeciwstawić się obu silnym przeciwnikom.

W poszukiwaniu sojuszników przeszkodziliśmy sobie sami, widząc się w roli hegemonu, którym nie byliśmy i którego nie chciano. Ta *imperialna* mentalność (niepoparta rzeczywistą pozycją gospodarczą i militarną Polski) stała na przekór pozyskiwaniu sojuszników; państwa

zachodniej Europy (zwłaszcza Wielka Brytania) chętnie posługiwały się w negocjacjach międzynarodowych straszakiem polskiego imperializmu, a ze słabszymi sąsiadami (Litwa, Czechosłowacja) pogorszyliśmy relacje do maksimum. Naraziliśmy się na śmieszność, lansując swoje kolonialne ambicje (Liga Morska i Kolonialna). Sojusze z Francją i Anglią zawarte tuż przed wojną nie przyniosły realnego efektu, nie tylko Polsce. Los Czechosłowacji po Monachium był tego niezaprzeczalnym dowodem. W sytuacji geopolitycznej z międzywojnia osamotniona (działająca z pojedynkę) Polska nie miała szans utrzymania suwerenności oraz wyboru rozwiązania politycznego dającego szansę nie tyle sukcesu, co przetrwania. Niestety, megalomania narodowa przesłoniła nam realną ocenę rzeczywistości politycznej („nie odamy guzika”).

Dalekie od realizmu marzenia o wielkiej Polsce i wiara we własną potęgę militarną utrudniły jeszcze poszukiwania możliwości poradzenia sobie z obiektywnie trudną sytuacją. Szansa (jaką Polska zyskała obecnie, a nie miała jej w międzywojniu) wymaga utrzymania jedności i mocnej pozycji układu wielostronnego (Unii Europejskiej). Po raz pierwszy od dawna nie jesteśmy sami. Unia Europejska nie jest zagrożeniem dla polskiej suwerenności. Co więcej, umocnienie sojuszu państw połączonych wspólnymi rozwiązaniami prawnymi, wspólnymi instytucjami, wspólną polityką zagraniczną, gospodarczą i wojskową (wspólnymi siłami zbrojnymi) będzie tej suwerenności najlepszą gwarancją. Polska nie miała takich atutów w latach 1918–39<sup>1</sup>. Tylko zintegrowana Europa może zresztą sprostać globalnej rywalizacji i stać się konkurencyjnym partnerem dla Chin, USA i wyłaniających się nowych potęg ekonomicznych. Nie mają tej zdolności państwa narodowe w pojedynkę; najsilniejsze Niemcy uczestniczą w światowym PKB w około 4,5 proc., Polska (choć szcycimy się pozycją dwudziestej gospodarki świata) ma jednoprocentowy w niej udział.

Shansę, jaką stwarzają zintegrowane bloki polityczno-ekonomiczne, zdają się rozumieć państwa BRICS, które dążą do poszerzenia zakresu współpracy. Nasz kontynent jest – niestety – narażony na rozpad wspólnoty euroatlantyckiej, będącej jak dotąd najlepszą gwarancją stabilizacji stosunków międzynarodowych, a także suwerenności Polski. Taki rozpad stał się realny po uzyskaniu prezydentury przez Donalda Trumpa i po zmianie wektorów polityki amerykańskiej. Co na to prezydent RP uważający się za przyjaciela swego amerykańskiego odpowiednika? Bezspornym osiągnięciem Polski w dwudziestolecie było scalenie (prawne, administracyjne, po części ekonomiczne) terytorialnej spuścizny po trzech zaborcach. Największe różnice między nimi występowały w kwestiach gospodarczych i w edukacji. Tu korzystnie wyglądały regiony wchodzące w skład dawnego zaboru niemieckiego. Najgorzej prezentowały się Kresy. W 1921 r. 31 proc. osób, które ukończyły 10 lat, było w odrodzonej Polsce analfabetami, po blisko 20 latach poprawiliśmy się na około 23 proc. Ale na wymarzonych przez Piłsudskiego Kresach wskaźnik analfabetyzmu w początkach lat dwudziestych wynosił blisko 65 proc. Nie mogliśmy stać się potęgą, mając tak lichy wykształcony społeczeństwo. Dla porównania w Szwecji niepiśmiennych w ogóle nie było, w Czechosłowacji stanowili zaledwie około 4 proc., we Francji 5 proc., nawet

<sup>1</sup> Dziwić się tylko wypada, że historyk zdaje się nie dostrzegać słabości Polski w międzywojniu i szuka w tamtym okresie wzorców do naśladowania.

w Estonii 8 proc. Gorzej było tylko w Grecji, Bułgarii (39,7 proc.) i Rumunii (45,5 proc.), ale to z Rumunami byliśmy najbliżej zawarcia traktatów sojuszniczych. Sojusz trochę humorystyczny. Lwów i Wilno były silnymi, spolonizowanymi centrami gospodarczymi, naukowymi i kulturalnymi, ale Kresy jako całość sprawiały najwięcej kłopotów (właśnie narodowościowe, rachityczny przemysł, niski poziom cywilizacyjny). Upór, z jakim tzw. obóz narodowy utożsamiał potencjał państwa z wielkością jego terytorium i liczbą ludności także w latach II wojny i w sporach przyszyły kształt powojennej Polski, wymaga co najmniej głębszej refleksji co do zasadności tej argumentacji. Nie chcemy Wrocławia i Szczecina – wołał emigracyjny premier Tomasz Arciszewski. Oddajcie nam Kresy!

W strukturze gospodarki dominowało rolnictwo (60 proc.). Mocno anachroniczne. Z ogromnym trudem uchwalono ustawę o reformie rolnej, ale jej implementacja napotykała na przeszkody. Dopiero w wyniku przymusowej industrializacji w drugiej połowie lat 40. (już za „komuny”) odwrócono te proporcje. Budowa COP nie została zakończona. W całym dwudziestoleciu dochód narodowy wzrósł o 40 proc.; dla porównania po wejściu do Unii Europejskiej (2004–2024) polski PKB podwoił się. Dwukrotnie dosięgnął Polaków kataklizm gospodarczy w postaci hiperinflacji (1922–1923) i kryzysu lat 1929–32/33. Za 1 dolara płacono w apogeum inflacji 9,5 miliona marek polskich. Reforma Grabskiego (w wielu aspektach ideowych przypominająca plan Balcerowicza, od którego wielu polityków stara się odżegnać; podobno wiedzą lepiej) wyprowadziła kraj z gospodarczej ruiny. Z kryzysu lat 30. wydobywaliśmy się z mozołem, zapłaciliśmy za to katastrofalnym bezrobociem. Zabrakło czasu, by ocenić, czy przezwyciężenie kryzysu miało charakter trwały. W lata własnej państwowości Polska wkraczała w atmosferze konfliktu dwóch obozów politycznych: endecji i piłsudczyków. U progu I wojny endecja postawiła na Ententę, a więc m.in. na Rosję, Piłsudscy na państwa centralne. Zmianie optyki przez Dmowskiego przyszyła w sukurs rewolucja bolszewicka, z powodów ideologicznych łatwiej można było zrzucić balast sojuszu z Rosją. Po odzyskaniu niepodległości odnotowano sporo pozytywów. Przyjęto stosunkowo nowoczesną i demokratyczną konstytucję (1921), uchwalono też szereg przepisów, które wystawiają dobre świadectwo ich twórcom (prawa kobiet, równy status wyborczy, obiecano reformę rolną). W obliczu radzieckiego, a zarazem komunistycznego zagrożenia, zaprzestano walk wewnętrznych na tyle, by wygrać wojnę z bolszewikami i zapobiec utracie niepodległości. Ukształtowany jako pochodna przepisów konstytucyjnych Sejm był jednak mało skutecznym zlepkiem różnych partii politycznych. Partyjniactwo zdominowało scenę polityczną. Na obrazie tamtych lat zaciążyło zamordowanie pierwszego prezydenta RP Gabriela Narutowicza pod hasłami do złudzenia przypominającymi współczesne poglądy środowisk narodowych. W ciągu ponad 7 lat (1918–1926) zmieniło się w Polsce 14 rządów, co dało Piłsudskiemu pretekst do przewrotu majowego. Wprowadzone pod hasłami skutecznych rządów silnej ręki i oczyszczenia życia publicznego władze tzw. sanacji rozpoczęły realizację etatystycznego programu inwestycyjnego, głównie w przemyśle zbrojeniowym. Środki na militaria pozostawały w wyłącznej gestii Marszałka, uważanego przez jednych za męża opatrnościowego Polaków i znieawia-

dzionego przez równie znaczną część społeczeństwa (poszukiwania analogii ze współczesnymi laty prowadzi do ryzykownego, ale nie pozbawionego racji twierdzenia o transkrypcji związków z dwudziestolecia do obecnej polskiej rzeczywistości, całkiem już innej). Sanacja usiłowała też zdławić opozycję za pomocą represji (proces brzeski, wojsko w Sejmie, Bereza Kartuska). Zamach majowy wyrócił również postrzeżenie polityki w świadomości zbiorowej. Zwolennicy Piłsudskiego, wcześniej poważani i wspierani przez lewicę (PPS), za sprawą lansowanych rządów dyktatorskich i zacieśniania relacji rządzących z arystokracją ziemiańską (Marszałek w Nieświeżu u Radziwiłłów) oraz bogatymi przemysłowcami, utożsamili się z opcją prawicową, na której to pozycji mocno osadzeni byli endecy, co zmieniło istotę sporu, choć konflikt piłsudczyków i ND nadal trwał.

Kilka lat po śmierci Piłsudskiego rozpoczęto rozmowy na rzecz stworzenia Obozu Zjednoczenia Narodowego, co wydawało się logiczną konsekwencją tej zmiany. Wówczas zaczęły pojawiać się ugrupowania faszystujące (ONR, Falanga). Przegrana wojna, kompromitacja polityczna i moralna spowodowała, że piłsudczycy zeszli ze sceny (Sikorski, personalnie skonfliktowany od dawna z Piłsudskim i jego obozem politycznym, starannie o to zadbał). ONR – jednoznacznie nacjonalistyczny – sympatyzował z włoskim faszystem i narodowym socjalizmem w Niemczech; „w krajach, w których umocniły się rządy narodowe, we Włoszech i w Niemczech, wieje ożywczy prąd”<sup>2</sup>. A jeszcze bardziej radykalny w swych poglądach działacz ONR Jan Mosdorf dodawał kilka dni później: „We Włoszech parlamentaryzm skończył się z chwilą, gdy przed krajem stanęło zagadnienie: komunizm czy duch narodowy. Nie kartka wyborcza, lecz kula rewolwerowa decydowała o zwycięstwie i wielu poległych z tego okresu liczą w swych szeregach faszysty. Aż wreszcie zwyciężyli i narzucili wrogom swoją wolę... Dziś Włochy zjednoczone są duchowo, jednoczą się duchowo Niemcy hitlerowskie...A jak u nas? W nas w Polsce toczy się walka o najważniejsze zagadnienia, wprost o sprawy narodowego bytu. Takich rzeczy nie rozstrzygnie głosowanie... ruch narodowo-radykalny, zbierając nieustannie na sile w walce o Wielką Polskę, doprowadzi z żelazną konsekwencją do zwycięstwa. A wówczas nowy zaprowadzimy ład!”<sup>3</sup>. A propos suwerenności: kończący swoją misję rząd wysunął kandydaturę Wieniawy Długoszowskiego na prezydenta RP na uchodźstwie. Sprzeciw Francji (o co zabiegał Sikorski) spowodował, że kandydaturę tę odrzucono, a prezydentem został Władysław Raczkiewicz. Wtedy jeszcze wierzone w potęgę Francji i jej wpływ na przebieg wojny. Jak widać z tego krótkiego przeglądu, dwudziestolecie miało swoje blaski i cienie. Spoglądając z perspektywy finału, cieni było więcej, a COP i Gdynia w połączeniu z urokiem Wieniawy i popularnością Skamandrytów oraz paradami wojskowymi, nie przesłoniły zatargów politycznych i niepowodzeń gospodarczych oraz niskiego poziomu życia większości obywateli.

W lata wojny i okupacji weszliśmy, podtrzymując układ polityczny z końca dwudziestolecia. „Po nastaniu okupacji, kiedy znikły władze państwowe i wojskowe, decyzja w sprawie stosunku ludności cywilnej do władz okupacyjnych przeszła do rąk poszczególnych organizacji i grup społecznych,

<sup>2</sup> Sztafeta nr 12/18 z 15 kwietnia 1934 r. za: Zbigniew S. Siemaszko. *Narodowe Siły Zbrojne*, Oficyna Wydawnicza „Pokolenie” Londyn 1982, s. 13

<sup>3</sup> Sztafeta nr 19/25 z 19 kwietnia 1934 roku za: Siemaszko ibidem.

a także do poszczególnych osób, które spontanicznie i bez żadnej koordynacji zdecydowały, iż walka z okupantem niemieckim ma trwać nadal. W decyzji tej, obok rewanzu za klęskę wrześniową, duże znaczenie miała chęć udziału w władzy w okresie powojennym”. I dalej „Ze względu na brak odpowiedniego przygotowania, ruchy podziemne tworzone były metodą improwizacji. Stosowało się to również do jedynego ruchu, który miał piętno legalności, a mianowicie do organizacji Służba Zwycięstwu Polski, która później przyjęła nazwę Związek Walki Zbrojnej, a potem Armia Krajowa, uważanej przez niektóre ośrodki – między innymi przez obóz narodowy – za organizację pozostającą pod wpływem sanacji”<sup>4</sup>. Choć czasami pojawiały się głosy, że powinnością, wręcz obowiązkiem sił politycznych jest przetrwanie substancji narodowej, to presja na podjęcie walki zbrojnej, na podtrzymanie w ten sposób narodowego ducha okazała się silniejsza. Obok ZWZ/AK każda z partii powołała własne organizacje wojskowe: Stronnictwo Narodowe – Narodową Organizację Wojskową, SL – Bataliony Chłopskie, PPS – Milicję PPS, Stronnictwo Pracy – Unię, Stronnictwo Demokratyczne – Związek Obrony Rzeczypospolitej, Obóz Narodowo-Radykalny – Związek Jaszczurczy, Falanga – Konfederację Narodu, a mało znane Ugrupowanie Stojanowskiego – Narodowo-Ludową Organizację Wojskową. Z inicjatywy niektórych nieznanymi bliżej dowódców wojskowych pojawiały się również efemeryczne grupy zbrojne walczące z okupantem. Z czasem, po zaatakowaniu ZSRR przez Niemcy, do rywalizacji włączyły się te siły polityczne, które deklarowały sojusz z władzą radziecką (de facto całkowite podporządkowanie jej interesom) (Gwardia Ludowa, a potem Armia Ludowa). Następował też proces scaleniowy, w wyniku którego ukształtowały się cztery silne organizacje wojskowe (AK, AL, BCh i NSZ). Najsilniejsza była bez wątpienia Armia Krajowa – 350 000 osób. Bataliony Chłopskie liczyły 170 tys. członków, NSZ (utworzone w 1942 r. w wyniku połączenia Narodowej Organizacji Wojskowej, Związku Jaszczurczego i innych mniejszych organizacji podziemnych) skupiały około 75 tysięcy<sup>5</sup>, zaś Armia Ludowa – około 60 tys. ludzi. Kierownictwa polityczne tych ugrupowań nie były skłonne do działania razem. Jedynie AK i NSZ podjęły finalnie nieudaną próbę zjednoczenia. NSZ „w czasie okupacji walczyły z Niemcami i zwalczały polskie formacje komunistyczne: Gwardię Ludową, Armię Ludową oraz partyzantkę radziecką i bandy rabunkowe”<sup>6</sup>. NSZ były oskarżane o współpracę z Niemcami w końcówce wojny (Brygada Świętokrzyska, szpiegowska organizacja „Toma”). Na jeszcze większe przeszkody natrafiało jednoczenie polityczne; rząd londyński (uznawany przez zachodnich sojuszników organ państwa) był wielopartyjny. Podlegała mu (choć nie zawsze skutecznie) Delegatura Rządu na Kraj. Rząd Londyński i jego Delegaturę łączyło przekonanie, że jest jedynym prawowitym reprezentantem narodu polskiego, a tym samym negocjowanie udziału w wojnie sojuszniczego z Armią

<sup>4</sup> Zbigniew S. Siemaszko, *Narodowe Siły Zbrojne*, Oficyna Wydawnicza „Pokolenie” Londyn 1982, s. 11.

<sup>5</sup> Dokładna liczba żołnierzy NSZ nie jest znana, badacze podają skrajnie odmienne dane. Wg E. Duraczyńskiego liczyły one 15–18 tys. Krystyny Kersten – 35 tys., zaś przywódcy NSZ operowali liczbami od 72 do 100 tys. ludzi. Autorzy Wikipedii, znając te różnice, podają liczbę 75 tys.

<sup>6</sup> Wikipedia: Narodowe Siły Zbrojne.

Czerwoną wojska polskiego i lewicowego krajowego ruchu oporu. Prawicowe (nazywam je tak dla uproszczenia, zdając sobie sprawę ze sporych różnic wewnętrznych) siły polityczne nie zauważały, że zmienia się układ sił w świecie, że tworzy nowy porządek europejski, w którym (choć większości Polaków się to nie podobało) Związek Radziecki będzie mocarstwem współdecydującym o kształcie światowej sceny politycznej. I że mocarstwa zachodnie uznały znaczenie i siłę ZSRR – zwycięskiej strony w wojnie. Że bez udziału radzieckiego (niezależnie od sympatii i antypatii politycznych) nie wygra się z Hitlerem albo cena, jaką przyjdzie zapłacić za to zwycięstwo, będzie zbyt wysoka.

Niedostrzeżenie zmiany układu sił, zakleszczenie w złudnym przeświadczeniu, że polityka światowa powróci do układu z międzywojnia (zmodyfikowanego porządku wersalskiego) i że Polska odegra w procesie petryfikacji tego porządku znaczącą rolę, okazało się tragicznym w skutkach złudzeniem. Śmierć blisko 200 tys. powstańców i mieszkańców Stolicy, zniszczenie pokoleń inteligencji, całkowita ruina miasta, tragiczne losy niedobitków oddziałów partyzanckich łudzonych mirażem III wojny, Andersem *na białym koniu*, a w konsekwencji pogłębienie trwającego po dziś dzień narodowego rozłamu i zakorzeniona niezdolność do jego przezwyciężenia były ceną, jaką zapłaciliśmy za *gotowość insurekcyjną*.

Na ziemiach polskich stacjonowało w połowie 1944 roku – i to tylko po prawej stronie Wisły – blisko 2 miliony żołnierzy radzieckich plus ich polscy sojusznicy. „Na kilometr kwadratowy przypadało 35 żołnierzy”<sup>7</sup>. Historyk powinien znać te dane. W marcu 1944 doszło do scalenia Armii Krajowej z koncyliacyjnie nastawioną częścią NSZ. Pozostała część ugrupowania była zdecydowana kontynuować walkę, uznała przy tym, że to Związek Radziecki i jego komunistyczna agentura w Polsce (opanowana przez „żydokomunę”) jest wrogiem nr 1. Nasiliły się wewnętrzne i bratobójcze walki. Najbardziej agresywna grupa „jastrzębi” (o nazwach NSZ Związek Jaszczurczy lub NSZ ONR) planowała przejście władzy w kraju przez skrajnych nacjonalistów („z rozwiązaniami ustrojowymi bliskimi modelowi faszystowskiemu”<sup>8</sup>) w drodze zbrojnego powstania. Musieli mieć bujną wyobraźnię. Jeszcze w czasie działań wojennych Brygada Świętokrzyska zdecydowała się dołączyć do armii niemieckiej i wraz z nią opuścić tereny polskie.

Konflikty wewnętrzne w polskim ruchu oporu pogłębiały się i komplikowały. Ich opisanie, a zwłaszcza względnie obiektywna ocena, wykracza poza ramy artykułu, jeśli jest w ogóle możliwe. Można jednak stwierdzić, że do rzeczywistości powojennej został przeniesiony konflikt polityczny z lat międzywojnia, którego dziedzictwem jest nie tylko COP i Gdynia czy ujednolicenie prawa i poradzenie sobie z kryzysem ekonomicznym, ale także negatywne strony dwudziestolecia: zabójstwo Narutowicza, proces brzeski i Bereza Kartuska, akcje pogromowe, umacnianie faszyzmu i antysemityzmu w końcówce lat 30. Rodzi się natomiast pytanie: czy i jak głęboko konflikt ten został zakorzeniony w zbiorowej świadomości kulturowej Polaków? I w jakim stopniu stał się elementem składowym polskiej rzeczywistości pod koniec XX i w XXI wieku? Przemówienie prezydenta zdaje się potwierdzać trwałą obecność i żywotność tego konfliktu, co zagraża rozpadem wspólnoty ze wszystkimi tego – znanymi z historii – konsekwencjami. ■

<sup>7</sup> Krystyna Kersten, *Narodziny systemu władzy*, wyd. Textura, Warszawa 2018, s. 124.

<sup>8</sup> Wikipedia: Narodowe Siły Zbrojne.



# Krzywdy

Adam KOMOROWSKI

Coraz mniej przekładów z rosyjskiego, sztuk w teatrach, wymiana kulturalna zamarła. A przecież nie tak dawno *Mistrz i Małgorzata* Michaiła Bułhakowa należała do najchętniej czytanych przez Polaków powieści XX wieku. Agresja Rosji na Ukrainę, wojna której nie widać końca i solidarność z ofiarą sprawiają, że deprecjonowanie kultury agresora, niekiedy ostentacyjne odwrócenie się od niej, poczytujemy za pożądaną manifestację.

Tymczasem właśnie teraz jest czas na ponowną lekturę rosyjskiej klasyki: Puszkina, Turgieniewa, Dostojewskiego, Rozanowa, Riemizowa, Achmatowej, Pilniaka, Mandelsztama, Płatonowa, Pasternaka, Szołochowa, Sołżenicyna czy Brodskiego – by wymienić tylko kilku. Lekturowe doświadczenia (to, co Roman Ingarden nazywał konkretyzacją) związane są z czasem i miejscem. Dziś czytam *Połtawę* Puszkina inaczej niż przed 2022, inaczej czytam wiersze Josifa Brodskiego. Inaczej czytam pisarzy, którzy świadomi polskiego pochodzenia wybrali literaturę rosyjską i zajęli w niej znaczące miejsce: Władysława Chodasiewicza, Jurija Olesę czy Zygmunta Krzyżanowskiego.

Nowym doświadczeniem dzisiejszych lektur jest wrażenie zaniku barier i różnic pomiędzy literaturą rosyjskiej emigracji i powstającej w kraju. Duma i przekonanie o wyjątkowości kultury wymykającej się formatom, formułom patosu (jakby powiedział Aby Warburg) kształtującym się w Europie od średniowiecza przez renesans, barok i oświecenie, ujawnia się ponad podziałami ideowymi i politycznymi. Ta duma graniczy z chępliwością, że można się bez tej ciągłości obyć. Film Andrieja Tarkowskiego *Rublow* to najbardziej wyraźna deklaracja takiej postawy.

Stanisław Brzozowski był daleki od podważania wartości literatury rosyjskiej, ale uważał, że jej wpływ na polską mentalność obciążony jest zainfekowaniem pokusą zerwania doświadczenia ciągłości dziejów. Pisał (w 1909 roku, w eseju *Kryzys literatury rosyjskiej*), że w literaturze rosyjskiej „życie pojmowane jest jako coś gotowego, coś co może być gotowym, danym, a świat rzeczywisty jest tylko jakąś krzywdą temu życiu wyrządzanym (podkr. AK), inteligencja rosyjska myśli i czuje w kategoriach tego demoralizującego, rozkładającego wołę poczucia krzywdy”.

Dla Brzozowskiego nie imperialne zauroczenie (o którym tyle się pisze), ale właśnie wyimaginowane poczucie krzywdy jest źródłowym fundamentem rosyjskości. Emblematycznym jest wiersz Puszkina *Oszczercom Rosji*. Poczucie krzywdy nieobce jest Polakom. Jest jednak różnica. Gdy przyjrzymy się naszym dzisiejszym dywagacjom, apelom o wstawanie z kolan, sprzeciwom wobec tzw. pedagogice wstydu, widzimy, że domniemana krzywda dotyczy ludzi, którzy uważają się za Polaków. Natomiast w paradygmacie puszkiniowskim krzywda dotyczy jakiegoś bytu idealnego – czyli Rosji. Skrzywdzonymi nie są Rosjanie, ale Rosja.

Skrzywdzonej Rosji wolno więcej. Dlatego Puszkina mógł i napisać: „Nie cenię zbyt wiele praw głoszonych w gromkim słowie...”. Wyimaginowana krzywda Rosji zwalnia Rosjan z zobowiązań prawa międzynarodowego.

W przywołanym eseju Brzozowski napisał: „Polacy muszą znać Rosjan lepiej niż oni sami”. Aby tak było, musimy ich czytać. Dziś uważniej niż przed agresją na Ukrainę. Między innymi dlatego, by nie zainfekować woli celebrowaniem krzywd.

Wiejska 4/6/8

# Poseł Marek Suski jako artysta



Jerzy PAPUGA

Nie wiadomo na razie, na ile okaże się to prawdą, ale rządy marszałka Czarzastego i ministra Siwca na Wiejskiej 4/6/8 mogą przejść do historii zdecydowanie szerszym otwarciem na kulturę i sztukę. Oto bowiem, dosłownie krok w krok za pamiętnym otwarciem Izby na Chopina, przez niezapomnianego marszałka Hołownię, a to z okazji tegorocznej edycji Konkursu, pokazano wystawę prac artystycznych posła Marka Suskiego – znanego powszechnie lidera PiS, a przy tym człowieka niewątpliwie eleganckiego, dumnego ze swych ziemiańskich korzeni i noszącego na co dzień kapelusz. Choć przejawiającego swoją aktywność nienachalnie i raczej z tylnej lub bocznej ławki, acz systematycznie i konsekwentnie, teraz chwilowo w charakterze polityka opozycji. Mówi się, że odpowiada w klubie PiS za dyscyplinę i już dawno zdobył sobie na tym polu szczerze uznanie, szczególnie Prezesa. Którego na bieżąco informował o sprawach, trzymając ryzy dyscypliny, głoszonych poglądów i głosowań. Miał też wiele niezapomnianych występów solowych, z ubiegłokadencyjnym Lex TVN na czele; w pewnych aspektach był niezaprzeczalnie mózgiem PiS-u, choć z umiarkowanymi sukcesami.

Obecnie kieruje sejmową komisją energii, czyniąc to dobrze, by nie powiedzieć wzorowo, czego ostatnim przejawem było okiełznanie prac nad ustawą górniczą, z licznym udziałem związków zawodowych i wszystkich posłów ze Śląska (to największy okręg wyborczy w Polsce...). A że obrady toczyły się pod presją czasu (ustawa miała wejść w życie od 1.01.2026 roku, i w przeddzień Barbórki, to nawet poseł Monika Rosa miała coś w sprawie górnictwa do powiedzenia, choć na co dzień niezwykle aktywnie zajmuje się sprawami dzieci i młodzieży. Przewodniczący Suski, mając kluczową dla braci górniczej ustawę do przygotowania, całym swoim jestestwem oddziaływał na tok niekończącej się debaty, aby ją ukrócić i jego niemal aktorskie zabiegi przyniosły zbawienny skutek. Był to więc sukces osiągnięty trochę wbrew sobie, bo któremu z opozycyjnych przewodniczących komisji sejmowych przychodzi poskramiać mówców z koalicji, żeby przyspieszyć prace nad rządowym projektem ustawy?

Ale wracając na grunt kultury i sztuki, to oczywiście my – stare sejmowe wygi – wiedzieliśmy, że poseł Suski w cywilu wykonuje piękny artystyczny

zawód technika, charakteryzatora i perukarza teatralnego, a także zasiada czasami do fortepianu, by np. akompaniować posłance Piekarskiej w solowym popisie, co utrwaliła nawet TVP jako przykład oddania się posłów kulturze wysokiej „mimo naturalnych różnic politycznych”. No ale w tym akurat przypadku mamy do czynienia z twórczością plastyczną posła, co znakomicie ilustruje potencjał drzemiący w tym polityku, nie pomijając pewnej refleksji teoretycznej. „Sztuka to jest czynienie dobra w sposób piękny. To jest takie moje credo. Staram się, żeby to, co robię, przynajmniej było estetyczne” – powiedział poseł Suski na otwarciu swojej ekspozycji i warto byłoby to gdzieś ku potomności odnotować. Ta jakże głęboka definicja jak ułał zresztą pasuje do prezentowanych prac: rzeczywiście są piękne, zarówno w portretach koni, jak i ludzi. Jedynie pewna *szydera* i przerysowanie występuje w pracach satyrycznych posła wymierzonych generalnie w obecny reżim Tuska, no ale tak przecież nakazuje konwencja.

Wystawa, choć skupiająca ledwie kilkanaście prac, została ulokowana w takim miejscu, że nie sposób jej pominąć – w ciągu komunikacyjnym wiodącym do najważniejszych gabinetów sejmowych, gdzie zresztą odbywają się też inne, mniej interesujące wystawy. Pan Marszałek i jego minister mieli więc okazję przechodzić koło niej i zerkać wielokrotnie, ale z moich osobistych obserwacji wynika, że przez niektórych posłów czy gości Izby odwiedzana była także dobrowolnie. Co czyni posła Suskiego awangardą artystyczną Wiejskiej 4/6/8, nie bójmy się tego tak odważnie skwitować! Odwiedzając sejmową ekspozycję Suskiego starannie unikając tłumów, starałem się dociec, jaki był jej *leitmotiv* i doszedłem do wniosku, że przekrojowy. Mamy więc ekspozycję portretów, na których poseł umieścił głównie swoją rodzinę, rysowanych kreską odważną, by nie powiedzieć zamaszystą; mamy konie, które jakie są, każdy widzi (i tu raczej widziałbym inspiracje Kossakiem aniżeli Michałowskim), mamy wreszcie pozostałe techniki, także posłowi nieobce. Marek Suski jest bowiem autorem fresków, co ilustrują odpowiednie zdjęcia, oraz ilustratorem książki o swojej rodzinie. Trzeba uczciwie przyznać, że jest to kapitalna paleta możliwości i artystycznego wyżywiania się posła w czasie wolnym od sprawowania mandatu!

Ale nie byłoby to pełne przedstawienie tego wydarzenia na artystycznej mapie Wiejskiej 4/6/8, gdyby nie kluczowy dla tej ekspozycji fakt, że nawiedził ją sam Prezes Jarosław Kaczyński we własnej osobie. A towarzyszyli mu i przewodniczący Błaszczak, i nawet minister Bogucki z Kancelarii Prezydenta oraz b. europoseł Richard Henry Czarnecki, dawno na Wiejskiej niewidziany. Niestety, można to było oglądać tylko z pewnego oddalenia, bo choć dziennikarzy dopuszczono, tylko niektórych mediów. To przez chwilę uczyniło sztukę Suskiego na swój sposób elitarną, wydawałoby się skierowaną wyłącznie do członków i sympatyków PiS, ale szybko okazało się, że był to pogląd wredny, oczywiście głoszony przez określone niezyciwe sztuce Suskiego siły i ośrodki. Sztuka ta bowiem, już po opuszczeniu ekspozycji przez Prezesa wraz z otoczeniem, została szeroko wystawiona na widok publiczny i trwała w tym samym miejscu jeszcze jakiś czas, dodając punktów koalicji, że otwiera się na opozycję i jej artystyczne pasje. No a przede wszystkim poseł Marek Suski utrwalił się nam po wsze czasy jako człowiek wielu talentów, esteta, zarówno polityk, jak i artysta, malarz koni i ziemianin chodzący na co dzień w kapeluszu. ■

# PROZA

## Trzy upadki na cztery łapy

Biografia pół-literacka



Andrzej ŻOR

Publikujemy fragment najnowszej książki Andrzeja Żora, wydanej w 2025 roku w serii „Biblioteka RES HUMANA”. Pozycja świadomie ukazała się w niewielkim nakładzie – była przeznaczona dla stosunkowo wąskiego kręgu odbiorców: bliskich Przyjaciół Autora. Ograniczenie grupy potencjalnych czytelników do hermetycznego grona umożliwiło bardziej osobisty charakter zwierzeń.

W formie rozmowy dwóch przyjaciół Andrzej Żor prezentuje swoją niekonwencjonalną biografię, napisaną z okazji 85. rocznicy urodzin i obejmującą lata 1940–2025.

Arnold Zeth: Podczas jednego z jego pobytów w Warszawie rozmawialiśmy z Messnerem – jak zwykle – u mnie w domu. Opowiedział o swojej rozmowie z Jaruzelskim, który zaproponował mu objęcie stanowiska wicepremiera i koordynatora ds. gospodarki, które miało być wstępem do fotelu premiera w przyszłości. Uważał, że czas na rozdzielenie ról: I sekretarza, premiera i ministra obrony narodowej. Proces ten powinien postępować powoli, zresztą przyszedł premier i tak musi przygotować się do nowych obowiązków i poznać skomplikowane układy polityczne w Warszawie.

AŻ: Jaruzelski nie zauważył, że świat władzy i świat opozycji jest znacznie bardziej skomplikowany, niż wynikałoby to z prostego podziału: my i oni. A może zauważył, lecz nie chciał wdawać się w meandry polityki, uwarunkowania historyczne, genezę frakcji i walk frakcyjnych po obu stronach, bo „Solidarność”, prezentująca się na zewnątrz jako opozycja zjednoczona ideą sprzeciwu wobec tzw. realnego socjalizmu, naprawdę prezentowała zestaw idei, poglądów i zachowań bardziej pogmatwany niż miało to miejsce w zróżnicowanym aparacie władzy, bo te poglądy były zakorzenione w ukształtowanej przez historię świadomości zbiorowej Polaków<sup>1</sup>. A ty, uszczęśliwiony, z radością przyjąłeś ofertę.

<sup>1</sup> W ostatnio wydanej książce Marszałka Sejmu Szymona Hołowni natrafiłem na zdanie: „To jest nasz polski fenomen, że u nas nie żrą się dwa różne światy: byli komuniści i była Solidarność. U nas, w dużym uproszczeniu, żre się jedna Solidarność z drugą Solidarnością” (Szymon Hołownia, *Nie dajmy się podzielić, Rozmowa z Michałem Kolanko*, Znak, Kraków 2024, s. 195). Ciekawe tylko, gdzie Hołownia znalazłby byłych komunistów.

- Znasz kogoś, kto by nie przyjął? A zresztą? Messner był moim przyjacielem, starszy o 11 lat, trochę zastępował mi ojca, którego straciłem tak wcześniej. Zdawałem sobie sprawę, co bierze na barki. On uważał zresztą, że od tej chwili ma swoiste zobowiązanie wobec Generała, że musi odpłacić za kredyt zaufania, jaki otrzymał. A ja podejmowałem takie zobowiązanie wobec niego. To nie tylko prywatna sprawa: dwaj kumple uzgadniają, kto jaki stołek zajmie. Nie pytałem ani o stołek, ani o pensję. Też podejmowałem zobowiązanie i słowa – jak sądzę – dotrzymałem. O poranku (bo już wtedy budziłem się monstrualnie wcześniej) uświadomiłem sobie zabawną konfigurację; w całej Polsce żyje 4 facetów, którzy wiedzą o tym, jak potoczy się historia państwa.

- Trzej to Jaruzelski, Messner i Żor. A czwarty?

- Przypuszczam, że Michał Janiszewski – generał, szef URM. Nawet osobnik tak zamknięty w sobie jak Jaruzelski musiał z kimś podzielić się tym pomysłem, poznać jego opinię, nie mógł zawierzyć wyłącznie sobie. Ale chyba nikt więcej. Bo nikt inny nie mrugnął nawet okiem.

- Musiałeś z wysoka spoglądać na swoich kolegów, także tych, którzy do niedawna, a nawet wciąż spoglądali z wyższością na ciebie.

- Ja naprawdę nie mogłem pozbyć się kompleksu ubożego prowincjusza. Niepewności co do słuszności swoich opinii i poglądów. Towarzyszy mi dotąd. Kiedy zostałem generalnym w MNSzWiT, dostałem pismo z URM o organizowaniu wczasów świątecznych w Arłamowie lub Łańsku. Wybrałem Arłamów, blisko moje ukochane Bieszczady. Wkrótce zadzwonił do mnie Włodek Gajda – dyrektor biura administracyjnego w URM, z pytaniem, czy nie pojechałbym do Łańska, bo gdybym został przy Arłamowie, musiałby stawiać na nogi cały ośrodek (moje zgłoszenie było jedynym), a to nonsens. Zgodziłem się, oczywiście, w ogóle nie przyszło mi do głowy, że mógłbym się upierać. Włodek (z którym później się kolegowaliśmy, był wspaniałym wędkarzem) zrewanżował się pięknym apartamentem w „Puszczy” (główny obiekt w Łańsku), a ja nie zagadywałem do nikogo, grono partyjnych i ministerialnych dostojników onieśmiało mnie, wydawało mi się, że mam niewiele do powiedzenia. Ktoś inny nadęty z powodu nominacji opieprzyłby Gajdę za podobne sugestie. Podczas spaceru (Asia zjeżdżała na sankach) spotkaliśmy Jaruzelskiego, otoczonego ochroną. Towarzyszył mu komendant Łańska Jagielski i sześciu ochroniarzy. Taka świta – pomyślałem – w wojskowym, ściśle strzeżonym ośrodku, Niewiarygodne!

- Miśkiewicz zorganizował ci fetę pożegnalną. Przemówienia, pisma dziękczynne. Zapytał o kandydata na swoje miejsce.

- Zgłosiłem dwóch: Henryka Kurowskiego (dyrektora departamentu studiów i badań rolniczych) i Gienka Pietrasika (dyrektora departamentu wychowania i spraw młodzieży, późniejszego vice-szefa komitetu kultury fizycznej i turystyki, zmarłego nagle na serce podczas Olimpiady w Atlancie). Wybrał Kurowskiego. A wracając do rozstania z Ministerstwem, miało ono wzruszający przebieg. W trzech jego organizacyjnych wcieleniach spędziłem równo 20 lat: 1 grudnia 1963 – 1 grudnia 1983. Dobrze wspominam tę pracę. Wykorzystuję pozyskane wówczas wiadomości także dziś przy pracach nad systemem edukacji. Poznałem wielu

wspaniałych ludzi i nauczyłem się meandrow sztuki rządzenia. Trochę tylko, o czym wkrótce miałem okazję się przekonać.

– Twój pierwszy dzień w URM?

– Nic specjalnego. Nominację na dyrektora generalnego w URM (jak widzisz, nie awansowałem), podpisaną przez Jaruzelskiego, wręczył mi Messner. Zdzisław Drozd – wiceminister w URM ds. administracyjnych, z którym szczerze się przyjaźniłem i którego do dziś wspominam najlepiej, jak umiem, zadbał o mnie: pokój, sekretarka, samochód itp.<sup>2</sup>. Messner przywiózł ze sobą dwóch młodych chłopaków z katowickiego KW: Ryśka Wojtkowskiego (został dyrektorem gabinetu) i Marka Kossowskiego (jego zastępcę). Mnie powierzono zadanie skompletowania zespołu doradców/ekspertów, którzy mieli wspomagać wicepremiera w kształtowaniu względnie spójnej i racjonalnej polityki gospodarczej i nadzorowanie gabinetu. Wojtkowski nie bardzo chciał pogodzić się z rolą podporządkowanego, koncentrującego się w dużej części na sprawach kancelaryjnych. Chyba inaczej sobie to wyobrażał lub Messner nie wyraził się dość precyzyjnie. Ryśkowi ta sytuacja dokuczała, ale nie na tym musieliśmy skupiać uwagę. Poszedłem na pierwsze posiedzenie Rady Ministrów, które prowadził jeszcze Jaruzelski i zbaraniałem. Sala świetlikowa pełna. Kilkudziesięciu uczestników. Prezydium Rządu to drużyna piłkarska, 11 zawodników: premier + 9 wicepremierów (Messner od koordynacji gospodarki, Szałajda od przemysłu, Gorywoda od Komisji Planowania, Obodowski od zadań specjalnych, Malinowski – prezes ZSL, podlegało mu rolnictwo, Kowalczyk – prezes SD od drobnej wytwórczości, Rakowski od kultury i propagandy, Komender od PAX, Ozdowski od pozapaxowskiej inteligencji katolickiej), i Władysław Baka – pełnomocnik Rządu ds. reformy gospodarczej. Sześciu facetów od gospodarki, których biedny Messner miał koordynować, a którzy żadną miarą nie dali się skoordynować, bo wszak Malinowski i Kowalczyk to prezesi bratnich partii (rząd jest niby-koalicyjny), a Gorywoda to szef Komisji Planowania, która stanowiła osobne „państwo w państwie”. Baka – reformator to istota sama w sobie. Rozbudowane ministerstwa (gospodarcze ukształtowane według struktury branżowej), sterta dopowiadaczy. I zupełne curiosum – Stanisław Ciosek, który łączył funkcję ministra pracy i płac, a więc człowieka, który miał kontrolować wpływ pieniądza na zdewastowany rynek, i ministra ds. związków zawodowych, a więc rzecznika wszystkich roszczeniowych *lobbies*. To jak wkładanie spodni przez głowę. Ciosek chodził stale w jednym, mocno wymiętym garniturze i Messner zadrwił raz na posiedzeniu, ogłaszając zbórkę na jego *anzug*. Być może, ten drobny incydent zaważył na ich późniejszych relacjach. Nie znałem go w roli prezesa ZSP, poznałem, kiedy kierował partią w Jeleniej Górze. Zawiozłem tam wicepremiera radzieckiego i przewodniczącego KNIiT Kirilina. Strugi wazeliny, jakie wylewały się z ust Cioska na temat miłości do ZSRR i socjalizmu przekraczały nawet moją odporność, a byłem przecież przyzwyczajony do pustych, ideologicznych deklaracji. Po kilku miesiącach stał się eksponentem związkowych interesów w Rządzie. Organizacyjnie prowadził te posiedzenia mój pierwszy Szef – Zygmunt Rybicki, który z fotela Rektora UW przeszedł do administracji rządowej; był specjalistą od prawa administracyjnego, pasował jak ulał. Robił to dobrze,

<sup>2</sup> Zmarł – niestety – tuż po moim powrocie z Malezji – w 1992 roku.

ale lubił udowadniać swoje racje i czasami nadziewał się na skuteczne kontry ze strony prawników sejmowych lub prawniczej profesury. Posiedzenie otworzył premier Jaruzelski. Mówił około 40 minut o sytuacji politycznej w kraju.

– Co rozumiałeś, a czego nie rozumiałeś z tej lekcji?

– Zrozumiałem, że nic się nie składa. Rada trwała około 10 godzin, właściwie bez konkluzji. Na koniec Jaruzelski wygłosił kolejną tyradę mobilizującą. Jest trudno, będzie lepiej, albo nie. Znajdował zawsze kilka tematów i kilku nieszczęśników, których zganił albo za błędne decyzje, albo za zbyt wolne tempo. Zadeklarował nieustające poparcie dla reformy gospodarczej. Nie rozumiałem – i to mój największy błąd – że rzeczywistość AD 1983 tworzy w coraz większej mierze propaganda. Media, dla Generała najważniejsza była telewizja, ale też prasa i biuletyny informacyjne. A ja w ogóle nie przywiązywałem wagi do tego aspektu działalności. Mądra decyzja powinna obronić się sama. Profesor (będę tak czasem nazywać Messnera, by nie operować zbyt często nazwiskiem) myślał tak samo, ale to ja powinienem korygować jego podejście. Cóż, kiedy moja współpraca z dziennikarzami w Ministerstwie sprowadzała się do udzielania sfigowanych wywiadów, w których to ja stawiałem pytania i ja udzielałem na nie odpowiedzi. Dziennikarze dostawali gotowy tekst i brali wierszówkę. Nie stworzyliśmy więc własnego zaplecza dziennikarskiego, własnej tuby propagandowej. Przegraliśmy w efekcie w zderzeniu „księgowych z kuglarzami”<sup>3</sup>, choć to nie jedyna przyczyna porażki. Nie zauważyłem również bodaj największej słabości Generała – skłonności do kreowania rzeczywistości i wiary w tę wykreowaną rzeczywistość. A także budowania własnego wizerunku za pomocą aparatu propagandy. Dlatego tak wielki wpływ miał na niego Urban, może jeszcze Górnicki, Palimąka z KC, kilku dziennikarzy.

– Nie rozpędzaj się tak. Na ocenę przyczyn porażki masz całe 5 lat.

– Ta pierwsza Rada Ministrów, w której brałem udział, uświadomiła mi, że mamy nikłe pole manewru. Po pewnym czasie i kilku rozmowach uznałem, że jedynym rozwiązaniem jest powołanie kilku zespołów tematycznych od tzw. palących zagadnień, jak hamowanie wzrostu cen, czy kierunki polityki inwestycyjnej, zaopatrzenie rynku itp. W jednym z nich (zdaje się tym od inflacji i cen) znalazł się Grzegorz Kołodko – późniejszy wicepremier i minister finansów. Przygotował elaborat, ale starzy wyjadacze go wykpiłi, choć być może miał rację. On wiedział, że ja o tym wiem, a miał rozbudowane ego; myślę, że to zdarzenie wpłynęło na nasze późniejsze relacje.

Jakieś dwa dni po Radzie zaprosił mnie Szałajda na spotkanie z nadzorowanymi przez niego ministrami. Prowadził je w stylu roboczej odprawy dyrektora przedsiębiorstwa z kierownikami wydziałów. Ile, na kiedy, odpowiadasz głową. Nogi z dupy powyrywam i tak dalej. Na wzmiankę o reformie zareagował machnięciem ręki. Nie ma żarcia, benzyny ani papieru klozetowego, to nie czas na pustą gadaninę.

<sup>3</sup> Pod tytułem *Księgowi i kuglarze* ukazała się w 1993 r. książka Zbigniewa Messnera, charakteryzująca okres jego pracy w Rządzie (1983–1988), o której będzie jeszcze sporo.

- W przemówieniach Generała reforma była naszą największą nadzieją.

- W niedługim czasie obejrzałem posiedzenie Komisji ds. Reformy Gospodarczej. Powtórka z Rady Ministrów. Długie, pełne ozdobników wprowadzenie Generała. Dyskusja od Sasa do Lasa. Komisja skupiała bowiem najbardziej zagorzałych adwersarzy od Aleksandra Kopcia (były wicepremier) po prof. Cezarego Józefiaka – czołowego ekonomistę opozycji<sup>4</sup>. Każdy gadał, co chciał. Podsumowanie Jaruzelskiego w tym samym stylu. Życie gospodarcze kraju toczyło się wedle dwóch trajektorii: ręcznego sterowania (uzasadnionego w sporej mierze potrzebami przedsiębiorstw i obywateli), z drugiej strony – werbalnych zapewnień, przygotowywania przepisów, których nikt w praktyce nie respektował i medialnych akcji (np. konkursy na temat wiedzy o reformie), co miało ponoć przekształcić oporną rzeczywistość.

- Dość szybko wpuściłbyś Messnera w maliny, przygotowując jego wystąpienie na kolejnej naradzie na szczeblu centralnym, na której miał wygłosić swoje pierwsze przemówienie w nowej roli. Gdyby wygłosił przygotowany przez ciebie tekst, wyszedłby przed szereg. Naraziłby się nie tylko Pryncypałowi, ale i kolegom z Rządu, bo wydawałby dyspozycje, a to nie należało do jednego z dziesięciu, ale do tego, kto na piedestale. Uratował rzecz Szałajda.

- A Messner opisał tę historię w *Księgowych i kuglarzach*. Wydawało mi się, a nie powinno, że nowy wicepremier, obdarzony ksywą „koordynatora”, ma obowiązek zaprezentowania swojego programu, powiedzenia, co chce zrobić i jak. Nie rozumiałem, a powinienem, że może świecić jedynie światłem odbitym. I że zyskał już wiele, bo wygłasza cudzą mowę swoimi ustami. Z mojej pierwotnej wersji niewiele zostało, bo w konsultacyjnym dreptaniu powtarzaliśmy slogany dobrze znane i równie nieskuteczne. Spiesz się powoli. *Festina lente*.

- A Jaruzelski czytał każde wystąpienie Messnera i stosownie je korygował.

- Był jeszcze dwa lata premierem. Miał więc formalny tytuł ingerowania w każdy tekst, bo Profesor wygłaszał je w imieniu Rządu. Ale Messner i tak by je pokazywał, co zresztą robił już po nominacji. Generał był recenzentem i współautorem wszystkich jego wystąpień. Wszystkich z wyjątkiem ostatniego.

- We wtorki odbywały się posiedzenia Biura Politycznego. Ich większość poświęcano ocenie pracy Rządu, akceptacji lub odrzuceniu jego propozycji, jakby ten potrzebował partyjnego *imprimatur* dla każdego ze swoich poczynań. Dla członków Rządu i dopraszanych osób to był sądny dzień. Uzbrojeni w moc ferowania wyroków członkowie Biura i sekretarze KC mieli dwa obiekty swoich ocen i połajanek: organy Rządu oraz opozycję polityczną – tę wyraźnie zdefiniowaną, i tę – mniej wyraźną, ale dokuczliwą: dziennikarzy, ludzi kultury, członków różnych organizacji i stowarzyszeń. Członków BP było kilkunastu, potem nawet ponad dwudziestu. Jaruzelski, który I sekretarzem został po detronizacji Stanisława Kani w październiku 1981 r., dbał, by skład był „reprezentatywny”, stąd obecność

<sup>4</sup> Spotkałem go tuż przed śmiercią w szpitalu na Szaserów, gdzie leżał po ciężkim udarze lub wylewie. Poruszał się sprawnie, ale nie mówił. Zmarł po kilku dniach od naszej rozmowy na migi.

w kierownictwie Partii Albina Siwaka (murarza), Kazimierza Romanika (górnika), czy Zofii Grzyb (włóknarki) albo (gdyby wybrać kryterium terytorialne) Tadeusza Porębskiego z Wrocławia, Messnera z Katowic, czy Bejgiera z Gdańska. Połowa „nominatów” nie miała żadnego przygotowania do oceniania materiałów, na które składała się praca wielu grup specjalistów zatrudnionych w urzędach centralnych oraz dopraszanych dorywczo ekspertów.

– Oprócz Messnera członkami Biura byli też inni ministrowie. A on nie kierował żadnym resortem, jak taki współczesny Jan bez Ziemi. Wszystkich, z którymi później współpracowałem – oficjalnie lub prywatnie – ostrzegałem przed powtórzeniem takiej konfiguracji. Gdy posiedzeniem RM przewodniczył Jaruzelski, a miało to miejsce coraz rzadziej, stawiali się wszyscy. Gdy przewodniczył Messner jako wicepremier, któremu powierzono to zadanie, albo później, gdy był Premierem, kilku członków Biura demonstracyjnie nie brało w nim udziału. Ministra spraw zagranicznych (Olszowskiego, potem Orzechowskiego nie widziałem nigdy na sali świetlikowej) zastępował wiceminister Jaroszek (nudny przeraźliwie), czasem Wiejacz, Kiszczaka (MSW) – najpierw Straszewski, potem w większości Zbigniew Pudysz, a Siwickiego (MON) najczęściej generał Antoni Jasiński. Na posiedzeniach Rządu bez Jaruzelskiego rzadko zjawiał się Rakowski, a jeśli już przychodził, pisał swoje dzienniki. Szkoda, bo większość posiedzeń i tematów poświęcano sprawom gospodarczym, co nie było jego mocną stroną. Mógłby się czegoś nauczyć, ale nie chciał.

– Rakowski wrzucił wtedy do obiegu publicznego tezę, że Generał odpowiada za całość, Messner za gospodarkę, a on za nadbudowę. Profesor pisał w cytowanej książce, że popijali wówczas w trójkę z Rakowskim i Porębskim (co czasami się rzeczywiście zdarzało, a na co Rakowski szczególnie nalegał) i że plotkę o triumwiracie upowszechniał Urban. Stworzenie wrażenia przejrzystego podziału zadań – to był jego cel. Wtedy jednak nikt nie myślał, że Jaruzelski chce zrezygnować z premierowania. Dla was ważnym wydarzeniem była poznańska narada aktywu gospodarczego partii i państwa, która odbyła się w Poznaniu późną wiosną 1985 r. i została poświęcona ocenie reformy gospodarczej i zadeklarowaniu, co dalej. Głównym referentem był Baka, ale Komisja Planowania (Gorywoda i jego pierwszy zastępca Franek Kubiczek) i Messner też przygotowywali się do wystąpienia.

– To było dla mnie jedno z najtrudniejszych zadań przez cały okres pracy w Rządzie. Wiedziałem, że dalsza jazda dwoma torami nie jest możliwa. Odpowiedzialność za wdrażanie mechanizmów reformy, o ile ma się zakończyć powodzeniem, musi przejść Rząd i jego organy. Komisja ds. reformy spełniła (i chwala jej za to) rolę inicjatora zmian, przygotowała odpowiednie ustawy o samorządności i samofinansowaniu przedsiębiorstw, ale nie miała żadnej mocy sprawczej, by je wdrożyć. Gdyby zadanie to miał kontynuować Baka i Biuro ds. Reformy, musiałyby zostać wyposażony w instrumenty nadzoru, co spotkałoby się z oporem ministrów branżowych, nadzorujących ich wicepremierów i większości politycznego aparatu władzy, który z założeń reformy rozumiał tyle, że ma nas ocalić. Do przejścia odpowiedzialności paliła się Komisja Pla-

nowania i Messner przychylił się do takiego rozwiązania. Innego organu „ogarniającego” całokształt procesu reformowania nie było. Paradoksalnie, choć to rozwiązanie ratowało reformę przed unicestwieniem, wzbudziło burzenie wszystkich zaangażowanych w ten proces, w tym młodych, bardzo zdolnych ekonomistów i prawników z Biura ds. Reformy, którzy po latach obejmą ważne stanowiska w gospodarce, finansach, bankowości itd. Messner się gryzł, bo wiedział, że okrzykną go grabarzem reformy, ale z układania kostek domina, nic innego nam nie wychodziło, tylko takie rozwiązanie. I jeszcze do tego Komisja Planowania ze swoją złą, post-wrzaszczykową sławą. Wziął decyzję na swój grzbiet. Merytorycznie w porządku, propagandowo fatalnie.

– Ważnym czynnikiem było także stanowisko radzieckich. Baka cieszył się u nich złą opinią, na słowa o reformie gospodarczej reagowali, jak hierarchowie kościoła na odstępstwa od katechizmu...

– Tak. Messner jechał z pierwszą wizytą do Moskwy. Tuż przed wylotem zadzwonił Barcikowski, który uczestniczył w naradzie sekretarzy ekonomicznych państw socjalistycznych. Nikołaj Ryżkow (wówczas sekretarz ds. ekonomicznych w KPZR) zadeklarował: żadnych mechanizmów rynkowych nie będzie. Centralne planowanie jest dogmatem. Dobrze, że ostrzegł nas, inaczej Messner mógłby wdepnąć w g... Podczas tej wizyty poznałem kilku radzieckich dostojników, zajmujących się gospodarką: Bajbakowa – przewodniczącego Gosplanu, Tałyżina od przemysłu i Ryżkowa – późniejszego premiera. Rozpoznawcze rozmowy. Stało się jednak jasne, że zbytnej skłonności do reformowania nie można było ujawniać.

– Naradę poznańską poprzedziło jeszcze jedno wydarzenie, które o mały włos nie zmieniłoby waszych losów. Samochód, którym Profesor wracał z Katowic do Warszawy, wpadł w poślizg, a wypadek omal nie skończył się tragicznie.

– Messner miał złamany kręgosłup, a złamanie groziło paralizem. Wypadek miał miejsce koło Rawy Mazowieckiej. Okrutna ślizgawica. Operował go prof. Tylman, którego też znałem, bo on – podobnie jak Puzewicz – był przyjacielem prof. Tadeusza Orłowskiego. Na następny dzień zwołano naradę wojewodów. Messner miał przemawiać, tekst jego wystąpienia przekazałem Rakowskiemu, na którego spadł ten obowiązek. Wygłosił coś od siebie, a potem wiernie przeczytał to, co dostał. Messnera wsadzono w gorset, a wszyscy z niepokojem czekaliśmy na pooperacyjny wyrok. Podczas tej narady minister zdrowia Tadeusz Szelachowski podał mi kartkę: wysikał się. Chmurne, jak zwykle, oblicze Generała wypogodziło się. Profesor miał miesiąc przerwy i wrócił do obowiązków; najtrudniejsze okazały się narady i posiedzenia, bo gipsowy gorset obejmował całe ciało od kości ogonowej po szyję. Trwał jednak na posterunku, a Generał polecił, by przeprowadził się do Warszawy. Wyfasowano mu willę na Nowym Mieście, skonfiskowaną Kuklińskiemu po ucieczce do USA. Byłem w tym domu wielokrotnie przed adaptacją dla potrzeb nowego właściciela i przeprowadzką, a potem wielokrotnie, gdy mieszkali tam Messnerowie. Proszę więc nie przekonywać mnie, że pensja pułkownika LWP pozwoliłaby Kuklińskiemu na wybudowanie czterokondygnacyjnego domu i zakup całkiem luksusowego jachtu. I że ucieczka z kraju przy pomocy Ambasady USA była aktem spontanicznym, zrodzonym z troski o polskie sprawy, jak to przedstawiono w filmie „*Jack Strong*”. Wg informacji z bezpieki, Kukliń-

skiego zwerbowano podczas pobytu w misji wojskowej w Wietnamie, ale nie dam głowy za jej prawdziwość. Czasem, a trochę przecież wiedziałem o pracy wywiadów, myślałem tylko, w jaki sposób jego majątek, podróże i zajęcia uszły uwadze radzieckich służb specjalnych. No i naszych. Pracował na dwie strony? Jak Bażanow? Siła nieczysta? Tego się jednak nigdy nie dowiem.

- Dopóki Jaruzelski był premierem, ataki na Rząd nie przybierały jeszcze ostrej postaci. Nikt nie chciał narażać się Szeferowi Szeferów (tak nazywał go Janiszewski) sprawującemu władzę jak Bóg Ojciec w trzech osobach: I sekretarza KC, premiera i ministra obrony. Gorzkie żale płynęły tylko ze strony zawiedzionych pracowników Biura ds. Reformy. Baka przesiadł się na fotel prezesa NBP, całkiem wygodny. Zabrał kilku swoich współpracowników, między innymi Jurka Kochańskiego<sup>5</sup>. Reszta znalazła wcześniej lub później swoje miejsce.

- A Generał do końca trzymał w tajemnicy swoją rezygnację i posadowienie Profesora na fotelu premiera. Nominacja w listopadzie 1985 r. była więc zaskoczeniem dla publiczności, choć tu i ówdzie pojawiły się przecieki. Rząd pracował na jałowym biegu, jedne wskaźniki poprawiały się, inne spadały. W mediach ukazywały się comiesięczne informacje o sytuacji gospodarczej<sup>6</sup>. Podawano prawdziwe dane, ale ich interpretacja bywała czasem naciągana. KC i Komisja Planowania miały skłonność do bardziej optymistycznego widzenia rzeczywistości niż GUS. Wydaje mi się, że pewien wpływ na nominację Messnera miała także obawa Generała przed reakcją radzieckich w przypadku wyboru któregoś z osób uznawanych za „reformatorów”. Nie pozbył się jeszcze kilku prominentów uznawanych za zwolenników zaostreżenia kursu wobec opozycji i mających „chody” w Moskwie. W tym generałów Molczyka, Chochy, Sawczuka.

- Zmieniłeś partnerów politycznych. To już nie Wydziały Nauki i Oświaty oraz Zagraniczny objęły cię jak worek treningowy. Tę rolę pełnił teraz Wydział Ekonomiczny KC PZPR.

- Nastąpiła jednak wyraźna zmiana. Może inni ludzie, a może inne czasy, jechaliśmy zresztą na tym samym wózku. Za sprawy ekonomiczne w Biurze Politycznym odpowiadał Kazimierz Barcikowski, rozumiejący bodaj najlepiej sytuację w kraju i – po swoich szczecińskich doświadczeniach – bardzo obawiający się rozlewu krwi. Wydziałem Ekonomicznym kierował Stanisław Gębała, z którym mieliśmy koleżeńskie relacje, gdy został ministrem pracy. Rodzina została w Tarnowie, skąd pochodził, więc jako sromiany wdowiec, zapraszał mnie i Zdzisława Drozda na kielicha i pogawędkę. Kierujący poprzednio wydziałem i mającym spory wpływ na Generała Manfred Gorywoda

<sup>5</sup> Mieszka teraz wraz z żoną, Basią, w Orłowie, blisko dawnego domu Stiebalów. Kiedy tam jesteśmy wspominamy dawne czasy przy piwie i smażonych rybkach.

<sup>6</sup> Przewodniczyłem zespołowi, który zatwierdzał te sprawozdania. Brał w nich udział dr Andrzej Ochocki, specjalista z zakresu statystyki i demografii, potem profesor w Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego, z którym do dziś łączę mnie autentyczna przyjaźń i wspólne wspomnienia. Jeszcze o tym będzie.

został już w 1983 r. przewodniczącym Komisji Planowania, jego pierwszym zastępcą – Franciszek Kubiczek też z wydziałowym rodowodem. Franka poznałem wcześniej, był kolegą Edka Wojtulewicza (Jontka), o którym wcześniej opowiadałem. Pijaliśmy trochę, choć Franek niewiele, on miał i ma nadal ascetyczne usposobienie. Ci, którzy kierowali Wydziałem: Marek Hołdakowski (przyszły kierownik), Edek Kuczera, Krzysiek Chinowski i ich współpracownicy to młodzi chłopcy, którzy nie nabyli jeszcze dygnitarskich nawyków, od początku byliśmy na „ty”, porozumiewaliśmy się przed posiedzeniami BP, bo powiedzenie „nagrody i kije spadają zawsze na niewinnych” w równym stopniu stosowało się do nich i do nas. Uzgodnienie opinii przychodziło łatwiej niż w moim poprzednim wcieleniu. Oceny ze strony Biura rzadko bywały pochlebne. Równy dostawaliśmy w kość, żeby nie powiedzieć inaczej.

– Może już czas, byś opowiedział o swoich refleksjach na temat Generała. Tyle krąży kontrowersyjnych, przeciwstawnych ocen.

– Kilka lat po przesileniu ustrojowym spotkaliśmy się u Kazimierza Barcikowskiego w jego domu, wąskie grono, zdaje się, że to spotkanie miało związek z wydaniem jego biograficznej książki, niesłusznie zapomnianej<sup>7</sup>. Siedzieliśmy obok siebie, a rozmowa krążyła – jak często – wokół osoby Generała. Barcikowski półgłosem powiedział do mnie: Jaruzelski, tak, to smutna sprawa. Zgadzam się z tym.

– To znaczy...

– Gdyby brać pod uwagę efekty polityczne, bez wątpienia miał rację. Obie decyzje oceniam bardzo wysoko...

– I tę o stanie wojennym też?

– Patrzę na nią z perspektywy historycznej, bo historią się dziś zajmuję. Na terenie zaboru rosyjskiego powstania wymierzone przeciw Rosji wybuchały ze zdumiewającą regularnością, plus minus co trzydzieści kilka lat. O innych zaborach nie ma co wspominać, wszelkie próby insurekcji wypadały tam dość rachitycznie. A w rosyjskim: 1794 – kościuszkowskie, 1830 – listopadowe, 1863 – styczniowe, 1905 – w Rosji rewolucja społeczna, ale w Polsce także narodowa<sup>8</sup>. Pierwsza wojna światowa i wojna bolszewicka zakłóciły nieco tę regularność, ale powstanie warszawskie wybuchło po dwudziestu kilku latach od „cudu nad Wisłą”. Choć militarnie wywołane przeciw Niemcom, politycznie wymierzone było w Sowietów<sup>9</sup>. A w 1981 r. – wypisz, wymaluj trzydzieści lat z okładem od powstańczej tragedii Warszawy. Toczono wtedy spór z gatunku „być albo nie być”. Wejść Rusczy czy nie wejść? Dziś przeważa pogląd, że jednak nie, ale wtedy... A gdyby weszli, to co?

<sup>7</sup> Kazimierz Barcikowski (1927–2007), *Z mazowieckiej wsi na szczyty władzy*, Wyd. Projekt, Warszawa 1998.

<sup>8</sup> W *Weselu* Wyspiańskiego, Gospodarz po spotkaniu z Wernyhorą posyła Jaśka na wojnę nie z austriackim cesarzem, lecz z rosyjskim samodzierzącą. Popatrz, oni w Galicji, żeby usprawiedliwić lojalizm wobec Najjaśniejszego Pana, wysyłali tych z Kongresówki na wojnę z Moskałem! (Stanisław Wyspiański, *Wesele*, [w:] *Dramaty wybrane* t. 1, Wyd. Literackie, Kraków 1972, s. 276).

<sup>9</sup> Por. m.in. Hanns von Krannhals, *Powstanie warszawskie 1944*, Bellona Warszawa 2017.

- Chcesz pogrzebać w historii. Przypomnisz zapewne, bo często to opowiadasz, zebranie „białych” pod przywództwem Kronenberga w grudniu 1862. Deliberowali, co zrobić, by je zatrzymać i co zrobić – jak wybuchnie. Wtedy Jakub Gieysztor – przywódca „białych” na Litwie (a „biali” nie chcieli walki zbrojnej) powiedział: „Jestem tak przeciwny powstaniu, że wolałbym zginąć tu, pod sztyłem zapaleńców, jak zdrajca okryty hańbą, byle tylko nie dopuścić do wybuchu. Ale – gdy powstanie wybuchnie – będę z narodem. [...] nie oszukujcie samych siebie. Nie tylko ja, ale każdy z was to samo zrobi”<sup>10</sup>. Powiesz, bo wielokrotnie to mówiłeś, że zachowania Polaków zdominował imperatyw kategoriowy, każący im wzniecać walkę wbrew logice, polityce, statystyce i czemuś tam jeszcze. Wszystkie powstania narodowe zostały okupione ofiarami dalece niewspółmiernymi do osiągniętych efektów. Choćby w powstaniu warszawskim – 1,5 tysiąca zabitych Niemców, 18 tysięcy zabitych powstańców i około 180 tys. (albo i więcej) ludności cywilnej. Kwiat inteligencji polskiej. Kupa gruzów ze stolicy.

- Inteligencja polska w znacznej części jest – niestety – przekonana, że to opłacalna ofiara złożona za podtrzymanie polskiego ducha<sup>11</sup>. Dla Wojciecha Jaruzelskiego ta decyzja nie miała jednak tylko teoretycznego charakteru. Co zrobić, gdy rebelia wybuchnie 17 grudnia, a Ruscy wkroczą? Stać na jej czele i wziąć odpowiedzialność za setki tysięcy ofiar, być z narodem? Czy zostać napiętnowany jako zdrajca, po wsze czasy, gorszy niż inni zdrajcy, których w historii Polski nie brakowało? Polska świadomość zbiorowa taki wyrok z pewnością by wydała<sup>12</sup>. Czy Jaruzelski zdawał sobie sprawę z historycznych uwikłań podejmowanej decyzji, tego nie wiem. Ale w grudniu 1981 roku przerwany został wieloletni, dramatyczny łańcuch cyklicznych powstań narodowych, prowadzący do coraz większego zniewolenia i coraz liczniejszych ofiar. Od czasów saskich po raz pierwszy rozwiązaliśmy ten dylemat sami, nie zrobił tego za nas obcy ciemniejszy. Niektórzy sądzą, że wewnętrzny konflikt zakończony prawie bezkrwawo jest gorszy niż okupiona hektolitrami krwi klęska w walce z zewnętrznym wrogiem. I trauma na dwa stulecia. Daj im, Boże, zdrowie...

- Druga decyzja, ta o oddaniu władzy „Solidarności”, nie budzi już twoich wątpliwości?

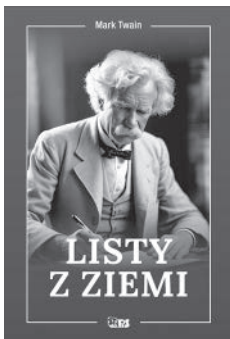
- Sama decyzja nie. Większość Polaków tak sądzi. Dobrze się stało, mimo różnych skutków tych przekształceń. To jednak nie obciąża już Jaruzelskiego. ■

<sup>10</sup> Cytuję za Stefanem Kieniewiczem *Powstanie styczniowe* [w:] *Trzy powstania narodowe*, KiW, Warszawa 2006, s. 342–343.

<sup>11</sup> To m.in. pogląd prawnicowego historyka Andrzeja Nowaka, prezentowany w wielu jego książkach i w publicystyce. Z utęsknieniem czekam na kolejny tom *Dziejów Polski* obejmujący powstanie warszawskie i początki władzy ludowej. Podobne przekonania podzielał Jarosław Marek Rymkiewicz, choćby w *Kinderszenen*, Wyd. Sic! Warszawa 2008.

<sup>12</sup> Wykorzystałem fragmenty własnego artykułu „Jaruzelski – smok wawelski”, [w:] Andrzej Żor, *O historii, kobietach i kotach*, Biblioteka „Res Humana”, Warszawa 2022, s. 41–45.

# RECENZJE



## Refleksje z lektury *Listów z Ziemi* Marka Twaina

Mark Twain, *Listy z Ziemi*, wyd. Stapis, Katowice 2024, tłum. Juliusz Kydryński, Robert Kurpios, zespół, 262 strony.

Ta chwila musiała nadejść. Alinka (wnuczka) śpiewała (śpiewa dobrze) dziecięcą piosenkę i coś w tej piosence trąciło siarką. Po krótkiej wymianie zdań pyta: jak to nie ma boga? Jej wyraz twarzy uświadamiał dobitnie, że wpadłem, że jest kłopot. Potem rozmowa z synem. W jego dwóch domach, w tym który stworzył i tym, z którego wyszedł, kwestię religii traktowano „pragmatycznie”: ani z nią, ani o nią nikt nie walczył. Syn wyjaśnia, że Alinka przechodzi fazę pytania o śmierć i jakoś trzeba jej pomóc. Pomaga więc proboszcz, a mnie przychodzi na myśl ten, który namawiał swojego kandydata, żeby wobec mojego kandydata użył bokserkiej kompetencji. Ja wiem, on żartował. Ale po żartach ich poznanie, a najzdolniejszy pośród nich żartuje ze swojego kantoru w Toruniu. Jednak oni mają dla Alinki odpowiedź, a ja – nie. Res Humana! Mam problem.

Ich odpowiedź brzmi – NIEBO. Ja czerpię mądrość z dzieł George’a Friedricha Hegla, a ten jasno mówi, że lęk przed śmiercią jest niegodny człowieka rozumnego. Panie Jerzy, niech pan to powie Alince. Pocieszenie małej to imperatyw nakazujący kompromis ze światopoglądem, ale brak mi konceptu. NIEBO to w sumie dobra odpowiedź, tyle że Alinka zaraz o to niebo zapyta: jak tam jest, co tam jest, tymczasem jedno co o NIEBIE wiem na pewno to to, że tam się ciągle śpiewa. Skąd wiem? To wiedza powszechna i ta powszechna wiedza budziła też zdziwienie Marka Twaina, którego literacki porte parole – Szatan-tak rzecz relacjonował w jednym z listów z ziemi: „W niebie stworzonym przez człowieka wszyscy śpiewają! Człowiek, który nie śpiewał na ziemi, tam śpiewa (...) Te powszechnie śpiewy nie są dorywcze ani przypadkowe, ani nie przerywają ich chwile ciszy; ciągną się przez cały dzień, każdego dnia (...) Śpiewa się tylko hymny. Ba, śpiewa się tylko jeden hymn. Słowa są zawsze te same, jest ich około tuzina, nie ma w tym rytmu, nie ma poezji: «Hosanna, hosanna, hosanna...» (...) Równocześnie wszyscy grają na harfach – te miliony ludzi! I co ważne, „w ludzkim niebie nie ma żadnych praktyk umysłowych” (s. 25, 28).

Listy z Ziemi pisze Szatan do swoich kolegów świętego Michała i świętego Gabriela. Znalazł się tu wygnany przez Stwórcę na „jeden dzień niebiański” w karze za notoryczne krytykowanie dzieła stworzenia, o czym „jacyś zwyczajni aniołowie donieśli do Kwatery Głównej”. Początek korespondencji

oddaje ducha wszystkich 11 listów: „To jest dziwne, niezwykle i interesujące miejsce. Nic tutaj nie przypomina tego, co jest u nas. Wszyscy ludzie są obłąkani, inne zwierzęta też są obłąkane, ziemia jest obłąkana, sama natura jest obłąkana. Człowiek to istota ogromnie ciekawa. W sycy najwyższych wlotach jest czymś w rodzaju anioła bardzo niskiej rangi, w swoich najgorszych upadkach – czymś niewyraźnym i niewyobrażalnym. A przecież otwarcie i zupełnie szczerze nazywa siebie *najszlachetniejszym dziełem boga*. Naprawdę. (...) Wierzy w to i w całym jego rodzie nie znalazł się nikt, kto by się z tego wyśmiał” (s.22). Szatan z niemą satysfakcją opisuje schrzaniiony projekt Stwórcy, schrzaniiony do tego stopnia, że konieczny był reset, w związku z czym Noe otrzymał polecenie zbudowania statku, co zresztą uczynił niechlujnie.

Pierwsza refleksja z lektury skłania mnie do spojrzenia na problem z pewnego dystansu. Wojna wypowiedziana Religii przez Rozum zepchnęła religię do defensywy. Ale początkowy optymizm co do szybkiego i całkowitego triumfu Rozumu zniuanował się. Swoje pełne szyderstwa i irytacji antyreligijne teksty Twain pisał jednak do szuflady, a i spadkobiercy mieli wątpliwości, czy je publikować. Opublikowane zostały ponad 50 lat po jego śmierci (1962). Tak było w Stanach Zjednoczonych, gdzie religia nie była zinstytucjonalizowana w jednolitej strukturze, ale pętała jednostkę powszechnym przekonaniem, że jedynym źródłem moralności jest religia, a sąsiedzkie oko strzegło moralności (w numerze 4/2024 „Res Humana” omawiam książkę<sup>1</sup>, której autorka opowiada, jak powoli i od niedawna rozluźnia się w Stanach ten gorset środowiskowej presji uczestnictwa w Kościele).

U nas sprawa wydaje się prostsza. Kościół Katolicki niemal otwarcie utrudnia racjonalizację życia społecznego poprzez niechęć do demokracji wyrażającą się poparciem dla ruchów populistycznych, niechęcią do Unii Europejskiej, cenzurowaniem edukacji... To czyni w Polsce konflikt między Rozumem i Religią czytelnym. Jednak i w Polsce mamy do czynienia z głębszym planem, podobnym do tego amerykańskiego. Przytoczę dwa epizody tłumaczące o co chodzi.

W 2012 roku sąd ukarał grzywną 5000 zł panią Dorotę Rabczewską za obrazę uczuć religijnych, jakiej dopuściła się, mówiąc: „ciężko wierzyć w coś, co spisał ktoś napruty winem i pałący jakieś zioła”, a mówiła o Biblii. Sąd drugiej instancji utrzymał decyzję w mocy. Decyzję sądów wsparł w 2015 roku Trybunał Konstytucyjny, który uznał, że artykuł 196 Kodeksu karnego („obrazę uczuć religijnych”) nie ogranicza wolności słowa i odrzucił tym samym skargę pozwaną. Pani Rabczewska wniosła o rozstrzygnięcie sprawy do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka w Strasburgu, który w 2022 roku orzekł, że Polska naruszyła Jej prawo do wolności wypowiedzi i przyznał zadośćuczynienie w wysokości 10 000 €.

Oto, co o Biblii przeczytamy w *Listach z Ziemi*: „Jest to księga bardzo interesująca. Zawiera wiele szlachetnej poezji, trochę pomysłowych baśni, trochę ociekających krwią historii, trochę pożytecznych morałów,

<sup>1</sup> Piotr Stefaniuk, *Wierzący i niewierzący. Dialog i tożsamość. Nie u nas – w Ameryce*. Wspomniana książka to: Katherine Ozment, *Dusza bez Boga. W poszukiwaniu sensu, celu i wspólnoty w świeckim życiu* (tłum. Piotr W. Cholewa). Wydawnictwo Stapis, Katowice 2021.

mnóstwo nieprzyzwoitości i ponad tysiąc kłamstw” (s.28). Ten sam Rycerz, który pozwał panią Rabczewską (a przecież wiadomo kto to), powinien pozwać Wydawcę *Listów z Ziemi*. Gdzieś ty?! Dorota Rabczewska została skazana wyrokiem nie Kościoła Katolickiego w Polsce, ale wyrokiem polskich świeckich sądów włącznie z tym najważniejszym. Na tym właśnie polega głęboka penetracja życia społecznego przez religię, nawet gdy ta nie występuje na pierwszym planie.

Drugi epizod jest bardziej drastyczny. Doktor Gizela Jagielska przeprowadziła w szpitalu w Oleśnicy zabieg aborcji ratujący pacjentce życie zagrożone decyzjami lekarzy innej placówki, sparaliżowanych czy też przekonanych przez „obrońców życia”. Tym razem nie wymiar sprawiedliwości, ale „koledzy” wydali wyrok: straciła stanowisko i pracę. To wydaje się bardziej bolesne niż fizyczna agresja, jakiej dopuścił się wobec doktor Jagielskiej europoseł Braun.

Te poruszające przypadki religijnej aberracji wzięte z „teraz” mówią coś ważnego, coś co pozostaje w polemice z *Listami z Ziemi*. Dziś inaczej rozłożone są akcenty polemiki Rozumu z Religią (to przecież założycielski problem „Res Humana”). Wiemy, że poza polem oczywistej niezgodności między Rozumem a Religią, na którym stawką sporu jest uwolnienie życia społecznego od szantażu religijnych absurdów, rozciąga się psychologiczna przestrzeń metafizycznej potrzeby. Twierdzenie, że matką religijności jest ignorancja, jest dzisiaj zbyt proste.

Redaktor polskiego wydania *Listów z Ziemi* i tłumacz części zawartych w tomie tekstów, Robert Kurpius, we wstępie do książki zacytował wartą zapamiętania myśl Twaina: „Wiara to wierzenie w to, o czym wiesz, że nie istnieje”. Moja druga refleksja z lektury krąży wokół tego zdania, ale nie mam pewności, czy Mark Twain podpisałby się pod nią, sądzę, że raczej nie. „Potrzeba sensu” to potrzeba gatunkowa, ale tworzy pustą przestrzeń, co pozwala wypełniać ją dowolną treścią. Ta przestrzeń jest konsekwencją rozumności, tyle że „rozum praktyczny” dający nam siłę w zmaganiu z naturą, przestrzeni sensu nie może wypełnić, więc znalazł tu pole „rozum niepraktyczny” i snuł swoje opowieści, tworząc fikcje spojone swobodną logiką, bo nie tą matematyczną, choć mogą gościć w niej i matematycy. To przestrzeń adowodoliwa i adialogiczna. Im bardziej poszerza się ludzki horyzont wiedzy, tym trudniej o „sens”: tu bije źródło paniki przed Rozumem i w tym kontekście ta panika jest uzasadniona, tyle że przerażają jej koryfeusze. Pokonanie religii nie unieważnia „pytania o sens”. Stawia je na nowo i może budzić gniew z lęku, bo nie stawia drogowskazów. Być może dlatego, choć w *Listach...* drwi bezlitośnie ze swoich protestanckich pobratymców wierzących w biblijny obraz świata i człowieka, Twain tekstu nie publikuje. Może bał się losu, jaki spotkał Thomasa Paina, autora wydanej w styczniu 1776 roku (w nakładzie 100 000 dla dwuipółmilionowej populacji) broszury *Common Sense*, iskry, która w lipcu zdetonowała amerykańską rewolucję republikańską. Ten bohater rewolucji kilka lat później (1807) opublikował dzieło w duchu Oświecenia pod tytułem *Wiek Rozumu*, pochwałę rozumu skierowaną przeciwko religii objawionej i Biblii. Uznano go za bluźniercę, który uderzył w religijne uczucia narodu. Jego pogrzeb w 1809 roku zgromadził ledwie kilka osób.

Może więc z uczuciami narodu trzeba jak z uczuciami Alinki? Panie Marku, przecież Pan umie rozmawiać z dziećmi, pisał pan dla nich i one to chłonęły. Co Pan powiedziałaby Alince?

PS. Ukazanie się *Listów z Ziemi* jest ważnym wydarzeniem literackim ze względu na recepcję twórczości Marka Twaina w Polsce, pozwalającym ujrzeć Go w innym świetle, niż dotychczas miało to miejsce. Na fakt ograniczonej znajomości u nas dzieła tego pisarza zwracał już uwagę Juliusz Kydryński, tłumacz *Listów...*, w przedmowie do ich wydania z 1966 roku. Obecny zbiór obejmuje również teksty dotąd nieobecne w tłumaczeniach. Ten mniej znany Mark Twain to głęboki sceptyk patrzący na człowieka z niewiarą, raczej sarkastycznie niż z humorem: człowiek to istota z istoty ułomna. Jego krytyka religii to bardziej krytyka człowieka jako takiego, aniżeli samej religii. Blisko mu do Schopenhauera. Ale to już temat bardziej na seminarium niż na esej.

**Piotr STEFANIUK**



## Warmiacy

Joanna Wilengowska, *Król Warmii i Saturna*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2024, 165 stron.

Joanna Wilengowska – pisarka i dziennikarka, założycielka pisma literackiego „Portret” jest autorką kilku książek (m.in. *Ja-pońskiej wioski i Zębów*), ale popularność przyniosła jej dopiero trzecia – *Król Warmii i Saturna* (2024), za którą zdobyła Nominację do Paszportów „Polityki”, Europejską Nagrodę Literacką „Angelus”, Nagrodę na Festiwalu w Gdyni w kategorii esej i Nagrodę Literacką Warmii i Mazur. Ta niepozorna, licząca niewiele ponad 160 stron (z aneksem zawierającym „słówka i powiedzonka”) książka zdobyła uznanie publiczności i krytyki za prezentację niewielkiej, warmińskiej grupy etnicznej i za oryginalny język – mieszaninę warmińskiego, polskiego i niemieckiego. Jej bohaterami są dwie osoby: Ojciec i Córka, zajmujący niewielkie mieszkanie w olsztyńskim wieżowcu. Ojciec to tytułowy król Warmii i Saturna. Córka przejęła po nim świadomość swojej narodowościowej odrębności. Demografowie mogliby się zżymać: a cóż to za grupa, gdy deklarujący podczas spisu powszechnego narodowość warmińską to zaledwie sto czterdzieści osiem osób. Z takimi ankietami bywa jednak różnie, często wyniki zależą od postawionego pytania. Podobnie bywa z plebiscytami. W 1920 r. podczas plebiscytu o przynależność do Polski lub Niemiec zapytano głosujących o wybór między Polską a Prusami. Wilengowska tak to opisuje: „Jakich welunków (wyborów) dokonywali moi przodkowie? W plebiscycie w 1920 roku zapisanym w traktacie wersalskim [...] moi praszczurowie głosowali za Prusami Wschodnimi. Bo na karcie do głosowania nie było napisane Polska i Niemcy, tylko Polska i Prusy Wschodnie. Głosowali racjonalnie, za swoją ojczyznę. Mieszkali na Warmii, w Prusach Wschodnich; wpływy polskie skończyły się tu w 1772 roku. Nawet nie wiem, czy o tym pamiętano, nie sądzę”<sup>1</sup>. Władze zajęte wojną z bolszewikami, z Piłsudskim zapatrzonym w Kresy, nie zabrały o należytą organizację i agitację za polskością tych ziem.

<sup>1</sup> Joanna Wilengowska. *Król Warmii i Saturna*, Wyd. Czarne, Warszawa 2024, s. 76.

Polacy często myślą Warmię i Mazury, tej drugiej używając na określenie całego regionu. Tymczasem różnice są znaczne: Warmia to dawne Prusy Królewskie, należące do Korony Polskiej (jako jej prowincja) od czasów pokoju toruńskiego, a więc od 1466 r. Mazury zaś to Prusy Książęce, powstałe po „hołdzie pruskim” z 1525 r. W roku 1618 zostały połączone unią z Brandenburgią, od 1657 r. stały się – jako odrębne państwo – lennem Rzeczypospolitej. W 1701 r. przekształciły się w Królestwo Prus. Choć Prusy Królewskie obejmowały – obok Warmii – także Pomorze Gdańskie, ziemię chełmińską i ziemię malborską, to Warmia stanowiła wydzieloną strukturę – dominium chełmińskie, podległe miejscowym biskupom. Najważniejsze miasta Warmii to Olsztyn (dziś stolica województwa warmińsko-mazurskiego), Braniewo, Orneta, Lidzbark Warmiński, Biskupiec, Reszel, Dobre Miasto, Barczewo, Pieniężno, Frombork. Mazury, nazywane krainą wielkich jezior, obejmują miasta (poza należącymi obecnie do Rosji, w tym Królewcem): Ełk, Ostróda, Mrągowo, Giżycko, Kętrzyn, Szczytno, Działdowo, Pisz.

Warmia była katolicka, Mazury ewangelickie. To bodaj różnica najważniejsza obok odmiennego statusu państwowego w XVI i XVII w. Ale i tak obie krainy weszły w skład Królestwa Prus po I rozbiornie w 1772 roku. Gdyby szukać innych różnic: Warmia to historia i kultura, tu mieszkali i działali Mikołaj Kopernik i Ignacy Krasicki (ksiądz biskup warmiński), Eneaszy Sylwiusz Piccolomini (późniejszy papież Pius II), Stanisław Hozjusz, Jan Dantyszek i Marcin Kromer. „[...] Na tle europejskim dorobek umysłowy Warmii, jej wkład w ogólnopolskie dziedzictwo kulturalne jest o wiele znaczniejszy niż wskazywałoby na to jej niewielkie terytorium. Mazury to przede wszystkim *kraina wielkich jezior* znana z ruchu turystycznego”<sup>2</sup>. Tu znajdują się największe polskie śródlądowe akweny, z jeziorem Śniardwy na czele. Warmia jest pod tym względem uboższa. Największe z jezior Łańskie i okoliczne lasy znane były w czasach PRL tylko nielicznym, tu mieścił się owiany tajemnicą ośrodek dla najwyższych osobistości partyjnych i państwowych oraz ich zagranicznych gości. O tereny do polowania dbał za czasów Gierka i Jaroszewicza dyrektor biura administracyjnego URM Kazimierz Dosekoczyński, który mocno dał się we znaki mieszkańcom tej ziemi. Wielu wyjechało, odebrano im ziemię.

Najtrudniejsze dla Warmiaków lata to wkroczenie Armii Czerwonej na tereny Warmii i Mazur. Autorka sięga do rodzinnych wspomnień: „Prusy Wschodnie jako pierwsze przyjęły impet walczącej na zachód Armii Czerwonej, w której, owszem, byli też Ukraińcy. Wszystkich miejscowych traktowała jako Niemców i Niemki; nie mieli szans. Wszyscy byli Germanami. Mordy i gwałty, rabunki, plądrowanie, wymuszanie. I jeszcze raz, i kolejny, w potępieńczej repetycji, mordy i gwałty. Podpalanie domów i ludzi. Zakopywanie żywcem, odrąbywanie części ciała. Sranie na stoły, żeby zostawić pamiątkę. Pełny repertuar wojennej grozy. Produkcja traum na kilka pokoleń, ot tak, jak splunąć”<sup>3</sup>.

Joanna i Zygfryd Wilengowscy są świadomi odrębności swojej rodziny, jej losów i własnej warmińskiej tożsamości. Spojrzenie na ludność Warmii *in corpore* nie potwierdza tej konstatacji. Dziś większość mieszkańców tej ziemi to ludność napływowa, głównie migranci z terenów południowo-wschodniej Polski, przesiedleni na te tereny po akcji „Wisła”. Gros ludno-

<sup>2</sup> Wikipedia: Starostwo powiatowe w Olsztynie. Warmia krainą historyczną.

<sup>3</sup> Joanna Wilengowska. op. cit., s. 99–100.

ści autochtonicznej wyjechało w różnym czasie, część ewakuowała się pod koniec wojny, część po poluzowaniu polityki emigracyjnej w latach Edwarda Gierka, raczej ze względów ekonomicznych niż politycznych. Migracje, różne ich przyczyny, dramatyczne wojenne wspomnienia sprawiły, że na Warmii zmniejsza się liczba Warmiaków. Ci, którzy zostali, czują swoją obcość w obliczu ludnościowych i kulturowych transferów. „Obcy we własnym domu. Tak chyba można określić sytuację, a zarazem stan ducha ojca. Warmiacy musieli zmienić kraj, porzucić go. I to w równym stopniu ci, którzy wyjechali, jak i ci, którzy zostali. Zostali na miejscu, ale już nie u siebie. Także ci, którzy wyjechali, już nigdy nie byli u siebie. Nie mogli mówić, że są tutejsi, już nie byli tutejsi nigdzie”<sup>4</sup>. Przypomniało mi to opowieści mojego nieżyjącego Przyjaciela, notabene profesora językoznawstwa, urodzonego w Czerniowcach na północnej Bukowinie, w latach gdy Bukowina należała do Rumunii (dziś do Ukrainy). Wyemigrował do Polski z rodzicami, utożsamiającymi się z polskością. W Polsce uważano go za Rumuna, w Warszawie (gdzie studiował) za Ślązaka, w Monachium, gdzie pewien czas pracował, za Polaka. Wszędzie był obcy. Jak widać narodowa, nacjonalistyczna identyfikacja niesie za sobą ryzyko kolosalnego błędu.

Ojciec i Córka utożsamiają się ze swoją „małą ojczyzną”. Jednym, być może głównym jej wyróżnikiem jest język. Starannie odnotowują i konserwują słownictwo, formy gramatyczne, różnice fonetyczne. Znow odwołam się do przyjacielskich doświadczeń: rodzice mego Przyjaciela porozumiewali się w wielonarodowej społeczności w Czerniowcach w pięciu językach, w zależności do tego, gdzie i z kim rozmawiali: w urzędzie po rumuńsku, w banku po niemiecku, na bazarze lokalną odmianą jidysz, na wsi po ukraińsku, w domu po polsku<sup>5</sup>. Warmiacy swobodnie używają polskiego, niemieckiego i własnego – warmińskiego. Ale nie tylko chodzi o język. Przechowują własne obyczaje, stroje, sposób przyrządzania wielu potraw. Czy te odmienności przetrwają? Na razie Król Warmii i Saturna czuwa na przestrzeganiem rytuału. Joanna swoją książką uczyniła z Warmii, jej języka i obyczajów strukturę żywą, wartą utrwalenia. Każdy, kto ją przeczyta, nie pomyli Warmii z Mazurami, zapamięta warmińskie miasta. Nie powie, że Olsztyn to Mazury.

Świetna książka.

**Andrzej ŻOR**

<sup>4</sup> Joanna Wilengowska op. cit. s. 72–73.

<sup>5</sup> Kazimierz Feleszko, *Bukowina – moja miłość. Język polski na Bukowinie Karpackiej do 1945 r.* Instytut Sławistyki PAN, Warszawa 2002 r.



**Dziękujemy za wsparcie  
Fundacji Amicus Europae**

# TOMASZ HOŁUJ ■ KSIĘGA DESZCZU – TOM DRUGI



Fot. Andrzej Markiewicz  
lub archiwum „Res Humana”



9780867184706 01